

7 [Yusef Arsenkowski]

OBRAZY

z

ZYCIA I PODRÓŻY.

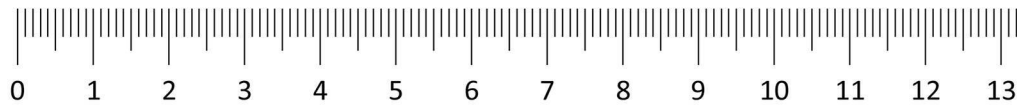
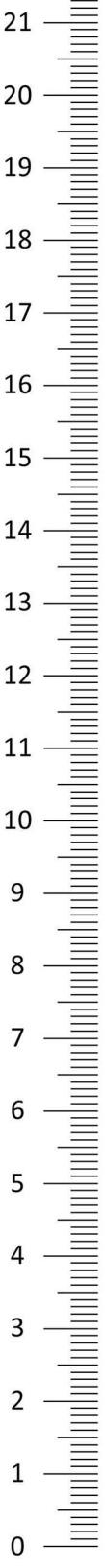


POZNAŃ,

Nakładem Księgarni Jana Konstantego Żupańskiego

1846.

g.



BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



177882

Wypożycza się
tylko do czytelników

2660 II



206. Dec 56879 II

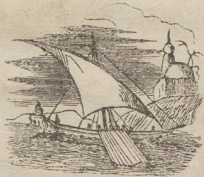
Z

7 [Yonof Aronkowski]

OBRAZY

Z

ZYCIA I PODRÓŻY.



POZNAŃ,
Nakładem Księgarni Jana Konstantego Żupańskiego

1846.

56817 II
15 XI. 1935 P



1286 II

rozpr. T. 1. 15. 1935

174882. II



W. 1936/7. 1559.

Czeionkami W. Deckera i Spółki.

SPIS RZECZY.

	Stronica.
Przywłaszczone reputacye	1.
Suknia balowa	9.
Hogartowskie obrazy	23.
Wieśniak Podolski	41.
Szluczone okno	49.
Część pierwsza: Przy Pręgierzu	51.
Część druga: W Kawiarni	59.
Część trzecia: W Kościele	73.
Bale na wsi	83.
Przez ulicę	107.
Dwa zdybania	131.
Rezydent	141.
Stary Leśniczy	163.
Nowy rok	173.

SPIS PRACEY

1	Prace wlasne: rozprawy
9	Sprawy polityczne
23	Historia i geografia
41	Wspomnienia i obeliski
49	Sztuka i nauka
51	Prace pierniane: Prace Przemyslowe
59	Prace drukarskie: W. Kozielec
73	Prace drukarskie: W. Kozielec
83	Prace drukarskie: W. Kozielec
107	Prace drukarskie: W. Kozielec
131	Prace drukarskie: W. Kozielec
141	Prace drukarskie: W. Kozielec
163	Prace drukarskie: W. Kozielec
173	Prace drukarskie: W. Kozielec

Przywłaszczone reputacje.

Obraz z życia dzisiejszego.

Przebieg choroby i skutki

Opis z życia białego

m
d
k
ci
o
la
ci
gl
k
ta
je
w
w
d
tr
ja
m
u
sz
li
te
o
g
k
d
ju
g
sz

d
i
ll
p
o
p
ni
i
sh

PRZYWŁASZCZONE REPUTACYE.

Obraz z życia dzisiejszego.

Znałem przed laty pana Koleandra. Był to sobie młodzieniec ni mądry ni głupi, ni brzydki ni ładny, młodzieniec, jakimi przed laty dwudziestą byli wszyscy majątniejsi: urodzony na to, by po dłuższym lub krótszym życiu umarł nareszcie, należący do tych, jak wiersz mówi łacini: fruges consumere nati! Ojciec pana Koleandra, zamożny obywatel, długi dosyć zakończywszy żywot, zostawił w puściznie prócz ładnych włości, i biblioteczkę, którą skupował powoli, bo za młodzieńczych lat nieboszczyka zamiłowanie w księgozbiorach przechodziło od głów dobrych, do głów średnich, a od tych niżej jeszcze do półgłówków. Pan Koleander wiem, że w owęj epoce umiał czytać, to jest: czytać, jak czytywała młodzież ówczesna same romanse, a pisać notatki, rejestra i rzadkie listy pisane stylo culinario: czy co więcej umiał, a nawet mógł umieć, nie wiadomo było. Owoż jak zaczął przesiadywać w bibliotece ojcowskiej, jak zaczął się obcierać o własne książki i o cudze biblioteki, w których miarkował, że się musi mieścić rozum, bez trudu, bez mozołu, bez czytania, powietrze chyba biblioteczne wciągając w siebie, został literatem: ale literatem panie.... i basta!. Dawniej mówiono: pan Koleander, to nie źle ułożony chłopiec; później: dobrze ułożony młodzieniec; dalej: zdatny mąż; jednym słowem, dzisiaj przeszedłszy przez różne stopniowania, okoliczna wieść głosi: pan Koleander literat!... co dziwniejsza, pan Koleander przysięgnie sam, iż jest literatem kutym na cztery nogi: napisał nawet recenzją jakąś!.. Od głodu, ognia i takowej recenzji zachowaj nas panie! Zasiadł już dzisiaj na wygodnym uczonych stolcu: istny Mecenas przerzucą, jak pomiędzy zgniekami, pomiędzy zdolnościami, które tu i owdzie skromnie wschodzą ledwie dostrzeżonym fiołkiem, póki go woń cudowna nie zdradzi. Jest już, albo lada chwila zostanie członkiem towarzystwa jakiego uczonego; gadam z nim — dalipan nie literat; słucham o nim, literat! literat! wrzeszczą w okolo. Dziwna rzecz.

Albo znam znowu panią Leonidę: gdzie echem puścić na mil kilkadziesiąt, słychać wszędzie: co to za rozum! co za serce! — co za rozum i serce powtarzają w okolo. Jak ona pisze listy, to Sewinie polska! Ile tam uczuć szlachetnych i cnotliwych niknie w tym zaciszu domowym, powiadał mi beletrysta jeden prowincjonalny. Ależ ja znam panią Leonidę, znam ją doskonale i nie od dzisiaj. O cnoście mówić nie będę, to przedmiot nader drażliwy; o rozumie;... czytałem te listy, bo któż ich nie czytał. Ma przyjaciółkę, z którą mieszkała o milę przez lat kilka, i zawzięcie pisywała do niej: pańszczyzna niewielkiej wioski szła na posłańce. Przyjaciółka, nieszczęśliwa ofiara małżeństwa matematycznie wy-

rachowanego, łzami zalana wszystkim pokazuje te listy nowój Sewinie, w których słowa, uczucia i plotki tańczą bez ustanku w salonowej maskaradzie. Los zlitował się nad przyjaciółkami, które mimo przyjaźni, (pod sekretem powiedziawszy) powadziły się już raz śmiertelnie o jakiegoś Adonisa, który z obydwóch żartował, i by dać przedmiot do mocnego wyczerpanej korespondencyi rozdzielił je kilkonastą milami i granicą. Teraz już przepadło! Sewinie polska zostanie nią na wieki, bo listy raz czytane wszystkim po poczęciu onych, niosą aż za granicę sławę tego rzesistego pióra: passyę zaś do listów ma tak zawziętą, iż na jednym dziedzincu mieszkając z posesorem czy współdziedzicem wioski pisywała do niego po trzy bilety na dzień. Przyznać trzeba, że pan posesor był młody, bardzo przystojny człowiek, i pełen nadziei, która by bujne wydała owoce, cnotliwa Leonida używała zapewne rad listownych, prócz napomnień naocznych nie mniej częstych. Znam ją doskonale! Prawda, że brudna, niedbale zaczesana, niedbaliej jeszcze ubrana, wiecznym nieporządkiem otoczona, gada wiele, ale bardzo wiele: gada głośno, ale bardzo głośno: rozumuje na prawo i na lewo o wszystkim, zaczawszy od botaniki, a skończywszy na pirotechnii: Sybilla polityczna przewiduje najcudowniejsze rzeczy, jak Frózyna ciągle żeni wielkiego Turka z rzeczą pospolitą Wenecką; z resztą réj w domu prowadzi, bo się temu nie sprzeciwia mąż, poczciwy, otwarty i szczerý szlachcic starego kroju, stokróć rozsądniejszy od niej, ale lubiący spokój: to prawda, ale czyli to są prawa sprawiedliwe do reputacyi tak powszechnej?..

Albo któż nie znał mecenasa Waclawa, który już umarł podobno, tego autora wszystkich anonimów wierszem czy prozą pisanych: kto nie pamięta, jak rozwalony na sofie rozprawiał między czwartym a piątym kieliszkiem rumu o wszystkim, a rozprawiał z taką pewnością, że wychodzący od niego zdumiewali się nad głębokością tego na pozór płytkiego męża. Szkoda go: był on jedyny w swoim rodzaju; nam poufałszym została pamięć smutna w sercu, a światu pamięć żyjąca w młodym Pantaleonie, który dzięki radom i protekcyi nieboszczyka mecenasa, porzucił handelek, by nas zasypywać pismami swemi. J. Pantaleon dziś literatem ni z tego ni z owego.

Albo Rodryga znacie panowie? Rodryga, który berło dobrego tonu, mody przyzwoitości i zachwycającej rozmowy dierzy od lat przeszło dwudziestu. Darmo w koło niego jak szparagi wyrastają młode dandysy, darmo suszą biędne swe mózgi, by naśladować niezwalzonego Rodryga; darmo obtłukują sobie nogi, by uciąć hołubca, owego hołubca, którego nikt tak klasycznie nie wali, jak nasz Rodryg od lat dwudziestu mimo niegrzecznej pedogry. Rodryg jest od lat dwudziestu okrzyczany za eleganta pierwszej gieldy, on tancerz wýmienity, filar salonów, on jeden młody zawsze: dandysy starzeją się w około niego, schodzą z pola: on pozostaje sam jeden nie do naśladowania. A rozmawiać któż lepić umie, kto zgrabniej łąta rozmowę lekką, płynną i dwuznaczną francuzczyzną? — Sąd jego w salonie straszny! krótkim urwanym ruchem ręki, ust skrzywieniem przelotnem, słowem niestępieném przez dwudziestoletnie używanie niszczy lub ożywia potulnych współzawodników swoich. W zalotach pogromca niezwyeczony, rzeki łez wytoczył i z téj to zapewne kąpieli wychodząc, zachorował ten kwiat młodości, który coraz ciemniej rumieni się na twarzy. O jego miłostkach niestworzone dzieje rozpowiadają sobie do ucha, a same kochały się w nim Włoszki, same Angielki, gdzieś daleko za granicą po-

znane, lecz opuszczone przez niego dla świętej miłości ojczyźstiej ziemi. O Rodrygu szczęśliwy! skądże ci ta sława tak trwała? darmo pytam sam siebie, darmo pytam pamiątek salonowych! tajemnica to niezbadana, posąg w Sais zasłonięty przed profanami!

Wszystko to nic jeszcze; ale pan Filidor? pan Filidor! któż nie zna pana Filidora? to przecie zaszczyt nasz, mąż bez skazy i zmyzy, mąż prawy, człowiek uniwersalny! I jakże inaczej mogę o nim mówić. Sędzia uproszony wszystkich kompromissów, stanowczem słowem dzieli majątki, niszczy długoletnie processa, przecina węzeł gordyjski granicznych niezgód, i tak cudzych spraw kosztem rośnie w olbrzymią okoliczną sławę. Pan Filidor statysta niepospolity, głęboki polityk, skąpemi słowy rozdziela przeważne swe zdanie, ale jak powie, wszyscy otwierają szerokie usta, podziwiając głębokość niezrozumianych pomysłów. A agronom jak! on panie odbywał podróż agronomiczną w Szląsku i w Prusach, z najslawniejszymi agronomami żył za pan brat, ma nawet od nich listy własnoręczne: i chociaż u sąsiadów, którzy nosa za granicę nie wyścibili, gospodarstwo, jeżeli nie lepiej, to pewnie równie dobrze idzie, jak u pana Filidora, wszyscy jeżdżą do niego po rady ekonomiczne, statystyczne, handlowe, polityczne, jurystyczne i t. d. Zdanie zaś tym jego przeważne jest we wszech przedmiotach, i choć o literaturze nie wiele mówi, bo się na sprawy światowe z wyższego patrzy stanowiska; nie jedną zniszczył przyszłość, zawiódł nadzieję powiedzeniem naganném, na wiatr rzuconém, bo on jest Arystarch ogólny. Zniża się czasem aż do przyjemnego w towarzystwie człowieka, i wówczas zachwycać lubi słuchaczów deklamacyą, bo pan Filidor na nieszcześnie otaczających go, słyszał Talmę, i wali Cynnę, rżnie Hipolita. Boże zmiłuj się nad nami! Mimo tego dotąd nie ożeniony, a nawet ta deklamacyjna passya sprowadziła mu odpowiedź zabawną od młodej, ale rozsądnej panny, do której okrągłych wdzięków i okrągłego majątku wzdychał czas jakiś pan Filidor. Była to proba jakiegoś teatru towarzyskiego, którego dyrektorem i nauczycielem był oczywiście ten, który sływał i tak doskonale strawił Talmę. Owoż radząc na prawo i na lewo, słodziutko przemówił do swojej Kloryndy mającej także rolę w tej sztuce: »zdaje mi się, iż pani w wyrazie deklamacyi swojej n ad to mało pokazujesz wzgardy, która tu właśnie jest konieczną.« — »Przeciwnie mój panie! odpowiedziała zagadniona, zdaje mi się, iż dosyć i ciągle pokazuję wzgardę, jaką czuję!« a giest i przycisk w wymowie dał resztę do zrozumienia osłupiałemu panu Filidorowi. Mniejsza o to; pan Filidor lat już dwadzieścia z górą używa téj reputacyi, która go osłania mgłą nieprzejrzaną, nieprzebitą. Ja go znam, i ja podziwiam, chociaż nie rozumiem, bo milczeć muszę, bo powiadają: vox populi, vox Dei. Raz osobliwie nie pojąłem go zupełnie...

Było to dawno dosyć; w czasie, jeżeli się nie mylę, cholery; pan Filidor był na czele składki robionej na nieszczęśliwe od cholery ginące rodziny. Wysłany od rodziny, której matka konała pod razami srogiej i zadawnionej niemocy i nędzy, a synowie darmo walczyli z niedostatkiem, który ich gnębił, przybyłem do cnotliwego pana Filidora z dowodami mego poselstwa, by koniecznie uprosić pomocy z powierzonej mu bez rachunku składki... No i cóż? — Pan Filidor odmówił?... Nie zaiste: nie zrobił tego wprost; pan Filidor targował się zemną w wygodnym zatopionym krześle, gdy tymczasem biedna rodzina biciai konającego serca czas rachowała daremnie ulatujący: wahał się, krzywił, my-

ślał, targował, mrużył oczyma, nareszcie odmówił!. Ale, dowody owe stanowiące całą obronę wysłanego, chciał zacny pan Filidor spalić, ledwie mu je wydarto!. Co? dla czego? którądy? nie umiem państwu powiedzieć: różni różnie opowiadali: ja nic nie wiem więcej prócz tego, że później rozmyśliwszy się wynalazł jakiegoś kuzynka młodego Panfila i wysłał go z pomocnym datkiem. Ale młody Panfil skończył poselstwo swoje w pierwszym miasteczku, gdzie stracił pieniądze, i nic nie zrobiwszy wrócił poseł in partibus goły co do pieniędzy, ale bogaty w miłosne pamiętki. I zapewne, dla czegoż Filidorom ma być zabroniony nepotyzm!.

Ale jakaż przyczyna tylu ludzi wynosi na szczyt sławy, a drugich potępia na wieki? Dla czegoż Radomonta wszyscy się boją, omijają, drżą przed spojrzeniem jego i wielkimi wąsami? dla czego laskonogi Juliusz rośnie codziennie, jak w pióra, w dowcip, a dowcip uznany przez drugich równie dowcipnych? dla czego Celimena jest wielką damą i jest wiecznie wzorem tonu, wytworności, a nawet i cnoty? dla czego ubogiego Symplicyusza potępiają wszyscy, udają na ulicy, iż go nie znają, a przed bogatym Agapitem lecą czapki i kapelusze na wyścigi?.. dla czego?

.... Ale cóż państwu do moich czarnych myśli wzbudzonych przez kielbasy Zbaraskie... Jak to?... A tak!... Jadąc przez Zbaraż, w czasie nudnego popasu w lichym i brudnym miasteczku, by czas zabić przetrzącałem w głowie mojej czyli się z Zbarażem nie łączą jakie pamiętki czytane lub słyszane.. Ruiny zamku!. dwa ich tam było. Ze starszego pozostało jedno okno patrzące dziś w dolinę spokojną starym wzrokiem, jak dawniej, młodem i żywym rzucalo spojrzeniem na nieprzeliczone hordy Tatarów.. Nowy zamek saskie pijatyki przebywszy, w gruzy się już rozsypywał, gdy raptem odnowiony, nowym odżył życiem, życiem fabrycznym. Dzisiaj zapada nazad w zwaliska: dobrze tylko zaczernione kominy pokazują, któredy wyleciały dymem słodkim burakowej cukrowni milionowe niegdyś dochody. Dawne i nowsze gruzy nieme i głuche! nic więcej!. W tem nowa pamiętka zagrzała w mój głowie, wesolą nutą lat młodzieńczych, uśmiechem ją przywitałem, i prędko kazałem sobie przynieść kołko kielbasy Zbaraskiej. Komuż się nie przypomnia w tej chwili lata młode i stare nawet we Lwowie przepędzone, komu nie przyjdzie na myśl piękny maj, i miły jarmark świętojurski z całym zgiełkiem, wrzawą, piskiem, tańcem i wesolością różnotonną i różnobarwną, z całą różnaitością towarów, a z pomiędzy tych któż nie wspomni na kielbasy Zbaraskie dwa razy do roku zjawiające się we Lwowie; kielbasy sławne w Polsce.

Wnosi wysłany goniec niecierpliwie oczekiwana. O Boże! co za widok okropny! Nie jest to kielbasa pełna, miękka, mięsista, majerankiem woniąca, bieląca się słoninką, a rumieniąca różową wieprzowiną; nie ta to kielbasa, która zasłużyła, by jeden nasz sławny nczony porównał do niej język polski, mówiąc, że nasz język jest tak jędrny, jak kielbasa; ale długa, oczywiście suchoty cierpiąca, zapadłemi bokami stercząca, chorowita i czarna żółtością powleczonea, zatrutym czosnku oddechem woniąca: to jest kielbasa Zbaraska!. Nowe odczarowanie dodane do tych innych!

I skądże ta sława kielbas Zbaraskich tak rozprzestrzeniona? Z myśli w myśli przechodząc, kielbasy Zbaraskie przypomniały mi pana Filidora i tam dalej, i zacząłem dumać nad tylą reputacyami przywłaszczonemi.

Z roztargnieniem porwałem za numer ósmy Dziennika mój paryskich z roku 1842. Bez uwagi z początku przebiegłem kolumny onego, aż raptem zaświatało w głowie mojej. Prawdę, wielką prawdę powiedział szanowny wywodziciel rodu Cosi i Jakosi.*). Coś powiedział ktoś!.. Z przeproszeniem szanownego autora wspomnianego artykułu muszę tu zwrócić uwagę; miłośnik zapewne płci pięknej zapomniał oń o lubym braciszku tych miłych siostrzyczek, o zacytnym Ktosiu! Ale Ktoś jest ich brat starszy, opiekun małoletnich: bo Cosia i Jakosia są panny, a zatem małoletnie. On je wprowadza w świat, on zastawia sidła, w które łapią nieostrożnych te dwie czarodziejki. Kto z państwa nie zna tego niebezpiecznego Ktosia, który wszystkie wyrządza psoty na świecie. Pomijam, że wiecznie wszystko tłucze i psuje; bo okno ktoś wytłukł, ulubioną filiżankę ktoś wyszczerbił, ktoś stuknął się dziś w sypialnym jęomości pokoju!.. Ale ten ktoś jest proteusz w kameleonowe barwy strojny, różne postacie i różne nazwiska przybiera, by lepiej majaczyć po świecie.

— Mówił mi jeden, że dziś o północy w domu pani NN. okno od pokoju sypialnego było otwarte: »to ktoś powiedział.

— Mówił mi pewien jegomość, że z małżeństwa panny starościarki nic nie będzie: to ktoś mówił.

— Mówił mi mój dobry znajomy, że panna Barbara nie jest tak młoda, jak się chce nią wydawać, pamięta bowiem, jak pierwszy raz występowała na balu u Wojewodziny.

— Mówił mi jeden z moich przyjaciół, że w domu państwa Szambelaństwa zaszło dzisiaj coś okropnego: a to zawsze ten ktoś rozpowiada, bo ktoś jest znajomy, jest przyjaciel wszystkich, zna świat cały, wszyscy ludzie go obchodzą.

Cosie i Jakosie może umrzeć kiedyś, ale ktoś jest nieśmiertelny. Ileż to razy słyszę, że dzwonią: pytam służącego, czemu to dzwonią? — Ktoś umarł!.. Uradowany tak dobrą wiadomością wybiegam na ulicę: ba, zdrybuje mnie na zakręcie nowiniarz sławny i powiada mi w przelocie, że mu tylko co ktoś mówił coś wielkiego o panu Filidorze, i jakoś mu wychwalał kielbasy Zbaraskie. O toż to te Ktosie podobno tworzą owe przywłaszczone reputacje, jak zaczęły coś rozpowiadać, jakoś dawać do zrozumienia, człowiek otumaniony wierzy, że pan Filidor jest wielki człowiek, a kielbasy Zbaraskie doskonałe; A jak się to trzeba strzedz takich reputacyj przywłaszczonych: im są większe, im olbrzymiejsze, tém większy cień rzucają na dobre skromne pierwiosunki, które słońca, światła i pogody pragną...

*) Autor wspomnianego artykułu hrabia Leszek Duniu Borkowski z wielkim dowcipem i wielką prawdą opowiada nadużycia, jakie piszący i mówiący robią, używając tak często tych słów nie znaczących — coś i jakoś.



Suknia balowa.

Powieść z życia dawniejszego.

11
0
12

12
9

Wydawnictwo

Wydawnictwo

2
v
s
L
L
C
L
s
C
s
L
v
C
L
L
v
L
i
L
n
C
v
v

SUKNIA BALOWA.

Powieść z życia dawniejszego.

— Którego mamy dzisiaj? zapytała z pół ziewnieniem piękna księżna S*, przy której jednakże dnie, miesiące i lata nawet mogłyby upływać — bez zastanowienia się.

Podobnaż musiała być myśl zapytanego; po krótkiej bowiem przerwie zapelnionej spojrzeniem przeciągłym i smutnem odpowiedział: Ja sam rachubę dni straciłem; inaczéj z panią się dzieje.

— Mon Cousin! masz talent tragiczny, wierzaj mi: łyzy, a przynajmniej westchnienie żałośnie zdolasz wycisnąć z najobojętniejszej duszy. Inaczéj być powinno w twoim wieku panie... i przerywając chwilową powagę głośnym i pustym śmiechem. Nie! ja nie mogę tego imienia wymówić po polsku; niech co chce prawi nasz poczciwy piar Konarski o potrzebie języka własnego, czyż podobna powiedzieć bez śmiechu o panie Jędrzeju!.. panie Andrzeju; chociaż to imię i w francuskim nie szczególne, przecież monsieur André lepiej się wydaje, i jakoś gładziej i składniej idzie rozmowa w tym cudnie zaokrąglonym języku.

— Lepiej zapewne wydałoby się Augustcie!

— A nawet, z roztrzepaniem dodała, Stanisławie! i zdybały się dwa spojrzenia wyraziste przez krótką chwilę. Zarumienioną twarz zakryła księżna pysznym wachlarzem z perłowej złotem nasadanej macicy; młoda zaś twarz młodego Andrzeja nieruchomie w nią wlepiona pobladała od wewnętrznego poruszenia, lecz nawet parę zabłysło na jego pełnych życia oczach.

I z łoskotem zsunęła wachlarz, znikła pusta wesołość, powaga udana, i pomieszanie niegodne takiej damy, a z oczu dobyło się spojrzenie dawno zapomniane, bo nie godne tych oczu podbijających, które miały, jak twierdzili mnodzy jej wielbiciele, kolor szafiru, a połysk diamentu; byłoby spojrzenie lat młodszych godne, bo czułe prawie, a oczy jej wówczas długimi ciemnymi rzęsami osłonięte do skromnych fiołków podobne były. Zapewne rzekła, korona ozdobi każde imię, chociażby najbrzydsze przed całym światem; ale przedemną ozdobić go więcéj zdola serce takie, jakim jest twoje. A widząc poruszenie na twarzy milczącego dodała z powracającym już dawnym uśmiechem: dziecko jesteś kuzynku! i oparłszy rękę bielszą od białej sukni atlasowej, którą miała na sobie, na złożonych jego rękach, jakby sobie do wstania pomódz chciała, lekko skoczyła z wygodnej sofy pokrytej zło-

ciśm w szerokie pasy, węzłowiec, i stanęła przed nim w całej okazałości tej postawy wyniosłej, kształtnej i giętkiej, którą cała Warszawa podziwiała. Mimowolnym ruchem zatrzymał piękną rękę hrabia Andrzej i złożył na niej pocałowanie za ogniste, jak na kuzyna. Przemknęła rączym biegiem krótka ta chwila dla księżnej S*; spojrzenie rzucone na wielkie zwierciadło oprawione w złote dziwaczniemi rzeźbami upstrzone ramy, było zbudzeniem światowej damy. »Ale sam będąc tak wielkim zwolennikiem własnego języka i zwyczajów wybierasz się w podróż za granicę; czegoż chcesz szukać we Włoszech lub w Paryżu?«

— Zapewne; było to dawniej jedno z najmilszych marzeń moich, dziś...

— Masz już nawet, mon cousin, paszport, jak mi mówiono..

— Mam, odpowiedział z westchnieniem smiesznym w tym salonie, a ruchem ku piersi zwróconym, czy chciał wskazać paszport, który miał istotnie przy sobie, czy przycisnąć serce bijące niezapewne jeszcze życiem. Roztargnienie widoczne przez cały ciąg tej rozmowy ciągnącej się już od godziny nie dało księżnie S* dostrzedz tego ruchu pełnego wyrazu, jakoż wracając do pierwszej myśli, rzekła z rodzajem nie smaku wewnętrznego. «Ależ na moje pytanie nie raczyłeś odpowiedzieć piękny kuzynie! a jest to przecie pytanie ważniejsze dla mnie, niż mniemasz.

— Ważniejsze! z przestraczem prawie przerwał hrabia Andrzej.

— Au nom de Dieu! oducz się tej sentymentalności, z którą jest ci zapewne do twarzy, ale w świecie wielkim ma ona postać niezgrabną.

— Ja też ją nie dla świata mam, ja ją mam tu w sercu, a przemawiam ję językiem, patrzę ję wzrokiem wtenczas tylko, gdy jestem sam z tobą kuzynko! bo więcej cenię ciebie, niż sama chcesz, by cię ceniono.

— Wierzę, wierzę mój kuzynku! ręk ścisnienie krótkie, ale wyraziście dokończyło reszty. »Dziś jestem roztargniona, źle usposobiona, bo widzisz ten bal u księżnej wojewodziny, i dla tego pytałam o dzień dzisiejszy, bo prawdziwie nie pamiętam, kiedy bal ten wypada.«

— Bal księżny wojewodziny dla króla, i dla czego Panią tyle obchodzi?

— O mój Panie! nie lubię pytań, a osobliwie w tym tonie robionych. Bal dla króla czy nie dla króla, ale bal ma być świetny; wszystko, co należy do wyższego towarzystwa, będzie na nim, czyliż nie dosyć, by myśleć o nim? Przyjechałeś z prowincyi, gdzie zakopany w wiejskiej ustroni przy nudnym, podagrą zmęczonym stryju nie rozumiesz jeszcze życia miejskiego. Mój drogi! bal taki jest dla nas, które już na wielkim świecie żyć musimy, dniem wielkim, stanowczym, to są nasze dnię bitew, zwycięstwa lub przegranej; czy mniemasz, że my młode i ładne kobiety żadne jesteśmy nowych holdów? mamy ich dosyć, aż do zbrzydzenia; nie tego zwycięstwa łechcą nas na balach. O nie te, tam będzie pani krajczyna, tam będzie hetmanowa, tam będą wszystkie piękne, wszystkie młode kobiety.

— Czyż ty, kuzynko, możesz się bać jakiegokolwiek porównania?

— Zbrzydła w tej chwili księżna S*, tak przykry uśmiech pogardy skrzywił usta koralowe. Zapewne gdybyś ty był Parysem, a my boginie strojnie tylko w przyrodzoną piękność. Tualeta, mój drogi! ubiór to jest zbrojownia nie wyczerpana. Czarowne rysy księżny S* pociemniały, myślałbyś, że na czole osiadła myśl głęboka, myśl wnikażąca w najskrytsze życia tajniki. Już podobno kilka tylko dni dzieli nas od tego balu, a dotąd nie wiem, jak będzie ubrana krajczyna; i sama do-

ład... a ta przeklęta krajczyzna, przyznać trzeba, umie się ubierać, cóż dopiero na bal kostiumowy. Może będzie amazonką?..

— To chyba strojem tylko!

— Winszuję, monsieur André! zdowcipniałeś w Warszawie!..

— Drogo ten dowcip kosztował biednego młodzieńca, który słuchając lekkomyślnej rozmowy kuzynki swojej, widział opadające listek po listku najpiękniejsze złudzeń kwiaty. Złudzeniem bowiem była wiara jego młoda w serce tej pięknej czarodziejki złożona, która go na samym wstępie w świat nowy przykuła do zwycięskiego woza swego. I zwycięzca nie ublagany postępował z nim, jak z niewolnikiem. Były to dwie istoty tak różne od siebie, iż nie wiedzieć, co więcej podziwiać należało, czy cześć bezgraniczną, jaką jej oddawał młody przybysz z kraju marzeń, czyli mimowolny pociąg, jaki czuła do niego kilkoletnia już obywatelka krainy rzeczywistości: oboje podobno zarówno się na sobie oszukiwali. Hrabia Andrzej C* dwudziesto letni młodzieniec świeżo przybyły do Warszawy z wiejskiej ustroni, gdzie w wolnych swobodnych chwilach i dumaniach wymarzył sobie świat szczytny, idealny, urojony, myślał, iż zdybał, w pięknej uwielbianej, i psutej od wszystkich kuzynce dziewiętnastoletniej wdowie po starym książęciu S* ten ideał wymarzony, który się nie raz uśmiechał do niego z pomiędzy krzaków ojczystego ogrodu, kołysał na czystych falach rodzinnego stawu, po srebrnych księżycu promieniach zlatywał ku niemu. Uczucie, jakie go przejęło na widok tej piękności pierwszej w Warszawie, tak bogatej wówczas w piękne twarze, była to miłość pierwsza, ta miłość święta, która barwami nie zepsutej wyobraźni stroi przedmiot ukochany, która kobietę, by ją ubostwiać, sama do godności bostwa podnosi. Łagodnie i uprzejmie przyjęty od niej czytał w czarujących, wyuczonych w szkole świata spojrzeń, co tylko sam czytać chciał; jakoż w rzeczy samej pominałszy chwilowe roztargnienia i przemijające kaprysy, miała ona dla niego uśmiech najszczęśliwszy, spojrzenia najprawdziwsze. Wrażenie, jakie sprawić musiał na przesyconej czczą i jednostajną strawą dworskich pochlebstw młody i nie zepsuty wieśniak, urok pociągający, jaki jest zawsze w naturze czystej i niewinnej, wzięła księżna S* za uczucie czulsze, po części wdzięczną nawet była młodemu kuzynowi swemu, iż zdołał wzbudzić w niej wzruszenia dawno zapomniane, wzruszenia, które gdzieś daleko za nią pozostały w latach na poły dziecinnych, napoły dzieciewiczych; wdzięczną mu była za zazdrość, jaką wzbudzały jego widoczne hołdy w wszystkich jej współzawodniczkach: hrabia C* bowiem, jakkolwiek go panie światowe na żarty pasterzem arkadyjskim, Amadysem, rycerzem smutnej postawy przezywały, był to kąsek smaczny dla wszystkich wiekiem swoim i naturalnością, urodzeniem i majątkiem już posiadającym, a większym jeszcze spodziewanym, po starym stryju wojewodzie C*. Podobało się księżnie to bezwarunkowe poświęcanie się młodego człowieka najdrobniejszym jej kaprysom, ta jego bezgraniczna zależność od jej woli i jej widzimisia: pochlebiało jej być samowładną czarodziejką, od której skinięcia najmniejszego twarz jego uśmiechem wesela lub łzą smutku na przemiany poruszona jaśniała pięknnością szczęścia albo większą jeszcze pięknnością cierpienia. Chociaż dotąd nie przyszło między nimi do żadnej stanowczej rozmowy, on w niej widział cel najwyższy życia; ona w nim kres konieczny tego krótkiego bytu na wielkim świecie, z którego rozumiała dobrze, iż najlepiej w czas zejść chroniąc się w dobre małżeństwo; potulność pierwszej miłości brała za

słabość charakteru, rokowała sobie zatem, tusząc dobrze o własnej sztuce życia, iż zostawszy żoną zakochanego hrabiego, nie straci wdowiej wolności, tego ideatu szczęśliwości kobiet światowych. Myśli te, choć się przesuwwały w bezładzie, nie były tak dobrze ustalone i wyrozumowane w pięknej ale roztrzepanej głowie wdowy, jak je tu podaję, bo przedewszystkiem wiedzieć trzeba, iż myśli ciągle były zupełnie nie zgodne nie tylko z życiem księżny S*, ale nawet z życiem owczesnym wszystkich kobiet. Życie kobiet w Warszawie, téj tak świetnej wówczas stolicy, różniło się o wiele od życia kobiet dzisiejszych; nie było jeszcze tylu powieściarzów, którzyby nauczyli brać serca cudze i własne pod nóż anatomiczny, uczucia zaś wielkie rzadkie były na tym świecie lubiącym używać; tragedie znano tylko, a te są mniej liczne od dramatów, których zupełnie nie znano jeszcze. Życie kobiet przechodziło swobodnie bez myśli i uczuć głębokich, bo myśli przierzadzają włosy, których ilość, sztuką perukarza w dziwne kształty spiętrzona, stanowiła przeciw wielką część piękności podług owoczesnych wyobrażeń, uczucia zaś starzeją, a wówczas młodość i wdzięki stanowiły wszystko. Wszyscy żyli w terażniejszości: któżby chciał zaglądać okiem błyszczącym od młodzieńczego ognia w przyszłość, by, broń Boże, ogień ten zwyciężki łzami nie spłynął; któżby chciał czyste, jak marmur, czoło poorać smutnem przewidywaniem: wszyscy wpatrywali się w to słońce owocześnie Warszawy, w tego zawsze pięknego, zawsze grzecznego, zawsze milego Stanisława Augusta, którego oblicze spokojne i pogodne zawsze, jednolitym ciągle uśmiechem rozpromieniało wszystkie okoliczne planety. Świetnyto był czas! my myśleć nauczeni n'erozumiemy szczęścia obojętności i lekkomyślności, a przecież dawniej dobrze to rozumiano śmiać się, wesolą nutą przeskakiwać życie, jak w Pompei czarownych i rokosznych muzyk dźwiękiem zagłuszać groźne ryki nad głową wiszącego wulkanu!..

Czas jakiś ciągnęła się rozmowa obojga krewniaków leniwiej, niż zwykle, roztargnienie coraz widoczniejsze, niecierpliwości napady, a nawet nie zwykle zamyślenie odbijało się w słowach księżnej, i odbierało młodemu hrabiemu odwagę, z jaką przyszedł tą razą po stanowczą odpowiedź. Lecz nawet zapytania zrobić nie śmiał, i coraz smutniejsze, coraz czarniejsze snuły mu się po głowie myśli na widok tego nie zwyczajnego stanu pięknej kuzynki; tysiączne uczucia, a wszystkie bolesne krzyżowały się po duszy jego. Zazdrościł biedny nie mając ani prawa do tego, ani wiedząc kogo obwiniać; zazdrość taka bez celu jest najokropniejsza, bo w sobie zebrana nie rozchodzi się ani na gniew, ani na wymówki, ani na zemstę słodką. Darmo rozumem swoim młodym chciał zbadać niezbadaną; czarodziejka równie w światowej rozmowie, jak w wejrzeniach wymykała się z przed jego uwag i postrzeżeń, to czułym słowem, to słowem urazy, to głosem drżącym od wewnętrznego wzruszenia, to wyrazem gniewu; jednym słowem natura uległa sztuce: rozpaczą przejęty hrabia Andrzej przeczuwał i przewidywał tajemnicę jakąś, ale odgadnąć jej nie potrafił.

W tém otwarły się podwoje pysznego salonu, w którym tak długo sam na sam w przedwieczornych siedzieli godzinach i rześiste następowały wizyty. Pierwsza wbiegła raczej, niżeli weszła piękna krajczyna; bo wówczas kobiety piękne i młode nie wchodziły, jak dzisiaj, poważną stopą, wlatywały lekkie Sylfidy na skrzydłach szerokich, fałdzistych spodnic, które zastępowały po mału nie zgrabne rogówki: kiedy nie było

Skąd wiadomo?
 poniekąd za Ludwika XIV. kraju swego; jeżeli myśl ta wyszła z głowy Węgierskiego, niemniej odpowiadała znanej jego satyryczności; w myśli tej zaiste łączą się najmocniejsze podchlebstwo, i szyderstwo najstraszniejsze. Te słów kilka zbudziło młodego hrabiego z rozkosznych marzeń i mimowolnie pomyślał o stroju własnym, wahał się między orężem rycerza z okrągłego stołu Artura, a lutnią prowancckiego trubadura: szczęśliwy! on marzył o walce dla pięknych oczu kobiety, on dumiał o śpiewce swobodnej. Powtarzam, był to czas ciekawy w swoim rodzaju, czas zdrowia pozornego; a rumieniec z ruzu, rumieniec z gorączki i rumieniec zdrowia jak są podobne do siebie, któż nie wie? Świetny to był karnawał; objad po objedzie, bal po balu następowały bez ustanku; próżne chwile zapełniały wizyty, zaloty, plotki, których wówczas pełno było w Warszawie. Szybko zatem uleciały dni, które jeszcze dzieliły świat piękny od oczekiwanego balu; szybko dla wszystkich, szybko nawet dla młodego hrabiego, który, jakkolwiek oddany jeszcze czasami marzeniom ulubionym, zaczął pomału smakować w tém życiu które lekko, spokojnie, fala po fali upływając, zdołałoby ukołysać duszę najognistszą w gnuśny spokój; życie światowe bezczynne na pozór, a ciągłym ruchem zajęte złożone jest z samych drobnych, różnobarwnych nitczek, które w ciągle nowe zwijając się węzélki, tworzą nareszcie sieć nieprzebytą dla nieostrożnego, który się z początku przypatruje tylko tej różnobarwnej tkaninie. Młody hrabia mimowolnie porwany w odmęt zabaw i szalonej prawie wesołości, które go zewsząd otaczały, nie miał nawet czasu tyle, by go poświęcić tym ulubionym urojeniom, które niegdyś gonił, jak motyle barw cudownych; miłość tylko, jaką czuł do pięknej kuzynki, miłość, która się tak często odzywała cierpieniem w łonie jego, budziła go z coraz miłszego letargu. Żyć już zaczął, zamienił zatem marzenie za rzeczywistość; co tracił ze złudzeń młodzieńczych, to zastępował rozumowaniem, tym wiatrem duszącym pomału wszystkie uczuć kwiaty. Codziennie prawie widywał kuzynkę swoją, co dzień szedł z postanowieniem, by silnym słowem zmienić ten stan niezdolny; codziennie wracał więcej zakochany, codziennie między rozpaczą a nadzieją; ale po małym promieniu po promieniu nikła wiara w ukochany przedmiot złożona, cień po cieniu rosło w jego duszy powątpiewanie; gotowało się już dla niego to drugie rzeczywistości zjawienie; smutne odczarowanie

*anfylo
baw
auton*
*upko
zerk
ne*
*echa
Ody
dombel*
 Nie mało przykładał się do tego przyjaciel jego hrabia Kazimierz R*; starszy od niego o lata doświadczenia i dłuższy w stolicy pobyt; obdarzony od natury więcej rzeczywistościem usposobieniem, poznał w krótko świat, który go otaczał: znał kobiety te wszystkie, a między niemi najlepiej może księżnę S*, i w poufnych z przyjacielem rozmowach udzielał mu nie raz ogólniejsze słowa tej smutnej nauki. Dotąd młodość i nie zepsute usposobienie pana Andrzeja przemagało, ale czyż to długo trwać może? Hrabia Kazimierz ostrożniejszy był nawet w swych powiedzeniach o księżnej; widząc bowiem mniej więcej stosowną w niej partię dla przyjaciela nie chciał tak dalece mieszać się, ani by przeszkadzać, ani by przyspieszyć związek od wszystkich przewidywany. Jakoż zapytywany od niego, czyli nie wie, co zajmuje temi dniami tak żywo młodą księżnę, iż zupełnie zmienioną się być wydaje, skąpejmi słowy odpowiadał, i potwierdzał nawet hrabiego Andrzeja w jego mniemaniu o tajemniczej przyczynie jakiej. księżna w rzeczy samej co dzień była smutniejsza; to czoło wyniosłe czyste jak karta pargaminu, niezwyčajnie

pokrywały zmarszczki, te hiroglify myśli wewnętrznych; oczy zwyczajnego pozbawione blasku, nie pewne rzuciły spojrzenia; lica pobladłe, ruchy nie równe, słowa nawet urywane, wszystko to świadczyło o jakiejś głównej przemianie odbywającej się czy w duszy, czy w głowie. Westchnienie! tak jest, westchnienie usłyszał raz hrabia Andrzej; westchnienie księżny S* było to zjawisko, które nawet przemądrego pana Kazimierza bałamuciło.

Ostatniego osobliwie wieczora, który poprzedzał bal kostiumowy, księżna wydała się Panu Andrzejowi najwięcej nie zrozumiana; na jego pytania najczulsze, przysięgi najognistsze, wyrazy prosto z serca wyjęte odpowiadała milczeniem, albo znowu, jakby zbudzona, namiętne wyrzucała wyrażenia bez związku, jak zgorączki; w szaloną wpadając wesołość przemawiała dowcipem i szyderstwem tak przenikliwem, aż włosy młodzieńca wznosiły się ze strachu.

— Czego, chcesz odemnie? wołała, jakby w rozpacz; ja nie jestem do szczęścia stworzona; wszystkie zamysły moje los zawodzi nie ublagany... ty pojedziesz i zapomnisz.. boś młody, mój kuzynku!

— Wszak wiesz, że to od ciebie zależy, odpowiedział rozczulony; słowo jedno powiedz, o jedno słowo błagam ciebie, słowo, od którego zależy cała przyszłość moja: aż zapłakał dziecinnymi łzami.

— Słowo! słowo! krzyknęła, ty słów pragniesz? jutro usłyszysz słów nie mało, tysiące, krocie; ale daj mi pokój do jutra; zlituj się, nie męcz mnie więcej — do jutra!.. Ach!. jutro? jutro i z niecierpliwością potraciła ulubionego szpica, który nie litościwym piskiem zakończył tę scenę taką namiętnością nacechowaną, iżby była godna naszych czasów, i naszych powieściarzów.

Po długiej, bezsennej nocy przyszło to jutro dla naszego bohatera; calonocnem myśleniem osłabiony, wszystkie jednakże zebrawszy siły wziął nareszcie postanowienie męskie, wyrozumowane, konieczne, czuł, iż rzeczy w tym samym stanie zostać nie mogą, chciał przemiany, gdyby nawet na najgorsze, a może nie mało do tego postanowienia przyłożyła się myśl dawna, nowem uczuciem zamięniona, ale nie wypędzona. Dzieckiem jeszcze hrabia Andrzej marzył o podróżach, najulubieńsze jego książki były opisy cudzych krajów, dalekich miast i narodów: nie raz chodząc po szerokich wiekowemi lipami zasadzonych ulicach ogrodu ojcowskiego, na skrzydłach żywej wyobraźni przenosił się w dalekie kraje; z tą myślą w głowie odwiedzał, na ówczas dziecko jeszcze, najdalsze zakątki ogrodu, które małym będąc chłopcem nazwiskami miast i krajów różnych ochrzcił. Pierwsze chwile swobody młodzieńczej użył na to by się puścić w świat; podróż swoją zaczął od stolicy, częścią, aby naprzód poznać oczystą stolicę, częścią by przyspieszyć paszport żądany za granicę; widok księżny nadał myślom jego inny kierunek, nie chcąc jednakże zrobionych cofać kroków paszport zatrzymał, i codzień prawie między rozebraniem, a snem wzrok jego dzielił się między miniaturę kochanki i paszport; co dzień prawie zasypiał z westchnieniem na poły miłością, napoły podróżnem; w nocy marzył na przemiany o uroczej księżnie i o uroczych krajach nie znanych. Dziś albo nigdy! myślał sam w sobie ubierając się; albo tu przy niej zostanie na wieki najszczęśliwszy, albo na zawsze wyjadę, by szukać zgubionego spokoju. Z takim postanowieniem wszedł do księżny S*; w pół ubrana wybiegła na przeciw niemu z uśmiechem tak radosnym, czułym i czarującym, że aż zadrało serce młodzieńca rozkoszą nadludzką.

— Porwała go za rękę. Szczęśliwa jestem, szczęśliwa!.. ach szczęśliwa; dodała cisnąc rękę o piersi własne... szczęśliwa, rzekła po chwili jak by się poprawić chciała, że ciebie widzę kuzynku dzisiaj, i mogę przeprosić... ale nie mam czasu nie mam, na Boga się zaklinam, ani chwili jednej!. Idź! idź! kochany kuzynku... jeszcze jedno uściśnienie ręki przyjacielskie! czy darowałeś mi?. bo widzisz, ja jestem biedna zmęczona kobieta; ty nie wiesz, co to jest ten świat tak wesoly, tak śmiejący się, rozkoszą na pozór oddychający!. Ach, ja spokoju pragnę.. spokoju kuzynku! ale idź! idź! czas traćę drogi przy tobie. A widząc zapytanie jakies w pół otwartych ustach kuzynka, dodała jeszcze uciekając z pospiechem do gabinetu swego: wieczorem bąc na dole przed domem księżny wojewodziny, czekaj tam na mnie koniecznie, tam ci powiem... i z zamykających się drzwi lysnął tylko promień jeden ostatni; ogniem padł na duszę naszego hrabiego.

Ruch w mieście zwiększał się ku wieczorowi; ruch odpowiedni godności osoby wydającej bal, i balowi miesiącem wprzody zapowiedzianemu. Na najodleglejszych Warszawy ulicach poznać było można, że jakieś zdarzenie odznaczające się odbywa się w mieście, bo chociaż festynów, bankietów i balów było bez liku w Warszawie w czasie karnawałowym, każda przecie nowa zabawa u wielkiego pana dawana głośno odbijała się po całym mieście. Inaczej to dzisiaj idzie; dzisiaj przechodząc przez ulicę ledwie poznasz, czy się na niej w tym lub owym domu bal odbywa jaki; po oświeconych patrząc oknach, myślałbyś, że tam może umarły ostatnią swoją paradę odbywa na światłem otoczonym katarfalku; gdyby cię przytlumiona nuta, więcej tęskna, niż wesola Straussa lub Lannera nie nauczyła, że tam żywi się bawią; wyobrażenia nasze zdrobniały dzisiaj rozbiegając się po wszystkich stanach, życie panów spowszedniało przechodząc na dolne piętra, wszystko w koło nas i w nas zmalało; któż dzisiaj balów nie daje!

Inaczej się działo onego wieczora w Warszawie; na ulicach mniej oświeconych, jak dzisiaj, wrzało życie pełne, tłumy ludu ciekawego przesuwały się niesfornie napoly nękane w cieniach nocnych, napoly oświecone światłem buchającym od pochodni kometą lecących przed pańskimi powozami. Powozy następowały jeden po drugim nie skromną parą koni ciągnione; ale poszóstnym zaprzęgiem, strojnie w świecące ubrania koni, szklnięce od grubej pozłoty, otoczone mnogą zgrają pieczęj i konnej służby w pyszne stroje przebranęj przemukały się szybko przed zdumionym ludem jak widziadła jakie, coraz nowych kształtów, coraz żywszych barw. Wesolo było w Warszawie w ostatnich dniach karnawału; nikt nie myślał o pokutnym poście tak już niedalekim.

Późno już było, coraz rzadsze przelatowały powozy, już nawet powozy najjaśniejszego znikły w oświeconych podwojach pałacu wojewodziny, który zewnątrz i wewnątrz błyszczał na około, jak zamek diamentowy czarowni jakiej. Mimo dosyć mocnego zimna płaszczem owinięty stał hrabia Andrzej o kroków kilka od głównego wjazdu; biciem serca rachował wszystkie zajeżdżające powozy, i nie jedną już uwagę zwrócił na siebie, aż nareszcie żywszym ruchem uderzyła krew w zmrożoną twarz młodego trubadura, skoczył, aż żalonym jękiem zadrzała gitara pod płaszczem ukryta, i z pysznego powozu wysiadającej księżnie S* podał rękę drzącą od zimna, czy od wzruszenia. Widok ulubionęj nagrodził długie oczekiwania chwile; a potem, on myślał, że tak późno przybyła naumyślnie, aby tém swobodniej przy zmniejszonej liczbie za-

ambide
mchial
221 20
sawin
worsan

jeżdżających powiedzieć tych stów kilka, których się spodziewał, bał i żądał razem; nie domyślał się zapewne, iż ona najpóźniej przybyła, aby wejść ostatnia między zgromadzone współzawodniczki swoje; myśl o wrażeniu, jakie sprawi na balu, wypędziła może z myśli ranniejsze zamówienie hrabiego.

I z cienia powozowego występując, światłem pochodni, jak wieńcem ognistym otoczona, z uśmiechem, ale uśmiechem malującym radość nie zwykłą, zapytała go głosem dzwicznijszym niż zwykle, bo drżącym od wewnętrznego zadowolenia. »Czy piękna jestem w tym stroju?

Strój jej był rzeczywiście zachwycający, bo doskonale zrozumiany; nie był to strój ślepo i niewolniczo naśladowujący wiek jaki lub kraj — o nie!; był to kostium zapewne, ale zupełnie własny, nowym pomysłem szczęśliwie utworzony. Suknię miała z materii lekkiej, białej, jak śnieg, przejrzystej jak mgła, to też mgłą kapryśną rozbiegły się faldy szerokie śniegiem ogona tej konieczności balowej spadające. Na spodzie suknią wykrajana w kształcie starożytniej tuniki, obszyta była szeroką taśmą złotą wyobrażającą potok złoty, stanik na przodzie grubo ufałdowany, spięty był na ramionach dwoma złotemi głowami lwiami emaliowanemi na czarno; przepaska również złotem przeszywana spinała się na przodzie napiersznikiem z podobnych lwów. Rękawy krótkie, greckim niby krojem rozdwojone, zciągnięte były dwoma guziczkami podobnemi do napiersznika; ręce były gołe, a miała je księżna jak z alabastru utoczone. Ubranie głowy było niemniej piękne, i zupełnie odpowiednie całości; było takie jak na Antykach, włosy zebrane na wierzchu głowy utrzymywała siatka złożona z łańcuszków złotych, których każde ogniwo odznaczono było emalią czarną; siatka ta jak na dawnych posągach widzieć można, spięta była na przodzie głowy rodzajem złotego antyka, również z czarną emalią, ze środka której błyszczał brylant czarny cudnej wody, mniej jednak świecący niż jej oczy w tej chwili pełne nadzieje. Na szyi labędziej był wąż złoty, którego łuskę naśladowała czarna emalia; podobne były naramienniki i kulce. Cudowna była w istocie księżna, jak gwiazda w mglistej chmurze zawieszona; osobliwie dobrze był wyrachowany do jej rysów regularnych liniami greckimi zaokrąglonych, przy kibici giętkiej uginającej się, w powietrze prawie ulatującej, ten strój na poły fantastyczny, na poły posągowy; wyglądała, jak bóstwo Homera z mgły Ossianowej wypływające!..

— Wykrzyk zachwycenia odpowiedział jej. W tej chwili wydała się hrabiemu piękniejsza, niż najpiękniejsze marzenia jego młodzieńcze.

Wstrzymując znakiem ręki idącą za nią służbę, oparłszy się na ramieniu hrabiego postępowała pomału po szerokich miękkimi dywanami wysłanych schodach.

— I wiesz! mówiła drżącym głosem, podnosząc mglisty ogon, wiesz co to jest? to jest muszlin indyjski, ten muszlin, o którym na balu u hetmanowej krajczyna rozpowiadała nam, jak o bajce jakiej, jak o fenixie, twierdząc że go niepodobna dostać. Ja go dostałam przecie... już powątpiewałam... i dziś dopiero z rana.. dziś!.. możesz sobie wyobrazić!.. pierwszy muszlin taki w Warszawie! O!.. krajczyna zachoruje!

— Więc po to kazałaś mi tu przyjść, by mi powiedzieć.

— Daruj Andrzej! ale ty nie rozumiesz tego.. Król będzie ubrany po grecku, jak Alcybiades, a l'antique; dziś się z rana dowiedziałam o tem od pana pisarza; czy pojmujesz teraz?. a ta biedna krajczyna przysięgnie, że będzie w stroju Ludwika XIV., i wyobraź sobie, jak bę-

dzie wyglądać w stroju ciężkim robronowym pani Maintenon, cha! cha! cha! Aż się musiała zatrzymywać na każdym schodzie, tak ją dusiła radość, dławilo poruszenie wewnętrzne, tchu jęj brakowało, a z oczu łyśkał już ten tryumf przeczuty. Mimo całej sztuki życia serce jęj biło tak gwałtownie pod tym cudownym muszlinem, jak kiedy dzieckiem niewinnem szła po raz pierwszy do spowiedzi.

Lecz któż opisać zdoła, co się działo z hrabią Andrzejem; dreszcz ziębił go aż do kości; te słowa lekkomyślne ukochanej padały lodem na duszę jego; odczarowanie odbywało się w nim w swojej ostatniej najokropniejszej przemianie, »Więc po to kazałaś czekać na siebie, bym słuchał o królu? o pewności i chęci, jaką masz podobania n.u się! rzekł z takim wyrazem, że się aż opamiętała księżna, i zwróciwszy na niego promieniste oczy, dobyła z nich spojrzenie najczulsze: była w nim proźba najtkliwsza, błaganie anioła; spojrzenie to było areydzieniem sztuki czy natury. Była tak szczęśliwa w tej chwili, iż chciałaby widzieć same szczęśliwe twarze w około siebie, twarze zapewne męskie tylko; upojenie radośne brała za uczuciowe wzruszenie; jakoż w tej chwili zapala wierzyła sama w słowa, którymi po mału z czarującym wyrazem przemawiała do hrabiego Andrzeja.

— Złe mnie rozumiesz; ja chciałam, abyś ty pierwszy widział mnie w tym stroju; mój pierwszy i najmilszy tryumf w twoich chciałam czytać oczach; ja chciałam ciębie błagać o ten jeden wieczór, daruj mi go mój Andrzej! ten jeden wieczór niech użyję pełną piersią zemsty nad tą nienawistną! Niech im zostawię na pożegnanie mój tryumf, bo ja tu czuję, iż dziś zwyciężyć muszę; niech zwycięzcą zejde z pola tylu walk... tak na pożegnanie mój drogi! jutro już twoje; mojem jeszcze niech będzie dzisiaj! I coraz słodszy głosem, wzrokiem coraz potulniejszym błagała.

Oniemiał hrabia Andrzej.

— Nie wierzysz! mówiła coraz prędzej, czy zapalem nadzwyczajnym wiedziona, czyby prędzej zakończyć tę przedwstępną scenę, a w miękkich dłoniach cisnęła rękę hrabiego; na tych rękach oparta wejda między nich, i po godzinie tak długo żądanej zemsty, sama przedstawiając cię królowi, jako tego, którego w krótcie nazwisko...

W tej chwili na ostatnim już znajdując się schodzie wyprostowała się; mglisty ogon zsunął się z trzymającej dłoni, i śniegiem posypał po schodach. Hrabia Andrzej zadziwiony omamiony tym wzrokiem tak tkliwym, słowy tak czulemi, uściskiem ręki tak szczerym, nie wiedząc prawie, co robi, chciał przykleknąć i zbliżył się ruchem przędszym od myśli by ucałować tę uszczęśliwiającą go rękę. Księżna podniosła już nogę by prędzej stapać ku zwycięztwu; niezgrabną stopą zakochanego i zabałamuconego trubadura zatrzymany ogon ledwie dosłyszaniem pryśnieniem oddał się od sukni, i śnieżną chmurą na niższe opadł schody. Była to jedna chwila, chwila krótka, ale zapełniona uczuciami trudnemi do oddania; chwila szczytna i śmieszna razem. Księżna i hrabia spojrzeli w jednem oka mgnienu na tę nie do poprawienia szkodę; wzrok, jaki rzuciła księżna na suknię, a potem na niego, był tak wyrazisty oburzeniem rozpaczy, gniewem i nienawiścią, że aż się przestraszył hrabia Andrzej; zbrzydła zestarzała w tej chwili księżna. Ruchem szybkim jak myśl odepchnęła hrabiego, który oniemiały słowa nie był wstanie wyrzec.

— Precz! precz! przytłumionym wyrzekła głosem, głosem tak różnym od poprzedniej słodkiej mowy; precz!, powtórzyła, nie zważając na twarz hrabiego i wzrok jego, w którym się mieściło przecie ostatnie błaganie i pierwsza gróżba; precz niezgrabny! a usta skrzywione drgały okropnie.

Prędkim ruchem skoczył hrabia, i znikł biegnąc po schodach, jakby się bał pogoni własnego żalu, bo księżna ledwie dostrzegła jego odejście. Jak Niobe skamieniała, podobniejsza niż kiedy do posągu patrzyła przez siebie na tę oddartą chmurę muszlinu przed nogami leżącą. Co przecierpiała. ten pojmie tylko, kto zdoła wyobrazić sobie wszystkie te marzenia, z jakimi wyglądała miesiąc cały téj sukni, z jakimi ją witała i z jakimi stroiła się na ten bal już teraz dla niej zamknięty. W téj chwili nie myślała zapewne o całej przyszłości zniszczonej na zawsze, przyszłości, która mogła być tak szczęśliwą...

Hrabia Andrzej téj nocy jeszcze wyjechał za granicę. Po długich latach, które zasmakowawszy w życiu podróżnym, całą siłą wyobraźni i uczuć spaczonych przywiązawszy się do człowieka, który wówczas sławą swoją zapełniał świat cały, przepędził zagranicą w środku owych towarzystw wielkiego świata, których ogniskiem był Paryż; powrócił mąż średniego wieku przetrawiony życiem. Odwiedził stolicę ojczyzną ledwie pamiętając na chwile tak dawno minione, odległe o tyle zdarzeń późniejszych. Na jednej z wieczornych zabaw stołecznych zdybał księżnę S* dotąd wdowę jeszcze, ledwie poznał. Zmieniły się ich role; obojętnym, wzrokiem, który tyle rzeczy widział, powlókł po twarzy tak sobie znajomej, i serce jego nie przemówiło. Księżna S* zadrzała na widok jego. Cóż dziwnego!; on stał w środku tego życia światowej obojętności, z którego ona schodząc już nadaremnie zwracała się do marzeń niepowrotnych w jéj wieku. Napróżno!.. Westchnienie nie słyszane i nie uważane znikło w odgłosie pierwszych taktów muzyki balowej... gdy hrabia Andrzej przystąpił z grzecznym ukłonem i prosił kuzynkę o rękę — do poważnego tańca polskiego!..



Hogartowskie obrazy.

Wydawnictwo Literackie

ż
le
j
o
o
ś
ca
k
ja
w
i
r
i
p
g
C
z
l
c
k
sz
b
tr
d
p
sz
m
al
sz
p
sk
A
w
w

HOGARTOWSKIE OBRAZY.

Nie dawno temu w uczonój rozmowie slyszalem od sąsiada mego, że Hogart rysował same karykatury, a karykatury podług niego są malowane paszkwile; naprzóno było wdawać się w polemikę, bo mój sąsiad jest uparty szlachcic; umilkłem zatem, jakkolwiek innego jestem zdania.

Hogart podług mnie, a zdanie to nie jest nowe nawet, wystawiał obrazy z życia wzięte; nie jego wina, jeżeli towarzystwa i szczególnie osoby, które wkoło siebie zdybywał, były śmieszne, a malując pędzlem śmieszności te narości moralne nie mógł ich inaczej oddawać, tylko rzucając na papier tu i owdzie narości zbytkowe nosów, bród i garbów, które, bym się tak wyraził, były tylko szyldami!.. Każdy człowiek ma, jak się Niemcy wyrażają, szatańską jedną nogę, która gdzieś koniecznie wystawać musi; Hogart szatańskie te nogi widzialnemi rysami malował — i to mają być karykatury?. Sąż więc karykaturami powieści, w których pisarze nowocześni anatomicznem piórem moralne opisują wrzody? i czyliż Hogart, gdy wydał naprzód usta dumnego, nos skąpeca, ów wytrych przedłużył, twarz pijaka całą kopalnią rubinów i safirów obsypał, czy głupca na wierzch wysadził, czyliż wówczas malował karykatury?. Czasy Hogarta bogate były w śmieszności, bo życie mniej było wyrozumowane, więcej zewnętrzne, a zatem rozmaitsze; i naród, z którego łona czerpał Hogart natchnienia swoje, splinowem usposobieniem, więcej mu poddawał rysów płaskorzezbowych. Dziś trudniej już o karykatury; nie ma zkad ich czerpać i nie ma dla kogo malować, bo i śmiesznych i śmiejących się ubyło; dziś Hogart gdyby z Moskwy do Lizbony całą olbrzymią przestrzeń ucywilizowanego świata przeleciał wiatronogą kibitką, orlopiorym wozem parowym, nie zdybałby może je-dnego obrazka dla siebie; a wkrótce przysze Hogarty, lecące balonem po nad starym światem, chyba pomiędzy ptakami, lub herszlowskim szperając teleskopem, między gwiazd mieszkańcami szukać będą przedmiotów do rozśmieszających obrazów!. Są i dziś zapewne karykatury; ale w życiu dzisiejszem więcej wewnętrznem trudno je wynaleść, a jeszcze trudniej ołówkiem albo pędzlem oddać, bo rysy ogólne zlały się pomału w rodzaj podobieństwa familijnego, a rysy szczególne roztrząsały się na tak rozmaite odcienia, iż je ledwie piórem opisać można. A to pióro dzisiejsze, pióro anatomiczne jak się zacznie w głąb w kopywać, nie jeden obraz, który miał być na pozór komicznym, stanie się w głąbi tragicznym!.

Dla czego tak jest, trzeba się pytać życia dzisiejszego!. Z myśli w myśli przechodząc przypomniałem sobie z życia mego obrazek, który może posłużyć na poparcie tego, co wyżej powiedziałem, a który nazwę hogartowskim. Czyli i jaki stąd może wyniknąć pożytek? by szczerze wyznaczyć, nie umiem powiedzieć; ale może zabawię, może przez jedną chwilę oderwę od nudniejszych zatrudnień!: a i to czyż nie jest pożytkiem?

Dwa Zegarki.

Najprzód rysunek powierzchowny... Izba niska i obszerna stanowi oczywiście część dworku szlacheckiego, bo podłoga z niebardzo równych desek ułożona, a powała sterczy poprzecznymi balkami, skąpo i ongi pobielonemi; piec kaflowy z pręgami gliną zalepionemi mnogich śwędów świadkami, i komin, sady przybytek, zapełniają całą jedną ścianę; za to trzy inne płutnianem pobielonem obiciem strojne; czas i szczyry podziurawili je wprawdzie, zawsze jednakże dosyć świeżo się wydają, a nie mało strojności dodają im obrazki nie nader symetrycznie rozwieszzone. Na jednej ścianie cztery pory roku, różne swojemi kolorowaniami godłami, choć je muchy dosyć jednostojnie popstrzyły; na drugiej dzieje syna marnotrawnego, od hucznych bankietów zaczawszy, aż do skromnego świniak pasenia; a na trzeciej dziwnie interesujący żywot Genowefy brabantkiej, w pałacu i na puszczy z dzieckiem i z łańią. Krzesła w koło ścian dębowe podobno, lecz i politurę i barwę obić ząb czasu zdrapał, a porządek, który wszystko naprawia, nowemi ubrał łatanami; na środku stół dębowy umozajkowany dziurami wypalonemi i wydrapanemi; brudem, kredką i piórem nawet, zdaje się świadczyć, że pokój ten łącząc kilka przeznaczeń jest jadalnym, bawialnym i ekonomicznym razem pokojem. Bym nie zapomniał, w przeciwnym kominowi kącie stoi długa drewniana rura z głową zegara, i głosem kukulki, a między nią, a kwiecistą wiosną wiszą trzy nahajki różnej długości, grubości i tęgości, dobrze zużywane, ale zawsze pełne życia jeszcze. Trzy tylko osoby stanowią grupę obrazu, bo wprawdzie przez drzwi w pół otwarte widać w sieni kilku chłopków z nieśmiałą miną drapiących się w głowy, ale w samej izbie widzimy tylko w samym środku stołu stojącą postać mężczyzny, którego mętrykę z twarzy trudno poznać, bo jeżeli czas licznemi poorał ją zmarszczkami, natomiast zdrowie, wiatry, upały i niepogody znamię czerstwości na niej wyrwały: czło niskie i ciasne grubą kasztanowatą najeżoną i brudną włosów szcztoką nadsztukowane, nie rachując w to słomy i pierza resztek z rozlicznych nocelegów; oczy bure, wielkie, na wierzchu osadzone były obie jednakowe zapewne, póki jednego niezgrabna ręka jakaś sincem i gulą czerwoną nie naznaczyła; nos musiał być zadarty, lecz tabaka go wszędz rozepchała, a gorzałeczka ustroiła w barwę sincowi odpowiednią; usta szerokie, grube wargi, rodzajem szyderczego uśmiechu ku uszóm rozciągnięte i nieco skrzywione: wszystko to wraz z brodą dwa razy dłuższą od twarzy, na pół włosom zarosłą, i centkami czerwonemi na twarzy hojnie rozrzuconemi, tworzyło ogólną charakterystykę tej twarzy. Szyja krótka, ale za to garb z tyłu sownice wzniesiony, i powiększony jeszcze tłomoczkiem dosyć podartym, z którego boku źle zesnurowanego wystawały sukien i bielizny ułamki; a na wierzchu położone buty dziurawe zdawały się łączyć głowę z garbem. Surdut, kamizelka i spodnie tworzyły całość harmonijną brudem, łatanami i wynoszeniem, ale oczywiście się kłóć pochodzeniem swoim z tandety, która

surdut, z niegdyś axamitnym kołnierzem zdjęta z wysokiego suchotnika, kamizelkę z otylego pasibrzucha, a spodnie z małego gimnazjasty, by naszego ubrać garbusa... Otóż i on cały, prócz krawaty niegdyś włosiennej, i czapki, której pochodzenia i kształtu nie odgadnąć, tak ją używanie rozepchało, a stoły licznych szynkowni i dészczu nawaly z prochem dróg zmieszane pobrukały; ten człowiek wydaje się ubogi, a przecież jest zbytek widzialny na nim, zbytek drugiej pary butów na krótkich nogach, zbytek dwóch pierścieni na palcach, srebrnego i tombakowego, zbytek chustki kratkowanej, którą w chwili na obrazie schwyta-niej, pot zciera z czoła.

Druga na obrazie osoba oparta na dębowym stole, jest to chudy wysoki ospowaty jegomość z zapadłemi półieczkami, nosem spiczastym sympatycznie ku równie spiczastej brodzie schylonym; pod tym kabłąkiem usta wgłęb ściśnięte, bezzębną zamykają gębę; nieco w górę rozciągnięte, złośliwym uśmiechem rozpromieniają żółte, pargaminowe policzki, nad którymi błyszczą małe, piwne zyzowate oczy, pełne ciekawej niespokojności, a wznosi się czoło ściśnięte w skroni, zapisane całe najkprzyśniejzemi zmarszczkami, jakie tylko wymyślić można. Włosy niegdyś ciemne, czas przeredził i pośrebrzył, a grzebień i ręka ku czołu zaczesaa i zagładziła; ubiór cały kusy stary, z ojczystego dreliszku, i widocznie przez staro-zakonnego krawczyka sporządzony, odznaczał się nie tyle porządkiem, ile szanowaną oczywiście starożytnością. Bez czapki, bo domowy; bez halsztuka, bo widać przez okno otwarte zielone sadu konary; drugą rękę miał na pół wyciągniętą ku garbusowi, a długiemi palcami, jakby szponami, zdawał się mocno cisnąć przedmiot jakiś, z którego wisiał tylko ułamek sznurka czarnego.

Trzecia osoba na obrazie stoi o parę kroków od stołu, jakby tylko co przysła ze środka pokoju, na pół obrocona ku chudemu jegomości, a na pół ku garbusowi, trzyma rękę wyciągniętą, a w niej złoty zegarek cybulowego kształtu z różnobarwnym łańcuszkiem paciorkowym. Jest to niski, pękaty, niemłody już, i nawet łysawy blondyn, chociaż się do tych własności przyznawać nie zdaje; bo i głową zadartą w górę i obcasem wysokim sztukuje się, jak może; faworytami gęstemi od uszu do ust ciągnącemi się, i wąsem miotłowym rzęsiстым, a hiszpanką wymuskana nagradza brak włosów pilnie na czoło wypukłe naciągniętych, i zmarszczki twarzy, jakkolwiek się ta pełnością i rumieńcem kluci, jak może, z nielitościwym wiekiem, ubiorem obcisłym brzuch wyrastający ściąga o ile sił starczy, a świeżością barw na całym tym stroju chce widocznie letnich kwiatów przypominać porę: Bo proszę patrzeć tylko: nakamizelce białej, pikowej, nakrapianej niebieskimi i pomarańczowemi gwiazdkami, która dziwnie dobrze odbija od różowych spodni, i walter-škotowego surducika, jest najprzód na cał szeroka wstęga, jakby orderowa, jasno-błękitna, która niknie w lewej kieszonce od kamizelki z wystającym piórkiem od zębów; jest czerwona, morowa wstążeczka, która ku prawej dąży kieszonce z zegarkiem zapewne, a zieloną przedłużoną wstęgą, kończy się bogactwem krwawnikowych pieczętek; na paliowej wisi u szyi lornetka ku ozdobie raczej, niżeli ku potrzebie zawieszona; czarna znowu z jakąś pamiątką czy świętością z po za kamizelki wygląda, a blado-różowa wstążeczka wstydliwie się chowa pomiędzy guziczki świecące z niewidomym przedmiotem. Oczy jasno-niebieskie, chociaż pozbawione wyrazu, i jak dwie olbrzymie cybule na wierzchu osadzone, zdają się także spojrzzeniami pewnemi, zuchwale na wsze hoki rzucanemi

świadczyć o żywotnym ogniu, którego pełno jeszcze w tej okrągłej kulowatej figurze; tą razą zdaje się z nich strzelać inny jakiś wyraz, który gdzieś z głębi dobytej mniej zwyczajnym promieniem uszlachetnia twarzą.

Nie wiem, czy piórem zdołałem oddać ten wyraz śmieszności rozlany na tej grupie; tak jakby się on wydał, gdybym mógł obraz ten odmalować pędzlem, tak nareszcie, jak się wydał oczom moim, bo obraz ten jest istotny: osoby odrysowane żyły i odbyły razem scenę, której z drugiego pokoju byłem świadkiem, a którą odrysowawszy ogółowo, szczegółowo opisać zamyślałem.

Garbaty Janek byłato sierota losu, stworzenie koczownicze, które odbyło wędrowkę życia bez popasów wygodnych i noclegów orzeźwiających. Życie jego całe tak rozmaite stanami, których próbował, miejscami, które niemordowaną przebiegł nogą, a tak jednostajne nędzą nieodstępną towarzyszkę swoją, nic mu nie dała po czterdziestu latach, prócz tych lachmanów, w których go widzimy, prócz tego filozoficznego uśmiechu, z którym się nauczył patrzeć na świat i jego zdarzenia, i tych kilku płam na nosie i twarzy, któremi go obdarzyła jedyna pocieszycielka jego żywota: gorzałka, ta stała mu się wszechwładną czarodziejką wywołującą co dzień świat inny, świat pełny uroku!

Jakoż dzieje jego życia łatwo odgadnąć z powierzchownej postaci jego: nie ma w jego głowie myśli tajemnych; dusza jego nie chowa pamięci zdarzeń szczególniejszych; a przecież są chwile przedgorzałkowe, w których niknie filozoficzny uśmiech jego; są chwile pogorzalkowe, z których o przeszłości swój gada jak o raj utraconym. Epizody jego żywota nie ciekawe zapewne dla czytelników przemilczę, jakkolwiek nie mały dałby się może wyciągnąć sens moralny z tej prostej, ale hartownej natury, którą nędza i pijaństwo nie zepsuły; o brudy towarzyskie ocierając się przez lat czterdzieści, wyszedł nasz garbus z czystym sumieniem, i wesolem zawsze usposobieniem. Fatalizmem jego żywota był garb, a później gorzałka! Napróbowawszy się różnych rzemiosł, z których wypędzał go śmiech, jaki wzbudzała postawa jego, dłużej zatrzymał się przy warsztacie szlufierskim, bo wędrując z ulicy w ulicę, z miasteczka do miasteczka, przy furczącym szlufierskiego koła odgłosie, łatwiej mógł puszczać mimo uszu żarty i przydomki, jakimi go lamparty uliczne obsypowały, lecz nagle bez pozornej przyczyny opuścił ten stan najwięcej zgodny z garbem jego. To była tajemnica jego żywota? od tąd po raz pierwszy rzucił się wobjęcia czarownej wodeczki, i odtąd pozostał w nich na zawsze; zaczął służyć po dworkach i dworach; nie litościwy śmiech wyganiał go zewsząd. Stan lokaja w mieście uśmiechał mu się, jako najwyższy szczebel szczęścia, lecz próżne były sny jego nocne, próżne marzeniaienne; napróżno uczciwością chciał się utrzymać i wznosić w tym stanie; lokaj garbały była śmieszność, od której każdy uciekał; ledwie jako sługa dochodzący mógł czyścić buty studentów niezamożnych i niższych urzędników: a i tu ileż razy odpędzało go głupstwo wstydzające się Jankowego garbu. Coraz głębiej zacierając do kieliszka sprzykrzył sobie nareszcie to życie, zniechęcił ludzką niewdzięczność i puścił się na wędrowkę; przechodząc przez tyle stanów, nie mało pożytecznych nauczył się kunsztów, i tak: tam łątał, tu brzytwy i noże ostrzył, tam furmanił, tu siekierą rąbał, czasem kominu czyścił, czasem huczno grał mazurę; zgoła od wioski do wioski, od gospody do gospody, od rannego kieliszka wódki do wieczornej piwa

szklanki przesekaliwał wesoło życie, a słuchając zdarzeń cudzych, i rozpowiadając własne, nabrał tego filozoficznego uśmiechu, z którym go widzimy stojącego na obrazie przed panem Wincentem i panem Antonim, dwoma braćmi, współdziedzicami czwartej części lichy wioski podolskiej.

Lecz uważam, iż nadto prostym sposobem rozpowiadam powieść moję... a zatem zrobmy skok!...

Był to w wieczór po bitwie pod Samosierra, czyli Sierra-Morena. Jakkolwiek mógłbym tu piękny umieścić epizod o tej, nie tak stanowczej, jak raczej morderczej bitwie, wolę jednakże ciekawych czytelników odesłać do opisów historycznych, które prozaiczniej, ale wierniej zapewne odmalują tę bitwę. I o okolicy górzystej, w której ma się odbywać scena mojej powieści, wiele powiedzieć można, lecz niestety! nie byłem w Hiszpanii, i tylko z opisów wiem, jak musi być czarowna ta okolica przetrzęta skalistymi wązozami, które dziwacznie piętząc się wyłomami, tam gołem sterczą urwiskiem, tu w zieloność drzew strojne wznosić się zdają w błękit nieba... w błękit nieba hiszpańskiego! a rzuciwszy na to wszystko złociste promienie zachodzącego słońca, które się odbija o złote arabeski ścian Alhambry, łamie się pomiędzy kolumny dawnych Maurów pałacu, chowa się w wonnych gajach Grenady, przegląda się pyszne i promieniste w złotem tkanych Tagu nurtach; a dodawszy do tego powietrze rozkołysane nutą dawnych pieśni o Cydzie; byłby to krajobraz godny pędzla, godny pióra poety! Nie byłem w tym kraju poezji i słońca; nie mnie to mieszkańcowi ludów północnych zgadywać i opisywać cuda, które tylko w godzinie natchnienia przysnąć się mogą! Był wieczór pogodny, chociaż tu i owdzie z parowów oświeconych jeszcze ostatnimi słońca promieniami wznosiła się mgła, nie mgła, która spada na ziemię, dęszczeniem ożywczym, ale mgła z morderczej walki pozostała, mgła prochu nieszczędnego przez dzień cały. Milezenie nastąpiło powszechne; czasem je tylko przerwie jęk jaki urwany! nie głos to puszczyka!.. zawczasie jeszcze na tego nocnego płaka! o nie! lecz mgłę prochu wnet rosa rozkradnie wieczorna, a jęk umilknąć także musi.

Ścieszką wiodącą gęstym gajem, rozrzuconym po nad wązozem, który był świadkiem morderczej bitwy, szły dwie kobiety: młodsza postawą i ruchem, osłonięta ciemną mantylką szła naprzód; starsza chromioną przez wiek wlekła się za nią krokiem.

Panno! panno! wracajmy! jak się stryjasek dowie o tej wyprawie, będzie się gniewał na biedną Donatę.

Nie bój się pocziwa Donato!.. mój stryj był żołnierzem, dziś jest kapłanem; nie będzie się gniewał na bratanek, w której żyłach płynie krew dawnych Hiszpanii oswobodzicieli, jeżeli idzie z ratunkiem i morderczą na pole bitwy.. gdzie nie jeden może z ziomków moich...

Jęk przedłużony dał się słyszeć.. Stara wzdygnęła się.. Panno! Juanito! uciekajmy!..

To tam niżej odezwał się głos... chodźmy! i przedzierając się pomiędzy krzaki pobiegła Juanita ku miejscu, z kąd głos się odezwał powtórzony, lecz coraz cichszy i słabszy. Stała nagle dziewica nie bez wewnętrznego wzruszenia i do nadbiegającej staruszki rzekłszy z wyrazem pogardy; »to francuz!« chciała iść dalej, lecz gdy mimowolnie raz jeszcze rzuciła wzrokiem na leżącego przy krzaku trupa, coś jej zaświeciło z łona ciemności, które się już rozchodzić zaczynały. Był to złoty krzyżyk zawieszony na piersi leżącego żołnierza; znać go dobył z zana-

drza, przyciskając rękę o piersi zranione, lub wiedziony myślą jakąś po-bożną... To chrześcianin! rzekła głosem anioła i odrzucając zasłonę na ramiona, schyliła się ku leżącemu...

O jeżeli była jeszcze iskierka w nim życia, musiało się ocucić na widok tych dwoje oczu, które spojrzały na niego z wyrazem nadludzkiej litości. Jakoż ranny zrobił poruszenie; oczy Juanity z wyrazem wdzięczności wzniosły się ku niebu, a spadły radośnie na oblicze dorodne leżącego młodzieńca; i ratując go wszystkimi przyniesionemi ku temu środkami zapomniała Juanita i godzinę późną, zapomniała i ziomek, których szukać i ratować przyszła. A gdy pod puchowem śnieżnej ręki dotknięciem ogorzała twarz żołnierza ożywiać się zaczęła, gdy jej ciemne oczy pierwszą iskrę życia i poznania w otwierającym się błękitnym jego oku dostrzegły, pamiętała już tylko o tém, jak wyratować zupełnie biednego młodzieńca.

Donato! jak my go zaniesiemy?

Mniej litościwa staruszka trzęsła się ze strachu i zgrozy, widząc swoją Pannę, córkę prawego szlachcica hiszpańskiego, bratanek przeora bliskiego klasztoru bosych Karmelitów, schyloną nad bezbożnym francuzem. To poganin! krzyknęła.

Donato! patrz na oblicze pana Jezusa na tym krzyżyku; to biedny zbłąkany chrześcianin! jak go zanieść, poradź!. gdzie go schować? poradź moja kochana mamko!.

Juanito! to będzie nieszczęście twoje! pamiętasz ostatnie słowa księdza przeora! Zbliżają się nieprzyjaciele, ale śmierć dla nich!. śmierć każdemu Francuzowi!

Ułan tymczasem otworzył pomału zdziwione oczy, i w pierwszej chwili mniemał się już być w niebie, widząc tak blisko nad sobą gwiazd dwoje promiennych, później zdawało mu się, że jest w objęciach anioła, a gdy powoli wrócił do przytomności, rozumiał, o co rzecz idzie, i zebrawszy całą umiejętność języka hiszpańskiego, osłabionym wyrzekł głosem: Ja nie Francuz; ja Polak!.

A widzisz Donato!

Po coś przyszedł Polaku z bronią w rękę do naszej pięknej i wolnej Hiszpanii? surowo zagadła Donata.

Nie mógł się wdawać w polemikę biedny ułan, bo za każdym słowem krew się dobywała ze zranionych piersi; a gdyby i mógł, cóżby zdołał odpowiedzieć młody i niedoświadczony szeregowiec: należał bowiem nasz ułan do liczby tych, którzy idąc za popędem owoczesnych marzeń, jak dawniejsze pokolenia do ziemi świętej, szli stawiać się pod orły francuskie, i płonne urojenia krwią płacąc własną, trupami swemi zasłali szeroką świata przestrzeń od piramid egipskich, do kolumn Herkulesa.

W grobowcu księcia Maurow będzie leżał! natchniona zawołała dziewica... Juanito! to przekleństwo jakieś na ciebie! Długo trwało, nim wsparty na obudwóch niewiastach dostał się po skalistej i krętej ścieżce, która wiodła po nad urwiska, pomiędzy zarosłe do spustoszonego budynku, który okoliczna wieś nazywała grobowcem księcia Maurow; był to budynek obszerny, sklepiony, złożony z kilku oddziałów napół zawalonych. Popekanemi schodami zeszedł nareszcie w dół; i tam był obszerny pokój kilku okienkami z góry oświecony; większa jego część zawalona była gruzami kolumn, na których widoczne były jeszcze dawnych rzeźb ślady. Grobowiec ten był źle uważany, i nawet za siedzibę

złych duchów miany przez pospólstwo zabobonne i z tych właśnie powodów wydał się Juanicie najbezpieczniejszym schronieniem dla ранnego, tём więcéj, że nie daleko z tamąd było jéj własne pomieszkanie w starém na gorze zawieszonym zamczysku; a prócz tego ona to zwiedzając często złowrogie ruiny, wynalazła sama drzwiczki ukryte w ścianie, i schody prowadzące do dolnej komnaty. Chętnie by była umieściła chorego w wygodniejszym pomieszkaniu własnem; ale obawiała się nienawiści, jaką pałali wszyscy Hiszpanie ku najezdcóm swoim; a chociaż bez ojca i matki, sama jedna z starą mamką i kilku wiernemi sługami mieszkała w zamczysku, bała się dla żołnierza częstych odwiedzeń stryja, zagorzałego nieprzyjaciela wszystkich Francuzów. Póty biegła z zamku do grobowca, póty błagała swéj mamki ze łzami w oczach, póki nie przynieśli młodemu żołnierzowi wszystkiego tego, czego mógł dla swéj potrzebować wygody.

Przeskoczmy kilka tygodni słabości i wyzdrowienia naszego ułana, a ciągłej staranności i opieki z strony pięknej Juanity! A piękną była piętnastoletnia Juanita, piękna tą pięknością czarnookiéj Hiszpanki, piękna ogniem, jaki strzelał z oczu, który się rumiejać na póły wstydlwym, na póły namiętnym rozlewał po białej jak alabaster twarzy; piękna osobliwie tём usposobieniem na póły nieśmiałym płacziwym prawie, usposobieniem lęklivéj kobiety, a na póły energicznym, wyczerpaném z krwi dawnych bohaterów: wychowanie samotne i pobożne w pięknej okolicy, pod niebem uroczém dodało do powabów tyłu nowy urok niewinności, który zdawał się obwiewać ją anielskimi skrzydły. Lekką Sylfidy stopą ziemi dotykała, marzeniem i modlitwą w niebo wzlatywała.

Lecz jakże zmieniły ją dni, które od owego zdybania tak szybko, tak niepowrotnie uleciały; w obszernéj zamku starego komnacie siedzi smutna w szerokim starego kształtu krzesle; oczy jéj nieruchomie wciśnięte w kamienną posadzkę pokrywa zasłona leż wstrzymywanych i długich ciemnych rzęsów, których cień przedłużony, odbity od świec na stole postawionych miga się po pobladyłych licach. Na tym stole stoi wysoki krucyfiks misternéj roboty, smutny sprzęt w dziewiczym pomieszkaniu; a przed nią nie ruchomy mężczyzna w mniszym stroju z oczami surowo wlepionemi w jéj smutną twarz. Rozmowa była długa i stanowcza; często i ciężko wznoszące się piersi dziewczę kończyły łkaniem przytłumioném walkę, którą odbyła po raz pierwszy i ostatni z nie ugiętą wolą opiekuna swego. —

Nie daj mi żalować, rzekł on głosem, w którym nie było ani cienia czucia; żem się na wieki w murach zamknął klasztornych, aby szczupły dziańdów naszych majątek zlać na głowę jedynéj dziedziczki wielkiego imienia... Bartolomeo nosi to samo nazwisko... i musi być mężem twoim; a przez Boga godny jest twojéj ręki; nazwisko jego stało się postrachem tych zapyrenejskich rabusiów.. I tyż Juanito! dzielitaś dawniéj rodową naszą nienawiść do dumnych najezdców! miałabyś się zmienić? gdybym to wiedział, na ten krzyż, który przodków naszych pobożne słucał modlitwy, przysięgam, wolałbym, byś leżała w grobie! Juanito ty milczysz.

Nie! Nie! wyjęła Juanita.

Nie? mamże to zaprzeczenie przyjąć za wyznanie dawnych twych myśli? ty nienawidzisz Francuzów?

Nienawidzę! ledwie dosłyszany odpowiedziała głosem.

Nadto ci wolności zostawiałem! odkąd porzuciwszy pobożne ćwiczenia zaczęłaś się błąkać po górach naszych, jak prosta pasterka zaczęłaś się drapać po skalach...? z tych przeklętych zwalisk buntowniczych Maurów, wyniosłaś ducha przeciwieństwa!

O nie ztamtąd! żywszym krzyknęła głosem.

Tak mówisz! szyderczo zagadł znowu; lecz po cóż nam dłuższych rozmów, czas nagli... Bartłomeo nie ma do stracenia godzin życia swego zapelnionych zemstą nad wrogami, na próżne staranie się o miłość romantycznej dziewczyny; na godzin kilka uwolniony od służby przyleci tu przededniem z wojska, a... tu spojrzal na zegarek staroświeckiego kształtu u stóp krzyża złożony... o godzinie piątej z rana będziesz żoną jego.

Już jedenasta! wykrzyknęła Juanita, i porwała zegarek: ostatni więc upominek matki mojej ma mi zwiastować godzinę mojego...

Niekończ płocha dziewczyno! ostatni upominek matki powinienby ci inne myśli przywieść na pamięć. Znam i ja ten zegarek! O Juanito! dodał, i głos jego stał się czulszy; matka twoja bardzo kochała brata mego, kochała go przed wszystkimi, i został jej mężem, a ja zkamieniałem w kamiennych klasztoru murach... Pamiętaj! o piątej z rana.

O piątej czekać cię tu będę mój stryju!

A gdy odszedł stryj, Juanita skoczyła z miejsca. »Już jedenasta, wykrzyknęła drżącym głosem; Donato! Donato! zawołała, a zegarek cisnęła o piersi swoje...

I wnet pogasty świece w zamku, a pomiędzy krzaki w noc ciemną przemknęły dwa cienie ku grobowcowi księcia maurytańskiego. Ułan uzdrowiony z ran spał głęboko; lampa starannie między gruzami ukryta skąpym światłem oświecała ciemne sklepienie; nad spokojnie uspiętym młodzieńcem długo stała zadumana Juanita; chciała go budzić, a żałowała mieszać sny mile, które igrały na jaśniejszym młodzieńca twarzy. Do nąta o podał od nich na ulamku marmurowej kolumny ciche zniwiała pacierze. Po dłuższej godzinie pełnej bolesnych rozpamiętywań spojrziała Juanita na zegarek. »O czas ubiega nielitościwie!.. czemuż, czemuż nakręciłam go wczoraj tak rano... Antoni! zaszepiała.

Do obozowej czujności przyzwyczajony żołnierz zerwał się »Juanito droga; to ty?... czy wiesz już drogę do obozu mojego?... ja zdrow, mnie do braci tęskno, mnie do walki już spieszyć!

I mnie porzucić na wieki.

Ciebie Juanito! zaszepiły się oczy młodzieńca, bo miał lepsze serce, niż głowę. Bóg widzi, jak mnie żal za tobą, któraś mnie wyratowała, nowem życiem obdarzyła... ja cię nigdy nie zapomnę

I nic więcej! rzekła głosem podzielonym między rozpaczą i pogardą dla oziębłości człowieka, którego czuje, iż kocha nad życie. —

Cóż chcesz, żebym powiedział Juanito! ja żołnierz, ja nie mogę szeregów moich odstępować, nadziei, dla której porzuciłem i rodzinne progi, i spokój domowy, i kochaną nad grobem stojącą matkę!. Bóg wie, czy już ją zobaczę!..

A ja odstąpiłam przecie! od dawniej wiary, dawnych myśli i nawyknień dla ciebie niewdzięczny!. Antoni czy w waszym obozie są kobiety?..

Kobiety? kobiety! zadziwiony i zastraszony zawołał młodzieniec.. niema! niewolno!. Juanito, ja ciebie kocham, kocham o ile mogę, i o ile umiem. Juanito pożegnać ciebie jak najprędzej jest powinność moja!

ty dziedziczka wielkiego rodu zapomnisz biednego żołnierza: ty dumna hiszpanka zapomnisz i będziesz szczęśliwa!

W grobie! ale dobrze mówisz! ty nie możesz być hiszpanem, ty nie dla mnie, o nie! i ja nie dla ciebie, ty z zimnej północy nie zdołasz mnie rozumieć, mnie dziecka południa...

I prawda, z oczu ulana wyczytać można, że energia żołnierza, która mu wystarcza w obliczu śmierci codziennej, nie pojmuje energii kochającej dziewczyny: bo poświęcenie ciała nie sprostą poświęceniom duszy; milczy ulan i szuka w głowie swojej, co by w tej chwili powiedzieć wypadło, a przecie serce go szczerze boli za piękną czarnooką hiszpanką.

Przykro żegnać po tylu dniach i nocach przemarzonych, żegnać to urocze dziecko dumań moich, to lube urojenie wypieszczone przezemnie. I mnie Juanito boli serce, nie umiem ja układać pięknie brzmiących słów, ale kocham cię Juanito! kocham.. i nie zapomnę tu w tej gorącej Hiszpanii, i w mojej zimnej Polsce nie zapomnę!

Kochasz mnie Antoni! łzami, jak brylantami, zaiskrzyły się oczy dziewczycy; dzięki tobie za tę ostatnią pociechę. O jak te dnie minęły! jak cię, nie wróca już dla biednej Juanity... czas leci! patrz, jak światło lampy blednieje! to zorza! Antoni! przeraźliwym dodała głosem, patrz na zegarek.. piąta już niedaleko!..

Piąta! cóż to znaczy?

O po cóż go wczoraj, odchodząc od ciebie, nakręciłam tak rano... dziecko ze mnie; cóżby to mnie pomogło.. a przecie mógłbym godzinę jedną, choć godzinę zarobiła... przeszły już godziny szczęścia mego.

Co to znaczy Juanito?

Co znaczy? o piątą pożegnamy się.. Donata ma strój pasterza dla ciebie, a tam nadole czeka siostrzeniec Donaty, który cię zaprowadzi aż przed czaty naszych wrogów.. twoich braci! między nimi zapomnisz!

Nie zapomnę ciebie!.

Darmobyś przysięgał; ty uczuć pamiętać nie potrafisz!. Weź ten zegarek! to upominek od matki mojej.. nie nakręcaj go nigdy; oby ci ta skazówka nieruchoma wskazywała zawsze godzinę naszego rozstania.

Juanito! zawołał poruszony aż do głębi, ja cię tak porzucić nie mogę; ja czuję tu w sercu, czego nigdy nie czułem; ja nie drzałem przed morderczymi kulami twoich hiszpanów, a drzę przed tobą dziewczyno! kocham cię! Juanito! to inaczej być musi!

Inaczej? zawołała hiszpanka; a oczy łyszczące rzuciła na niego.

Ta wojna się skończy! orły nasze zwyciężyć muszą, a jak pokój nastanie...

Nie Antoni! są przeznaczenia, których ominąć nie podobna, weź ten zegarek, przebierz się i idź!.

Nie!.

Idź! ja tak chcę! ja ciebie o to błagam!. Ty już idziesz! o ja biedna! i załamała ręce, porwała z namiętym ruchem młodzieńca za szyję i gorące na ustach jego złożyła pocałowanie.. »Tem pocałowaniem żegnaj Ciebie «

Juanito! my się będziemy jeszcze widzieć! Tam! odpowiedziała, a oczy wzniosłszy do nieba złożyła ręce do szczerzej modlitwy.

Ulan przebrany za pasterza kóz stanął raz jeszcze przed nią. »Bądź zdrów! Antoni! bądź szczęśliwy! zegarek zatrzymaj na piątą godzinę!

Zachowam go do grobu, a ciebie Juanito w sercu! —

Boskie błogosławieństwo z tobą! znikł ułan między krzakami; Juanita, jak posąg, została oparta o grobowiec maurytańskiego księcia, a Donata mruczała... »przeklęty poganin zaczarował moją biedną Juanitę. —

Wrócił do swoich chorągwi; długo wojował, z pod słońca hiszpańskiego pognął w lody północne; hiszpanki nie zapomniał wprowadzić, ale w życiu obozowym epizod ten stracił pomału tęczowe swe barwy, a umysł naszego ułana pozostał spokojny. Gdy się ów sen piętnastoletni obudzeniem zakończył, powrócił Antoni równie z drugimi do ojczystej zagrody; piechotą o głodzie i chłodzie powracał, złoty krzyżyk sprzedał, a zegarka, jak świętości, jakiej bał się dotykać: w długiej zmuśnionej wędrowce częściej wspominał o Hiszpanii, częściej spoglądał na nieruchomą skazówkę, bo choć piąta godzina została mu zagadką, wierny przyrzeczeniu nie nakręcał zegarka. Widok ziemi ojczystej na inne myśli nakierował umysł Antoniego; jak się cieszył zbliżając się do wsi w której zostawił matkę i brata: już zobaczył krzyż cerkiewny, dworek i sad ojczysty!. Matki nie zastał; brat ledwie go poznał; a przyjął obdartego przybysza ze skrzywieniem. Bo Pan Wincenty, jak go widzimy na obrazie, był na ciele i na duszy wysuszony szlachcic; krótkimi słowy zlął brata, że goło powraca, i oświadczył w końcu, że mu wprowadzić pomieszkania i stołu u siebie nie broni, ale że po matce zostały długi, które gorzko zapracowanym groszem popłacić musiał... wszystko więc jest moje!« dodał w końcu perory.

Antoni podziękował mu jeszcze za to, iż pamięć matki od wstydu długów oczyścił, i nudne zaczął życie w domu braterskim przy skąpym barszczu, a nieszczędzonych naukach moralnych. Największem jego szczęściem było, rozpowiadać o wojaczce swojej, o której miał jak najwyższe wyobrażenie; uwolnienie od służby, wraz z patentem na podporucznika oprawił w złociste ramy, za szkło wsadził, i powiesił w swoim pokoju, a pod tym wisił zegarek, który z bogactwem pstrym łańcuszkiem, albowiem w dniu świątecznym wdziewał go na siebie, zapewne, by powiększyć liczbę owych wstęg, z którymi widzieliśmy go na obrazie. Nie wiem czy to nie zatarte wspomnienie wojskowych sznurów i orderów, czy może przypomnienie teatralnego stroju w jakim nie raz musiał widywać Murata; co bądź to było, została mu się z życia poprzedniego ta jedna słabość do tych różnobarwnych dekoracji, w których lubił występować. Niewiele nawet umiał rozpowiadać o wyprawach, które przeżył, bo jako żołnierz, i do tego nie szczególnym od natury obdarzony usposobieniem, nie wiele więcej widział prócz miejsc, w których się bił lub zimowe odbywał leże; twierdził jednakże, że nie ma, jak stan żołnierza: o Hiszpanii najwięcej rozmawiał, to jest, mawiał przy zdarzonej sposobności. «To śliczny kraj! tam było gorąco! więcej jest tam pomarańcz, niżeli u nas kwaśnych jabłek!.. O Juanicie czy pamiętał, nie wiem, bo od dawnego czasu ani wspominał o niej, ale zegarek miał w szczególniejszym poszanowaniu. I tak z dnia w dzień dożył zdrowo i czerstwo aż do dnia, w którym zdarzyła się scena na obrazie odrysowana.

Od trzeciej już z rana pan Wincenty biegał, szastał się, jak mucha w ukropie, z dworku na puste jeszcze gumno, bo to było w Czerwcu; z tamtąd do stodoły; po pustych chlewach i kurnikach tłukł się, jak Marek po piekle: tu pędził dziewczkę do dojenia krów, tam zrzędził na za-

spanego gumienego; lajał, krzyczał i szturkał: bo pan Wincenty zapobiegły jest szlachcic, jak go sąsiedzi nazywają — sknera! powtarzają głodne domownicy: gdy mu tu raptem nawinęli się wójt i przysiężni.

Czego chcecie draby? było zapytanie zwykłe: bo pan Wincenty twierdził, że chłop i bydle unum idemque; a gdy zastraszone wójt zaczął się w wygoloną drapać czuprynę, już jedna z wiszących nabajek miała być w robocie: gdyż pan Wincenty utrzymywał, że chamska skóra do batogów stworzona; jakoż skąpy we wszystkim, rozrzutny był, co się tyczy batogów; bił poddanych swoich nie miłosiernie, pędził na pańszczyznę od niedzieli do niedzieli, a ssał ich, jak prawdziwa pijawka: przy czem oczywiście rosła jego sakwa skórzanna, choć brzuch schudł bez miary. Po długim rozhowerze dowiedział się nareszcie, że jakiś wędrowny czeladnik chce z nim pomówić.

O czem chce ten urwisz zenną gadać?

Ale jaśnie panie, wczoraj przy świętej niedzieli było pełno w karczmie, a ten garbaty czeladnik grał na skrzypcach i potem przy kieliszku.

Przekłete pijaki!.. już ja was gałgany oduczę tego pijaństwa!.

Jakoś przyszło do tego, że jeden powiedział garbatemu, że jasny pan znalazł na spacerze przy figurze na trakcie!..

Co znaleźli? co znaleźli? ja was tu nauczę! i jak zaczął wywijać numerem drugim — nabajki, trzeba wiedzieć, były na stopnie podzielone, wójt i przysiężni w nogi; milczenie nastąpiło, tylko pan Antoni wpadł na krzyk i zastał braciszka zapырzonego pod bronią... Ochłonawszy nieco z gniewu kazał pan Wincenty przywołać garbatego Janka.

Tu zaczyna się scena z obrazu.

Kto jesteś, burknął pan Wincenty na wchodzącego.

Janek na usługi pańskie! była pokorna odpowiedź.

Jakto? Janek? Janek! i nic więcej?.

No kiedy pan chce wiedzieć koniecznie, Jankiem garbatym mnie nazywają.

To widzę! ale czegoż chcesz?.

Ja mój Jegomość, chcę zegarka mego.

Patrz garbusie! zostawiłeś zegarek swój u mnie.

Nie zostawiłem, ale jegomość ma go u siebie.

Powiedz nam tylko, jak wyglądał twój zegarek? zagadał pan Antoni.

Srebrny! mój dobry jegomość, trochę już z wierzchu pogięty, z czarnym bawelnianym łańcuszkiem.. o ja go zaraz poznam!

Przestań gamulo!.. mój panie Antoni nie mieszaj się do rzeczy, których nie rozumiesz... kodexus nie czytał zapewne!..

Mój Wincenty! lepszy mój kodex w sercu wypisany, niż ten, którym ty kręcisz, jak szewc skórą, a potem i my mieliśmy nasze prawa wojskowe...

No! no! tylko z prawami wojennymi daj mi pokój... a więc panie Janku z przydomkiem garbaty, bez nazwiska, śmiesz utrzymywać, że u mnie jest twój zegarek?.

A jaścić jegomość znaleźli go pod figurą na wielkim trakcie... jakoś idąc pozawczoraj z pohulanki w tój karczmie, przy mogile na górze zdrzymało mi się koło figury i usnąłem pod drzewem sobie, a gdy na gospodzie pod miasteczkiem, co to ją zowią poprawką, stanąłem na popas, już mego zegarka w kieszonce nie było. Dobrze mi mówiła gospodyni z pod złotego capka, u której pobielałem naczynie, że sznurek już niepewny.

I dla tych ważnych powodów twierdzisz, że zegarek z pod figury u mnie się znajduje.

Ależ mój jegomość! pastuszek, z respektem powiedziawszy, od świń Samilko, jak go nazywają, powiadał, że sam pierwszy zobaczył i jego-ności jadącemu w pole oddał.

A to piękny dowód!

Wincenty przecie nie zechcesz?.

Panie Antoni nie mieszaj się do tego.. że mój pastuch, któremu dałem batogi za to, że nie zajął księżowskich świń, które mi w szkodę leść chciały, upiwszy się w karczmie z tobą plótl duba smolonego, ośmielasz się twierdzić...

To już nadto; spodziewam się, że nie myślisz cudzego!...

Cudzego? cudzego! zasyczał, jak gadzina, pan Wincenty, takim bo-wiem głosem przemawiał w gniewie, do czego mu brak zębów pomagał nie pomalu: milczałbyś, kiedy ci dobrze w cudzym kącie.

O matko moja! to twój syn powiedział!

Twoja matka umarła żebraczką, przez twoją wo,aczkę.. i ty żebrak, którego ja chodować muszę.

Wincenty! Wincenty! niech ci tych słów Bóg nie pamięta.. krzyknął namiętnie pan Antoni, ale zamilkł, bo w domowego życia ciasnych obrębach potracił przy niejednej już walce z braciszkiem resztki nie bardzo rześistej energii swojej.

Czego panowie się kłócą przezemnie.. przepraszam bardzo.. proszę mi tylko oddać mój zegarek.

Oddaj, proszę ciebie; wszak masz w kieszeni.

Cętkami czerwonymi, jak plamami krwi pokryła się żółta twarz pana Wincentego; pełen wściekłej złości porwał za kieszonkę i wyciągnął z niej ściśniętą pięść, lecz trudnoby było odgadnąć, ażali w niej co trzyma, gdyby nie czarny sznureczek, który się zdradliwie z pod krogulczych wymknął palców..

O to mój sznureczek. wykrzyknął Janek, klasnąwszy w ręce z radości.

Twój sznureczek, wagabundo! panie bracie! ty coś rozbijał, mordował, obdzierał trupy, chcesz sprawiedliwości!.. dobrze mój ty Janku garbaty! zobaczymy! weźmiemy się najprzód do protokołu... bo taka rzecz nie może się inaczej odbyć.. tu nie ma świadków.

Jegomość! ja daruję protokół.. ja chcę tylko zegarka mego.

O nie ptaszku! musi być protokół! a masz ty czém zapłacić moje fatyge?.

Ażeby mnie matka Boska pokarała, jeżeli mam grosz przy duszy! ostatnie dwa grajcary zostawiłem dziś z rana w jegomościńskiej karczmie u Berka, który niegodziwie chrzci wódkę... ale może jegomość ma brzytwy do wecowania, może komin wytrzeć trzeba?..

Nie wywiniesz się pijaku!.. ja darmo gryzmolić nie będę; zafantujemy mantelzaczek.. zrobimy protokół, a z niego dopiero się pokaże, czyli jest jaki dla ciebie zegarek srebrny z łańcuszkiem czarnym, którego to niby umiesz rozpoznawać.

Trzeba tu zrobić uwagę, że pan Wincenty, jakkolwiek zapaśny szlachcic i posiadacz, wioski wyrobił sobie dekret na mandatarjusza, w celu, aby mu łatwiej przyszło prowadzić krnąbrnych chłopów wtaktowych trzech wiszących kamertonów; było to zaś w jednostajnym życiu wiejskiem jego jedyną, i wielce ulubioną rozrywką. —

Wincenty opamiętaj się!..

Najprzód weźmiemy się ad generalia, a potem ad specialia.

Wincenty oddaj, proszę ciębie!

Ad generalia! kto jesteś? z kąd? czy masz paszport jaki, włóczęgo?

Paszport? ja chodzę lat tyle po świecie!..

Wincenty zaklinam cię nie rób mi tego wstydu.

Gadaj sobie, co chcesz panie Kapralu! Więc nie masz paszportu bratku?.. a zegarka ci się zachciewa? nie odchodzić z tą! idę po papier, wójt i przysiężni niech czekają.. zacniemy protokolik, a zamiast czarnego zdybiesz się z żelaznym łańcuszkiem.

Jegomość! jegomość żartuje sobie; czyżby pan na wiosce chciał chudemu pachółkowi zatrzymać licha zegarek?

Jakis włóczęga! to kryminałem pachnie, a! więc utrzymujesz koniecznie, że jakiś tam zegarek jest tu!

A jest w pańskim ręku! ja go odstąpić nie mogę, choćby tu jegomość mnie posiekali!

Wincenty, po raz ostatni pytam się, czy oddasz?

Nie! nie! nie! mój panie hiszpańczyku!

Skoczył pan Antoni do swego pokoju, i lotem bomby wpadł nazad trzymając w rękę swój złoty zegarek.. tak jest zegarek Juanity!. »Dobry człowieku masz tu zegarek, idź swoją drogą!

Ciekawe rzucił weirzenie Janek na podany sobie zegarek, lecz wnet kiwnął głową i rzekł: »To nie mój! ja go nie chcę! proszę o mój srebrny... Obadwa bracia spojrzeli na niego z zadziwieniem.

Ależ ten jest złoty, kosztowny; wierz mi mój kochany bardzo kosztowny!

Wierzę ale dziękuję, i proszę o mój stary, srebrny, połamany zegarek.

Bierz! bierz dobry człowieku! daję ci go z serca.

Pocziwe pan ma serce! ale nie ma takiego na całym świecie zegarka, za którybym mojego odstąpił; oddaj mi go Jegomość, a Bóg c błogosławić będzie na każdym kroku!..

To było zanadto na rozum pana Antoniego, za nadto na chciwą duszę pana Wincentego, który pomyślał w tej chwili, ażali się w środku srebrnej koperty nie znajduje banknut jaki: chciałby się zaraz przekonać, aż mu palce zadrzały, ale wstyd nie pozwolił mu ściśniętej otworzyć pięści.

Wszak za ten zegarek możesz mieć kilka srebrnych.

I za skarby całego świata nie dam: on pójdzie zemną do grobu.. oddaj mi go jegomość. i oczy Janka zwilżyły się łzami.

Pan Antoni z oczami od zdziwienia na wierzch wysadzonemi przypomniał sobie w tej chwili zdarzenie własne w Hiszpanii, i zawołał: »może pamiętka?..»

Pamiętka panie dobry! tobie opowiem, i obtarł oczy brudnym rękawem. Byłem ślufierzem w Lwowie; stałem długo z moim warsztatem na zieloném przedmieściu, tam w rogu jednego ogrodu.. bo ja byłem młodszy, a furką tego ogrodu wybiegała co dzień do miasta z kobiałką piękna Marysia... wiele w życiu widziałem, ale piękniejszej od Marysi, ani w ojczyźnie, ani zagranicą, chociaż długo furmaniłem po Warszawie i Moskwie... Marysia była dobra i grzeczna; jak się macie Janku, dzień dobry Janku; czy dobry dzień dzisiejszy dla was Janku? tak do mnie gadała idąc i wracając; a nie tylko nożyczki swoje, noże i brzytwy ojca, który był garbarzem przynosiła do mnie, ale i sąsiadów

i sąsiadki prowadziła do Janka: Janek ostrzył a ostrzył, a spoglądał za Marysią... Ale nigdy; widzi pan, ja jestem odważny, nieraz w gospodzie, jak się zacznie bojka, ja się i dziesięciu nie przestraszę; przed Marysią nigdy nie śmiałem powiedzieć, co u mnie tłukło się w sercu: może gdybym powiedział... ale nie! nie! ten garb mój, ha cóż robić, takie już było boskie przeznaczenie!.. Wiosnę stałem całą; całe lato ostrzyłem i wecowałem, a w jesieni Marysia była coraz smutniejsza... panie dobry! jakem zobaczył pierwszą łzę w jej błyszczących, jak stal; oczach, straciłem apetyt, sen i ochotę do pracy; nie długo to trwało, ale mnie się dłużej wydawało, niż reszta mojego życia. Napilem się na kuraż wódki jeden i drugi, i trzeci kieliszek; to było raz pierwszy, żem miał dobrze w głowie, i zagadałem do Marysi, spytałem jej o przyczynę smutku.. ach panie stanąłem trzeźwiuteńki, jak mi po długich łzach powiedziała, że ojciec chce ją wydać za piwowara bogatego, a ona kocha się w studentcie jednym z filozofii, który jej przysiągł raz na spacerze u lasku Węglinskiego, że się z nią ożeni, i zaprowadzi do swojej wioski, gdzieś tam daleko aż na Pokucie!.. Janku! Janku! ja sobie śmierć zrobię, jak nie pójdę za mego Stasia; Janku! ty jeden dobry mój przyjaciel! Janku ratuj mnie! Cóż miałem zrobić, ja biedny garbaty szlufierz? miałem nieco grosza zarobionego, zebrałem wszystko, przedałem warsztat, nająłem konie, bo oboje byli goli, i wyprawilem ich w imie Boga na Pokucie: nie wiem co się z niemi stało, bom nigdy w tamte nie wędrował strony... O toż na pożegnaniu, była to piąta z rana, dała mi Marysia na pamiątkę srebrny zegarek, który jej darowała chrzestna matka, żona rzeźnika z krakowskiego przedmieścia; zatrzymałem go na téj godzinie... i co dzień o piątę z rana muszę wypić parę kieliszków wódki, bo mi się na płacz zbiera za moją śliczną Marysią.

To szczególne zdarzenie! mruknął pan Antoni; jak on ją kocha! a jaż o mojej Juanicie czy myślę tak często: od długiego czasu Juanita po raz pierwszy stanęła z całym urokiem piękności łez i rozpaczy przed pamięcią zimnego pana Antoniego. „Juanito!” westchnął; a Janek sobie, gdzie ty moja Marysia?

Wincenty! slyszaleś? czyż cię to nie rozczula? patrz on płacze!

Każdy pijak płacze!

Więc nie chcesz mu oddać?

Najprzód protokuł, paszport, mętrykę, potem koszta kancelaryjne, i zobaczymy!

Powiedziałem ci raz podobno, jak mi jest drogi ten zegarek!

Zapewne, bo ci codzień powinien przypominać, jaki dureń z ciebie; odrzucić bogatą hiszpankę, z którąbys mógł panować, i mnie biednemu przysłać nieraz hiszpańskie złoto!

Ty tego nie rozumiesz! honor, sława, ojczyzna, cnota!.. Ale nie o tém mowa; weź mój zegarek, a oddaj srebrny Jankowi...

A dasz cesyę na piśmie?.

Dam, jakem ułan z gwardyi Napoleońskiej.

Niech i tak będzie! masz ty włóczęgo swoją srebrną klapsydę, i idź precz!

Porwał Janek za zegarek, pocałował go, a potem złożywszy ręce, jak do modlitwy, wyrzekł z płaczem. „Boże błogosław tego dobrego pana.“

Pan Wincenty przypatrywał się z uwagą zegarkowi zdobytemu gładkim sposobem; gdy tymczasem pan Antoni po odejściu Janka wy-

rzekł głosem uroczystym. »Słuchaj bracie! lepszych od ciebie widziałem, jak wieszali na wojnie!

A potem odszedł do swojego pokoju; smutnym wzrokiem popatrzył na osieroconą czarną podstawkę od zegarka; żal nawet niezwyčajny ścisnął mu serce... aż gdy spojrział wyżej na ramki, z których patrzyła na niego honorowa przeszłość jego, podporucznik Antoni przypomniał sobie, czém był i czém jest — i pocieszył się!..



Wieśniak Podolski.

Obraz z życia dzisiejszego.

Wissenschaftliche

Abhandlungen

WIEŚNIAK PODOLSKI.

Obraz z życia dzisiejszego.

Polski wieśniak nie najlepszej używa reputacji, co się tyczy wykształcenia umysłowego, a pomiędzy wieśniakami, podług wielu zdania najniższe zajmuje miejsce wieśniak podolski. Zdanie to jest pozorne zapewne; jakoż w samej rzeczy, czy go zdybiesz w dzień powszedni przy pańszczyźnie, czyli też w dzień świąteczny przy kieliszku, ledwie go zdołasz wprowadzić w rozmowę, a i w tej nie wiele się dowiesz od niego. Ciasne granice wiedzy jego ledwie dochodzą do rachunku tygodniowej pańszczyzny, lub do ważniejszego w karczmie o wypitą wódkę; a i w tych ileż razy oszukany przez ekonoma, jeszcze częściej przez arędarza kredką podwójną, darmo skrobie się w ogoloną głowę; czuje oszukaństwo, ale go zrozumieć nie potrafi. Oświata powoli bardzo wiska się do lepianek wiejskich; nie mojem jest zadaniem wyszukiwać przyczyny tego; zdaje mi się tylko, co powiem w przelocie, że różnicę oświaty u wieśniaków robi po większej części przemysł i handel; różnicy zaś tej któż nie dostrzeże, naprzykład: między Podolaninem a Góralew. Podole ograniczone na handlu zbożowym, i to handlu zupełnie domowym, nie daje mu sposobności obeznania się ze światem, otarcia się o drugich oświeconych ludzi: wieśniak z przeznaczenia swego praktycznemu oddany życiu nie prędko potrzebę teorii zrozumie. Małomowny w domu, bo też i czasu na rozmowę braknie, tam gdzie tydzień cały pracować musi dla pana, dla księdza, dla mandatariusza, dla ekonoma, zanim obrobi rozległe łąny podolskie; a tu szarwarek, i dla siebie trzeba pole zaorać i zasiać; a w niedzielę ledwie służby Bożej wysłuchał, jużciż się i upił, bo wódka jest koniecznym jego żywiołem; ona mu się sama wszędzie nastęrcza, ona zapomnieniem tygodnia minionego rzuca cię pociechy na tydzień, który przejdzie. Mówniejszym widzimy go na jarmarku, gdzie potrzeba soli i pieniędzy na podatek uczy go ważniejszych spekulacji handlowych; na jarmarku z prosiakiem w worku, albo byczkiem przy rękę jaśniej się już cieniuje charakter i umysł wieśniaka podolskiego, najjaśniej zaś i najdobitniej w drodze: czyli to rusza z pańskim transportem do odleglejszego miasteczka; czyli też zdarzy mu się ta miła dla niego gratka, że się z kim najmie. W drodze mu najswobodniej; liczne przy karczmach po drodze przestanki są to najpiękniejsze życia jego epizody; tam on rozmawia, tam żyje, tam go dopiero poznać można. Skryty zawsze, bo od dzieciństwa do tego

przyzwyczajony, bo skrytość jest jego rozumem i bronią razem; mniéj otwarty od Górala, którego żywości przyczyn szukać można w czystem powietrzu, co mu piersi do wesołego krzyku rozpiera; zamknięty sam w sobie, bo sam sobie wystarczy musi; smutny i milczący smutkiem, a milczeniem stepów, które go od kolebki otaczają, zdaje się być powleczoney nieprzebitą skorupą głupoty, lecz schwytyany w chwili lepszej, w chwili nie vegetacji, ale pełnego życia, wystrzeli nieraz iskrą rozumowania, które zwykle chowa się u niego otulone, jakby siedmioskorną Achileasa zbroją, tą posepną skrytością, która po większej części jest rzeczywście rozumem, bo jest zrecznością. Zapomniawszy się rozpiasłem się, jakbym ku uczonej dążył rozprawie, gdy tymczasem chciałem tylko opowiedzieć zdarzenie; trzeba mi przebaczyć, bo rozumowanie było moje, zdarzenie zaś cudze, bo się stało istotnie, a któż częściej, dłużej i czulój pieści się własném dzieckiem, jeżeli nie piszący!.

Byłoto w październiku; wiatr północno zachodni, ten kilkumiesięczny gość Podola ciągnął sobie swobodnie do Archangelu zapewne; żadnym gór pasmem niewstrzymany bujał wolny po grzbiecie Europy, (którem to nazwiskiem jeden z uczonych Podole nasze ochrzcił łaskawie;) bujał po nad gołe czarne i smutne parowy podolskie; wszelką bowiem z nich wesołość zdarły i wciągnęły w siebie rozległe gumna okoliczne: a huczał jednostajnym i znudzonym głosem samotnego stepów dziedzica; nie szasował nawet w borów i gajów klawisze, bo goło wszędzie, jakby na dloni...

Drogą wiodącą ze Zbaraża do Tarnopola ciągnął się leniwie wóz prosty, vulgo drabiniasty nie wykwintej podolskiej formy; gołe i suche ziobra dwóch drabin bocznych łączyło wiązanie słomiane, o które nienajwygodniej oparty jechał podróżnik, jakiś na mierzwiastój, niczem nie zaslanój słomie usadowiony. Wyżej od niego, bo i worek plewy téj postnej potrawki końskiej i drugi najważniejszy w drodze worek, bo do prędkich a częstych popasów przeznaczony wpakował pod siebie, siedział woznica; wóz zaś ciągnęły dwa konie podolskie. Gdyby konie pisać umiały, a zechciały, stosując się do gustu terazniejszego, by jak Francuzi i Anglicy, sami siebie opisywać, wówczas dopiero poznalibyśmy, co ot za ciekawy jest typ: koń podolski! bo trzeba być koniecznie koniem podolskim, tym konikiem chudym małym i nędznym, pasierbem rodu końskiego, tém petit rouchaj, jak go jeden Francuz podružający po naszej ojczyźnie nazwał, by pojąc i należycie oddać tak fizyczne onego ułożenie, jakoteż moralne usposobienie; ten chód, który nie jest zapewne stanieniem na miejscu, bo jużciż się jedzie, ale jest ani klusem ani stepem nawet... lecz nie obmawiajmy!. Trzeba by wejść w tajemnice pustych żłobów, przed którymi darmo stoją ze zawieszonemi i zadumanemi łbami; wejrzeć w dnie pracy, a noce przepędzone przy świetle księżyca pod zimną rosą na chudem kradzionem pastwisku; zaglądnąć w ilość soków żywotnych zawartych w zdradliwój plewie... Dosyć na tém, że najchudsze i najnędzniejsze może z koni podolskich były owe dwa: myszaty z parszywym bokiem i skarogniady z najeżonym włosem, po którym woznica kapryśne biczem wypisywał arabeski, a krzyżąc bez ustanku wio kary! wista myszaty! macha biczem jakby los nieubłagany na oslep; czy w myszaty, czy w karą uderzył skurę, czy cienkim biczkiem powietrze przecinając swistem wtorował hukowi wiatru, to mu zarówno; dosyć, że zawzięcie rzuca się po siedzeniu swoim, przegina, podnosi postronkami lejców, trzepie i targa bez odetchnienia. O gdyby te ru-

chy wszystkie, niezbyt koniecznie, zdołał wlać w nogi koni swoich, prędeżyby stanął u celu podróży!...

Kto był podróżnikiem, trudno odgadnąć: różnorodne łachmany sukienne, duchem, ba cieniem byłego niegdyś sieraczkowego płaszcza obwiane nie noszą na sobie żadnej odrębnej cechy, prócz cechy ubóstwa i nieporządku, a nawet wątpić można, ażali zle załatanymi bokami wiele zaślaniać mogły od natarczywości wiatru. Woznica było oczewiście wieśniak podolski; drwił z wiatru, który darmo walczył z baranym kożuchem okrytym po wierzchu sukienną oponczą; mści się, jak może, na białych kudłach baranich u wystającego kołnierza i na kapturze z oponczy, który mu się opiera całą wagą upakowanego weń bochenka olbrzymiego. Twarzy nie zajeść, głowa bowiem woznicy utonęła w olbrzymiej barankowej czarnej czapce, której rodzaj widzialny tylko na jarmarkach podolskich; i twarz podróżnego zakryta zawistną chustką osłaniającą jakieś zranienie zapewne.

Jadą pogrążeni w milczeniu, choć czasu im nie braknie do rozmowy, albowiem wleką się nielitościwie; na domiar nieszczęścia deszczyk jesienny, ów deszczyk, który, jakby elektrycznymi iskrami, przenika aż do kości, deszczyk, który, niewiem dla czego, w wielu miejscach kapuśniaczkiem nazywają, znalazł potrzebę wylać się z niebieskich stropów, a wiatrem pędzony śmigał, jakby różgami, w oczy podróżujących. Wnet czarna ziemia podolska oślizła, a koniki nie kute więcej się na szerż ślizgały, niżeli na wzdłuż postępowały.

Mingli wioskę, a za wioską stała karczemka, tak mile z wdziękiem ku drodze pochylona, jakby witać chciała przejeżdżających; któżby odgadł, że ją wiek i liczne nieleczone defekta ku ziemi skłoniły? wieśniak nie zdawał się zważać na nią, machał biczem dalej, nawet myszatego, który widocznie folgował, biczyskiem szturał koło ogona, lecz (o władzo przyzwyczajenia! nie darmo się drugą naturą nazywają) konie, jakby czarem przykute stanęły przed karczmą. Uśmiech ledwie dostrzeżony przeleciał przez usta woznicy, uśmiech wzbudzony zapewne rozumnym instynktem koni; ziewnął chłop, podniósł czapkę, czuprynę podrapał, biczem świsnął w górę, to znowu po sliskim klasnął błocie. Niewzruszony na te ruchy i nieruchomy pozostał podróżny, oko tylko jedno nieobwiązane z pod wiszącego u czapki daszka rzuciło spojrzenie długie, przeciągłe naprzód wydane, jakby w dali śledził czego. Jaka sprzeżność! wieśniak tymczasem spogląda w bok ku pochylonej karczmie, a konięta w dół, w ziemię!. I wcisnął woznica czapkę jeszcze niżej na oczy; bicz zaspiewał smutny dla koni himn odjazdu; darmo im było się oglądać na wsze boki; musiały ruszać dalej, chociaż mniej jeszcze sporym krokiem. Działo się to o pół mili od Zbarwia.

Jadą i jadą; wiatr wieje, deszczyk cieknie bez ustanku, a podróżni ludzie i konie milczą, a milczą. Są już w połowie drogi do Tarnopola, a na czarnym stepie uśmiechają się, jakby trzy oczy, trzy karczmy; choć spojrzwały w bok, minęły konie jedną karczmę i drugą, a przy trzeciej stanęły jak wryte. Powtórzył nasz chłop wszystkie ruchy poprzednie, lecz więcej się już w nich cieniowała niecierpiwość; zlązł nareszcie ze siedzenia swego, obejrzał konie, pogłaskał, przeszedł się koło woza, ukradkowych spojrzeń parę rzucił ku podróżnemu, w którym uważny postregacz ujrzalby wyraz zadziwienia i pogardy razem: stanął znowu, a w chwili, gdy mu się zdawało, że oko podróżnego w bok się zwróciło, strząsł się potężnie, jakby nim febra rzuciła; znać zimno dokucza.

W wozie milczenie poure!... zwrócił się więc woznica ku karczmi, ku znajomej, pozdrowił ją okiem napół tęsknem, na pół przyjacielskiem. Aż tu o pokuso! wybiegł żydek z karczmy, a za nim brudna żydówka, a za nią żyd w podartym kaftanie. Jak się macie Jwanie! zagadł głosem syreny; a za żydem woń kartoflanéj wódki wybuchła z zadymionéj karczmy.

Jwan mruknął jakąś odpowiedz, żywszym ruchem zguiół czapkę nad głową i poczczałował biczem po powietrzu, bo koni zdawał się oszczędzać tą razą. Podróżny milczał uporczywie, jakby mu język oczarownie zakłęty.

I znowu wieś, a we wsi murowana karczma błyszczcy, dumnie wznosi się na pagórku obok parafialnego kościoła; piękna karczma, a ostatnia przed Tarnopolem. Stanęły konie po raz trzeci, i po raz trzeci powtórzyły się daremne woznicze ruchy, do których dodał tą razą huczne walenie rąk o ramiona dla ogrzania się zapewne; z pełną pogardą spojrzal na milczącego, gniewnym ruchem zerwał się ze swego siedzenia, plewy nasypał do worka i zarzucał koniom u dyszla.

Już się nawet nie zwracał do pięknej murowanéj karczmy, stał tylko nieruchomy, a myślał zapewne nie mało, bo się kilkakrotnie poskrobał o ogoloną czuprynę. Chyba niemy jest podróżny, milczy bowiem, a patrzy jednym okiem przed siebie, tak uparcie, tak zawzięcie, jakby w szczęście patrzył.

Po długiej chwili siadł Jwan i podpasionemi nieco końmi ruszył leniwie. Już też z poza zasłony deszczowej okazały się wieże miasta, zabłysnął staw z dala: to Tarnopol! już są przed nim, już mijają lepienie przedmiejskie chatki.

Potężnym głosem prr! zawołał Jwan; konie stanęły, a nasz woznica zwróciwszy się do podróżnego przerwał po raz pierwszy długie to milczenie. No jesteście teraz w Tarnopolu; zapłaćcie mi!

Jak to? naciągniętym głosem zabrzmiała odpowiedź.

Zgodziliście się ze mną w Zbarażu za trzy cwancygiery, żebym was zawiózł do Tarnopola.

Dobrze! dobrze! jedź do miasta. Tu spojrzeli po sobie; wzrok uporu zdymał się ze wzrokiem pomieszania.

Ja chcę zapłacić, ale musisz mnie zawieść do miasta: tam biegnę do pułkownika, bo u niego jest kucharzem mój kolega; od niego wezmę i zapłacę.

A jak nie przyjdziecie? ja będę darmo czekał i czas stracę:

To pójdiesz zemną razem.

Ach! a tymczasem chudobę mi ukradną. To rzekłszy przesadził Jwan nogi przez wór plewy i bez dalszej rozmowy usadowił się koło podróżnego; zwrócił lejcami, zaciął konie i lepszym od zwyczajnego klusem pociągnął nazad ku Zbarażowi. Próżne były przedstawienia, próżby, gniewy, przeklinania podróżnego; głuchy na nie Jwan, walił biczem, i wista kary! hajta myszaty! pędził dalej, a dalej.

Tu podobno wspomnieć wypada, że do zagmatwania téj sprawy niepomala się przykładalo i to także, że Jwan po większej części nie rozumiał przemowy podróżnego złożonej z ułameków języka niemieckiego i polskiego, przeplatanéj przekleństwami pięknie brzmiącemi języka Madziarów. A ponieważ mimo niezwyčajnego pospiechu konięta podolskie dosyć leniwie postępują, nim się do Zbaraża dobieje, nie od rzeczy będzie powiedzieć kilka słów o koledze pułkownikowskiego kucharza

z obowiązaniem okiem. Jakkolwiek przed kuchnią węgierską każdy gastronom, jak szatan przed wodą święconą ucieka, nie można przemilczeć, że nasz podróżny był Węgier i kucharz razem; z tém łączył trzecią jeszcze własność, że się napijać lubiał; papryka! i wódka! to cudowne połączenie!. Coby nie było, służywał on tu i owdzie, warzył jak umiał, a pił, ile tylko mógł, aż wreszcie dostał się do panka jednego, który za złe kotlety (miejsce zaś octu zastępowała w nich przez omyłkę gorzałka) tak zawzięcie kijem go otraktował, iż mu aż głowę nadwerężył: wypędził potem in statu quo, to jest w owym płaszczywym wizerunku, bez grosza, bo nasz kopcidy nie miał zwyczaju składać pieniądze. Obwinawszy zatem jak najstaranniej corpus delicti szukał prostoduszny Węgier komitatu i sztulrichterów w najbliższém miasteczku. Odczarowany w tym względzie pobity kucharz, posłuchawszy cudzej rady udał się pod opieką naszego Jwana do Tarnopola, pelen rużanej nadziei, że tam znajdzie wynagrodzenie za krzywdy swoje, a razem dostanie sukurs jaki od kolegi kucharza. Co się z nim działo w czasie przymuszonego powrotu do Zbaraża, łatwiej pojąć, niżeli słowami oddać. —

Darmo wiatr huczy z tyłu, kaptur na głowę zarzuca, kapuśniaczek leje, a leje; darmo śmieją się karczmy ku niemu; syreni głos żyda dola tuje, czarująca woń gorzałki w nos mu się wciska; goni Jwan aż para bucha z biednych koników: i nie zatrzymał się, aż stanęli w miasteczku Zbarażu, gdzie wypuściwszy z pod opieki podróżnego, zostawił zdziwionego i zgłupiałego Węgra na środku rynku, a sam pogonił ku domowi...

W kilka dni potem stanęły obiedwie strony przed sądem magistratualnym; sędzia nie szczędził pracy i mozołu, by się prawdy dowiedzieć.

Oskarżyciel powtarzał bez końca. Jakto być może, że ja jestem w Zbarażu? ja powinienem być w Tarnopolu, i byłem już tam moi panowie! byłem już tam, a ten hultaj przeklęty odwiózł mnie nazad.

Sędzia skarcił surowo oskarżyciela za używanie słów nieprzyzwoitych. Nie zważając na to zacięty Węgier wrzeszczał dalej. Za karę niech mnie zawiezie do Tarnopola znowu; ja już tam był! mnie tam potrzeba.

Przyszła kolej na Jwana; ten indukował sprawę swoją w ten sposób, że nie będąc zapłaconym za drogę do Tarnopola, odwiózł go nazad na miejsce, zkąd się był najął. Wy mnie za stracony darmo czas wynadgodzić powinniście. Zakończył zaś Jwan swoją obronę i skargę razem sylogizmem, którego już był użył na przeciw kucharza, że iść za nim do pułkownika nie mógł, by nie stracić chudoby, a czekać na niepewny powrót nie był obowiązany.

Ależ jabym był ci zapłacił!

Tak zapłacilibyście! wykrzyknął Jwan; a przed pierwszą karczmą gdyśmy stanęli, siedzieliście sobie, jak pan, ani człowiekowi wódki nie kupili, jak to bywa zwyczajem, ani sami się napili; już ja wtenczas miarkował, że zle.

Nie nie odpowiedział Węgier, westchnął tylko czy za Tarnopolem, który mu się tak wysliznął, czy za wódką, której sam byłby się dusznie napił przy każdej z owych karczemek.

Ba stanąłem przed drugą karczmą, przed karczmą Zylbermana; ja sny pan musi go znać, doskonałą ma wódkę! i zimno było człowiekowi, aż się trząsał, a oni sobie siedzieli, i nie pomyśleli nawet, że człowiek nie pies, że mu się kieliszek wódki należy na taką słotę. Podumałem sobie wtenczas, że nie pewne moje pieniądze. No ale cóż robić! stanąłem koło

murowanki; człowiek zmarł, aż ręce pograbiwały i konie trzeba było podpaść: choć za kopijkę wódki, to i żyd kupi, nawet nasz arędarz Szloma nie żałuje pulkwatki, jak go wiozę do Tarnopola. I tak stracili oni u mnie wiarę, i jak mnie nie zapłacili przed miastem, powróciłem nazad; teraz niech ich diabli wieżą sobie do Tarnopola, ja nie głupi, ja ich nie powiozę.

Rozumowanie było niezłe, jak na wieśniaka podolskiego; a jaki sąd wypadł, nie opowiem państwu, bo gdy się oskarżyciel i oskarżony zaczęli lżyć i z ruska i z węgierska, obrażeni sędziowie przestali mozolić się nad trudnym wyrokiem i obudwóch kazali wypchnąć za drzwi.



Stuczone okno.

Sturzonc ohno.

STLUCZONE OKNO.

CZEŚĆ PIERWSZA.

PRZY PRĘGIERZU.

Roku 18.. dnia nie pomnę którego, wiem tylko, że był to dzień wiosenny, jeden z tych dni kwietniowych, który, jak zgrabna zalotnica, co chwila odmienna, to wesołem spojrzeniem roskosz obiecuje, to znowu zasepionym i mglistym wzrokiem swoim najbujniejsze niszczy nadzieje; w taki dzień napoly promienny, napoly posępny o godzinie dziesiątej z rana ciekawe tłumy miejskich próżniaków ściągały się z różnych ulic do rynku stołecznego. Jakkolwiek w téj chwili wiosenne świeciło słońce, nie chęć to przechadzki zdaje się wszystkich pociągać, miarkując po przyspieszonych krokach, po oczach z ciekawością w jedno miejsce zwracanych, inny ich tam wiedzie powód zajmujący wszystkie umysły. Nie trudno w mieście o wzbudzenie gotowej zawsze ciekawości, która z różnym zapałem biegnie na smutne czy wesołe widowisko, czy warto, czy nie warto, wszyscy biegną, byle czém nowém zająć oczy do ciągłego patrzenia wzwyczajone różnaitością przedmiotów nasuwających się w mieście co dzień co godzina; dla próżniaczéj gawiedzi równie zajmującym jest najpyszniejszy przegląd wojskowy, jak i najobrzydliwsze kolanowanie przejechanego psa.... Tą razą, zdaje się, że powód zbiegowiska nie jest jeszcze, a przynajmniej nie wszystkim, znany, bo jużciż naróżna fontanna, w koło której najwięcej jest ludzi, nie ma w sobie nic ciekawszego dzisiaj, czegoby wczoraj nie miała, a i gwar złożony z tysięcy krzyżujących się pytań i odpowiedzi, ruchy niespokojne i oglądania ciągle dowodzą, że się tu odbywa najciekawsza część każdego widowiska miejskiego, a tą jest obfite w domysły oczekiwanie. W takich razach nie brakuje na opowiadaczach miejskich, którzyto najlepiej wiedzą przyczyny, istotę i wynikłości każdego objawiającego się zdarzenia: niepłatne cycerony sypią przed ciekawemi cały skarb swoich wszechstronnych wiadomości; najkapryśniejszy domysł przytomnych ma gotową u nich odpowiedź, a razem zaród nowych domniemywań, bo choć prawią wiele, ale w ich opowiadaniach więcej jest przedmowy zaostrzającej ciekawość, niżeli zaspakajającego dzieła; a tyle mieszają różlicznych epizodów, iż prawdziwie posądzić ich się chce o naumyślną czy mimowolną współkę z ciekawemi tajemnic kieszeniowych, których każdy taki zbiór ludzi mieści zawsze w swoim łonie. Coraz więcej

ciekawych przybywa, i chociaż żaden z nich nie wie, o co rzecz idzie, jeden goni za drugim, bo w tém jedném kredyt gawiedzi miejskiej jest nieograniczony; ciekawość tylko bankructwami najpiękniejszych nadziei niezrażona ma zawsze swoje oko i nogi gotowe, byle nie serce, bo te ciekawy czy w domu zostawia, czyli ma przytępięone ciąglą zmianą rozmaitych widoków, niewiem, ale to pewna, że nadaremnie uderzają w nie najsmutniejsze i najweselsze sceny. Ciekawość miejska jest rodzaj rzemiosła, to téż ciekawy z profesii, czuły w domu ojciec, mąż, przyjaciel, jest na ulicy tak obojętny, jak lekarz przy łożu śmiertelném swojego pacjenta; jak lekarza choroba obchodzi tylko swemi symptomatami zewnątrznie, tak ciekawy z profesii widzi tylko w każdym zdarzeniu powierzchowne onego znamiona, które je robią mniej lub więcej ciekawem: jednem słowem ciało zdarzenia jest dla ciekawego z profesii, dusza zaś zdarzenia jest mu póty obojętna, póki przyszedłszy do domu nie opowie mu jój jaki dobry przyjaciel, lub nie wyczyta z kolumn dziennika jakiego; wówczas gotów nawet zapłakać nad martwym oddaniem tego, co widział żywym przed sobą.

Najdobitniej okazała się ta obojętność, gdy nagle z końca ulicy pojawił się prowadzony przez straż miejską mężczyzna jakiś w grubej więźniowskiej sukmanie; rozstąpiły się milczące tłumy, a więzień chwycającym krokiem stanął na przygotowane rusztowanie, na którym wznosząc się po nad głowy ciekawych stał się celem wszystkich spojrzeń. Tablica na piersi więźnia zawieszona zimno odpowiedziała ciekawości ziunnej.

»Fałszywe świadectwo.« Długo trwało, zanim zgromadzeni wyczytali zupełnie tę krótką odpowiedź, na ich długie oczekiwanie i obszerną ciekawość; jakby z każdej zgłoski miało się im coś nowego objawić; dłużej trwało jeszcze, zanim wysłabizowało pismo cierpień zwyczajnych wypisane na twarzy więźnia stojącego na pręgierzcu...

Rozłamały się tłumy w mniejsze grona znajomych, którzy się zdychali, i nieznanym żądnych pogadanki; jakoż wszczynają się różnorodne rozmowy towarzyszone spojrzeciami na więźnia rzucanemi, z których podług własnych usposobień wyrabiają wyobrażenia o nim, jego przestępstwie i karze. Gdyby można jednym rzutem oka przebiec na raz wszystkie twarze zebrane, dowiedzielibyśmy się z niemałym zadziwieniem, jak bogatą jest w odcienia, tak mało na pozór wyrazista obojętność, ciekawość z profesii; a wszystkie razem trącają tak mocno o śmiešność, że patrzący na nie z góry więzień, gdyby zdołał inne tajemniejsze odrzucić na bok myśli i uczucia, mógłby zasłużeńszym odpowiedzieć szyderstwem na szyderstwo, jakie rozbiega po całym zgromadzeniu, towarzyszone komentarzami o jego postawie: on by mógł być widzem ciekawszym daleko pociesniejszego widowiska.

Bo uważa pani, szło o grubą sumę; podskrobał jedno nazwisko, drugie zfałszował; gadał nizki jegomość w tabaczkowy surdut tonący, a głowę zadzierał do góry w silnem przekonaniu, że równego z drugimi jest wzrostu.

Jakto? proszę pana: odpowiedziała chuda i wysoka jejmość w czepku kwiatami więcej upstrzonyn, niżeli stara twarz zmarszczkami; cóż on fałszował; ja słyszałam, że tylko banknoty fałszują...

To on banknoty fałszował? zapytał otyły jegomość, który z godną połowicą równej otyłości ledwie się dopchał na te nieco wolniejsze miejsce.

Uważasz Leopoldzie, jak się to trzeba strzedz; dobrze pan Piłka mówił wczoraj, że ta piątka, którą ów jegomości ospowaty w czarmarce dawał za kawę, była fałszywa... O bo pan Piłka doświadczony człowiek. Ta piątka była prawdziwa, a pan Piłka niech swego nosa pilnuje.

Nie bzdurzyłybyś przynajmniej między ludźmi... oj! gdyby nie pan Piłka, nie wiem, co byś ty robił..

Ja! jak ja, ale ty?..

Cicho! cicho! już się rozgadał; wolisz patrzeć na tego kryminalistę.

Owa! czy ja to już jednego widział..

A i pani Fusowa tu..

Ale że pani Cykorja wyszła przecie..

Ot ten głupi Leopold wyprowadził mnie tutaj... ale że pana Piłka nie ma jeszcze, on by to nam opowiedział najładniej...

Nie ma co, opowiadać!.. fałszował banknoty i koniec!..

Ale nie banknoty!..

Otoż macie, dowiedźcie się tu czego!.. żeby już pan Piłka przyszedł raz.

A jaki niepokazny.

A jaki chudy! jak szczerpka, dodała tłusta Cykorja, zwrócona ku cudnej Fusowej.

Widziałam ja już i tłustych, jak się wypiekali na pręgierzu, odrzekła chuda Fusowa zwrócona do tłustej Cykorji.

Otóż i pan Piłka!.. Nadeszły w tej chwili pan Piłka był podobniejszy do pilnika, tak nędznie połamano wyglądał ze starego wytartego surdata sieraczkowego, ale za to miną, ruchem skaczącym, głosem natężonym poprawiał wady swojej powierzchowności.

Powiedz nam pan, co to za jeden?..

Bo pani Cykorja powiada, że pan go zna.

Ja bym miał znać takiego urwisza, draba!.. ach niech mnie pan Bóg strzeże od tego.

Już to prawda, wygląda jak prawdziwy kryminalista; taki wymokły, nędzny, kościsty! nie prawdaż pani Fusowa?.

Tajemne tylko grzechy tuczają człowieka! nie prawdaż pani Cykorja?..

Cóż on fałszował przecie? przerwał ciekawy pan Cykorja ...

Cessię z fałszował! mówiłem już to pani Fusowej.

Cessię! Cessię! proszę kogo! o to łotr!.. ależ panie Piłka, co to jest Cessia?..

Nie Cessię, nie banknoty; ja to państwu co do słóweczka opowiem; trzeba wiedzieć ...

Patrz Leopold, jak on tu spogląda...

Ale proszę nie przerywać... trzeba wiedzieć, że on był dawniej służącym u adwokata...

Ha! ha! zaśmiał się głośno, wysokie jakieś panisko, stare, chude, mocnymi rysami twarzy i kościstymi członkami odznaczone, a z laską i parosolem w rękę prawdziwie na dzień kwietniowy wybrany; zwyczajną swoją odbywając przechadzkę po rynku stanął na przeciw pręgierza... U adwokata mruknął; niekoniecznie... znajoma mi gdzieś ta twarz...

Proszę pana dobrodzieja, zwróciła się Cykorja do niego, ależ pan Piłka powiada...

To sobie wasani wierz panu Piłce..

Wasani! wasani! zapatrzyła się Cykorja, aż chustką pot obcierać musiała z tłustej, obwisłej, a karmazynowej twarzy. Parasolowy jego-
mość poszedł dalej, należał bowiem nie do ciekawych z profesii, ale z przypadku.

Nie przeszkadzajcie państwo! ja opowiem co do słoweczka; trzeba wiedzieć, że gdy był służącym u adwokata, razu jednego ten adwokat..

O! o! czegoś niby szuka pomiędzy ludźmi.

Ależ nie przerywajcie!..

Kiedy tak okropnie wyszczerzył oczy, aż mnie strach przejuje... panie Piłko! czy mocne ma on łańcuchy?

Co też pani boi się takiego chrząszcza... słuchajcie raz....

Nie! nie! ja do domu pójdę, bo on strasznie patrzy; djabeł nie spi, może tam kiedy człowieka znał, i nuż się przyzna..

A jak dziko zpod łba spogląda, założyłbym się, że musiał kogo zabić...

Okraść, to więcęj jakby zabił, prawdziwych sukcesorów fałszywym testamentem....

Ten testament patrzy mu z oczu, jabym z nim nie spała razem w jednym pokoju.. W rzeczy zaś samej twarz więźnia i spojrzenia jego nie były tak odrażające, jakimi je widziała ciekawość pospółstwa.

Byłto człowiek już nie młody, zmarszczki pokrywały twarz, której ogólnym wyrazem było cierpienie, co wprzódy w czasach wolności i swobody na tej twarzy poznać było niepodobna, ale ani w niej, ani w oczach nie widać żadnego mocno odbitego wyrazu, jakim bywają napiętnowane twarze wielkich zbrodniarzy; ani pomieszania, ani bezwstydnęj zakamieniałości: gdyby nie otaczające go inne oznaki, możnaby go wziąć za dobrego i prostodusznego staruszka oddanego smutnemu zadumaniu. Czasem tylko wyraz silniejszy, jakby kurczem natężenia, przebiegnie przez twarz, oczy zamarłe ożywią się łzą. Łza w oczach zbrodniarza nie wzbudzi litości w zgromadzonym tłumie, bo wszyscy widzwie przedewszystkiem są ściśle moralne członki towarzystwa, z którego zbrodniarz prawem osądzony na zawsze wykluczony.

Patrz, jak ten łotr płacze!.. bo mu się nie udało!.. Zł. pali ptaszka!.. takie i tym podobne sprawiedliwe może, ale wszelkiego pozbawione miłosierdzia słowa przebiegały zgromadzenie, i może doszły choć w części uszu więźnia, bo łza ledwie zaświeciła, już i zgasła, oczy lekkim ruchem wzniosły się ku niebu wypogodzonemu, usta się otwarły, jakby coś przemówić chciały; a gdy po chwili spuścił oczy i spojrzął niemi po zgromadzeniu, prawdziwie najszlachetniejszą ze wszystkich wydała się twarz więźnia na przegierzu. Oddaniem się losowi swemu uspokojone spojrzenia przesunął po przytomnych tak słodko i tak uperzejmie, jakby dziękował, że go odwiedzili po raz ostatni, jakby im z serca przebaczał te zelżywe ich słowa, i zelżywsze jeszcze twarz wyrazy. A może i szukał kogo w tłumie, bo czasem dalej poza koło zgromadzone puszczał oczy w głąb ulicy, naprzeciw której stał; ale darmo szukać się zdaje, oko zwraca się nazad, i dłużej już wzniesione ku górze pozostaje: tam łatwiej przyjdzie więźniowi znaleźć tę, co tu szuka, pociechę.

Z przeciwniej ulicy mężczyzna jakiś posuwistym krokiem, jakby mu pilno było, zbliżywszy się do rogu stanął, wahał się przez chwilę, lecz wnet posunął ku zgromadzeniu. Twarz i postawa godnie odpowiadają całemu jego ułożeniu niedbałemu i obojętnemu; zawiesziste, a sze

roko rozrzucone wasy idą w parze z tym krokiem tak zuchwale zamaszystym, jakby na zwójowanie całego szedł świata; oczy na wierzchu osadzone śmiało poglądają na wszystkie strony; jeżeli się można tak wyrazić, są one wymowne brakiem wszelkiego odrębnego wyrazu; ni tam dowcipu, ni też głupoty; żadne żywsze ludzkie uczucie nie musiało przez nie poglądać; wszystkie te odcienia, jakich wzrok nasz przez ciąg życia nabywa, i które właściwie stanowią najwyrazistszą barwę moralną oka, wszystkie pochłonął w nim wyraz niedbającej o nic nieczulej i czułości niewymagającej obojętności.... Czoło wyniosłe widać z pod kapelusza na bakier zwieszono, ale trudno zawyrokować, czy nie więcej jest wytarle bezwstydem, niżeli długi bajowy surdut przenoszeniem; twarz nawet, której zarysów pięknych odmówić niepodobna, pokryta jest barwą śniadą, a tak świecąca, jakby była powleczona pokostem bezwstydu mającym ją bronić od natarczywości wszelkich wzruszeń. Byłato twarz miedziana, w całym tego słowa znaczeniu. Ruchy przytem wszystkie pewne siebie, niepodległe ani zwyczajom ani modzie, stąpanie dobitne, wielka, gruba i sękowata laska, którą wywił w kolo siebie, uzupełniały całość tego nowego przybysza nadto oryginalną, by mogła się wydać śmieszna. Wiek jego istotny trudno odgadnąć, tyle tylko na pierwszy rzut oka powiedzieć można, że nie stary jeszcze, choć mimowolnie nasuwa się myśl, że mnogich, długich i ciężkich doświadczeń wynikiem być musiało to usposobienie rozlane na całej jego postawie. Zbliżył się do grona otaczającego panią Cykorie; znać znał wszystkich, kiwnieniem bowiem laski protekcjonalnem prawie pozdrowił ich, a przywitał uśmiechem szydzącym ze wszystkiego i niedbającym o nikogo.

Piękna pani Cykoria tutaj; i pan Piłka oczywiście, a w domu rozgardziasz!.

Kto taki? zapytał pan Leopold.

Kawy, likworów żądają goście bez końca, a Hanusia szczerzy ząbki do młodego praktykanta.

Widzisz Leopold! zawsze mnie namówisz do jakiegoś głupstwa.... Coś tu ciekawego? jakiś mizerak, nie ma się patrzeć na kogo. Spojrzał się nań nowo przybyły z uwagą....

Przez tego łotra będę miała w domu ubytek...

Nie mów pani tak o nim! szepnęła Pilka.

I któż mi zabroni nazwać każdego po jego nazwisku?

Ale bo ten!.. o ten!.. i wskazał okiem wosacza.

Cóż ten?.. zapytała Cykoria z iskrzącemi od ciekawości oczyma..

W domu pani opowiem... oni się znają... i ruchem oczu wieleznaczącym, zwróconym kolejnie na więźnia i pana w bajowym surducie odpowiedział reszty.

Pan Szumiło? czy być może?..

Cyt! cyt! patrzy tu!.. Przez ten czas pan Szumiło nie spuszczał oka z więźnia, wpatrywał się weń z uwagą niezwykłą przy tak zimnem usposobieniu.

No! Leopold! chodźmy do domu!.. znowu ten kryminalista spojrział ku nam; złemi oczyma gotów odpędzić gości naszych.

Byle kawa była dobra a tańsza; zaśmiał się pan Szumiło.

Więzień z jednostajną cierpliwością znosił przykrość położenia swego, i te wszystkie ócz wejrzenia, i wszystkie ust uwagi, które pluły na niego obelgi i przekleństwa; ciągle to w górę podnosił oczy, to śledził niemi po całym zgromadzeniu, nagle utkwil je w jedno miejsce,

twarz jego zajaśniała wyrazem błogiej pociechy, usta jego poruszyły się, jakby mówić chciały, rodzaj nawet uśmiechu rozpromienił blade lica.

On patrzy! tu gdzieś! na kogoś! zaczęli mówić między sobą zgrozą przejęci, że jakiś zbrodniarza znajomy znajduje się między niemi...

A co? nie mówiłem drogiej pani! szeptał Piłka.

Ktoby się spodziewał tego po nim, udaje panicza; muszę też zajrzeć do mojej książki, jak też on tam stoi zapisany.

Pan Szumiło zdybał się ze spojrzeniami więźnia, i patrzył mu czas jakiś oko w oko; oczy więźnia coraz czuliej i tkliwiej patrząc zdawały się mówić najwymowniejszym językiem, jaki natura dała człowiekowi. Pan Szumiło został nieporuszony, jak głaz; zrozumiáli to wejście czy nie, któż odgadnie z twarzy, do której ostatni uśmiech złośliwy przygnał jakby przez zapomnienie: lecz gdy się oczy przytomnych zaczęły zwracać na niego, obrócił się nagle, jakby syt widoku, po który przyszedł, i zwyczajnym idąc krokiem rozpychał skupione tłumy.

Gdy się to działo, koło rusztowania przybyło dwóch nowych widzów niepostrzeżonych. W oknach pierwszopiętrowych dwóch domów narożnych zjawily się dwie postacie, które przypadek zapewne tam przyprowadził, bo zwykle pierwszopiętrowa arystokracja, ciekawość swoje na ważniejsze zachowuje przedmioty. W jednym oknie narodził się mężczyzna, w drugim kobieta; oboje nie młodzi; na obudwóch twarzach, jakkolwiek różnych od siebie, bo mężczyzna jest mocno chudy, a kobieta mocno otyła, jednakowy prawie jest wyraz zimnej zobojeźniałości; jestto najrodzinniejsze podobieństwo nabyte życiem zużytem i przesyceniem, które stósownie do różnych usposobień fizycznych jednego na żółtą mumię wysuszyło, a drugą wydeło w tę fałszywą nalaną i chorowitą otyłość. Jedną zapewne myślą poruszeni stanęli w oknach otwartych, by może wiośnianiem odetchnąć powietrzem; bezmyślnie z początku patrzyli ku zgromadzeniu zebranemu, gdy nagle z większą zaczęli się przypatrywać uwagą więźniowi, którego twarz słoncem oświeconą dostrzedz mogli wyraźnie. Wpatrują się coraz żywiej, i twarz wyschła i twarz nadęta ożywiają się pomału ciemnym jakimś przypomnieniem, które powoli wysuwa się z łona przeszłości. Jakby namówieni cofnęli się od okna w chęci odejścia, ale siłą wyższą nad chęć zatrzymaniu nie mogą spuścić oka z biednego coraz więcej zmęczonego więźnia. W tej chwili więzień rzucając za odchodzącym panem Szumiło ostatnie spojrzenie, w którym coraz smutniejsze i tęskniejsze odbijały się uczucia, dostrzegł patrzących przez okno; wyraz inny wystąpił na twarz jego, oczy wybiegły na wierzch, blada twarz pokryła się rumieńcem jaskrawym; zadrzał, rękę chciał podnieść, ale tylko łańcuchy zadzwoniły. Na ten dźwięk zadrżeli widzowie, ale jakby czarem przykuci oderwać się nie mogą od okna, i patrzą oczami szeroko rozwartemi w biednego więźnia. Zdybały się ich oczy ze wzrokiem więźnia, a idąc za biegającym jego okiem spojrzeli po sobie. Jak łyskawica przebiegł wyraz okropny wzajemnego poznania się przez trzy twarze; zadziwieniem i przestrachem skurczył twarze widzów, zgrozą i boleścią twarz więźnia. Krótka byłato chwila, okropna zapewne, jeżeli się znali... salon z pręgiem!.. Pierwszy opamiętał się mężczyzna suchy; ręką drżącą, czy od starości, czy od wewnętrznego poruszenia, pociągnął okno ku sobie, by je zamknąć, ale niezgrabnym pociągnięciem przyciśniona szyba pękła z łoskotem. Na ten odgłos słuczonej szyby niedosłyszany prawie w gwarze napelniającym rynek, idący zamaszystym krokiem pan

Szumilo podniósł oczy, a choć wszystko chwilę tylko trwało, dostrzegł te trzy wyrazy na trzech twarzach, wzajemnego poznania się, przestachu i zgrozy; musiały też być okropne, kiedy zatrzymał się Szumilo w półkroku, wyraz jakiś dziwnie ciekawy wybiegł na miedzianą twarz i z niewykłmem sobie zajęciem wpatrywał się w mężczyznę, którego dłużej mógł widzieć. Zuchwałym wzrokiem swoim obglądał twarz chudą, jakby chciał ją na zawsze w pamięci zachować; najdłużej w patrywał się w damę jakąś, czy bliźnię czy znaną nad lewem okiem mężczyzny w oknie.

Znikły postacie obie, wszystko pozostało, jak dawniej na rynku. Pan Szumilo idąc wolniejszym krokiem potrafił nie jednego znajomego z niemałym zadziwieniem patrzących na tego ze swój wesołości i mało dbania o wszystko znanego oczajduszę. Ciekawi rozchodzili się pomału niezadowoleni jak zwykle z widowiska, które ich oczekiwaniu nie odpowiedziało należycie. Najdłużej pozostał biedny więzień; długo jeszcze spoglądał z wyciśniętym na twarzy poruszeniem głębokim w próżne okna, aż nareszcie pobladł jak dawniej i jak pierwój wzniosły się oczy jego ku niebu z wyrazem szczerého oddania się Bogu. Więzień modlił się na pręgięrze!..



Faint, illegible text at the top of the page, possibly bleed-through from the reverse side.



Second block of faint, illegible text, continuing from the top section.

le
tr
je
b
ni
ni
m
na
cy
sc
m
p
ne
w
ja
g
p
g
ju
w
z
st
w
d
k
st
w
z
C
n
z
n

STŁUCZONE OKNO.

CZEŚĆ DRUGA.

W KAWIARNI.

Na jednej z głównych ulic stolicy była kawiarnia, która się nie zalecała, ani wymyślną wystawnością szyldu, ani wytwornością wewnętrznego przystrojenia, ani też doborem rozdawanych w niej trunków; jedyną i odrębną jej cechą była ciasnota niezwykła w takim miejscu: była to kawiarnia w dwunastówce, a przecież cicho, skromnie, i spokojnie przeżyła ona nie jeden rok, przetrwała nie jedną burzę finansową, niszczącą tyle wytworniejszych od niej kawiarni. Licznych gości nie miewała, i gdzieżby ich pomieścić mogła? jakoż możnaby tę kawiarnię nazwać familijną, tak nieliczne i niezmiennie jedno bywało grono bawiących się w niej gości; wszyscy spokrewnieni z gospodarstwem i między sobą, przez te długich lat przebyte razem koleje, przez te ścisłą znajomość wszystkich swoich zalet, wad i narowów. Jeżeli kiedy, co się przecie trafiło w poobiedniej porze, zjawił się jaki nowy przybysz czarnej kawy żądający, oglądali go gospodarstwo z nieufnością; jeżeli powtórzył odwiedziny, przypatrywali mu się uważniej, w tysiączne wikłając zapytania; i długo trwało, zanim mógł być przyjęty do rodzinnego grona, na którego czele stali państwo Cykoria i pan Piłka, najpoufalszy przyjaciel domu. Pan Piłka był najpotrzebniejszą koniecznością domu, gdy bowiem gospodarstwo oddani systematycznemu pasieniu potężnych już swych brzuchów i podbródków zawieszistych mało wychodzili z kawiarni, on biegał za sprawunkami do miasta, on sprowadzał gości pieniężnych, on znosił miejskie nowinki, a co najwięcej, on należał do wszystkich tajemnic buduarowych i budżetowych samej paui Cykorii, ukrywanych starannie przed mężem. Trzeba bowiem wiedzieć, że chociaż do zarządu kawiarniowego należały wspólnie te trzy osoby, pani Cykoria zajmowała pierwsze miejsce i miała wotum stanowcze, po niej następował pan Piłka, jako władza wykonawcza, pan Leopold Cykoria wreszcie miał tylko wotum doradcze; był ministrem bez władzy, ale z odpowiedzialnością. Nieraz w nocy, gdy przychodziła kolej na panią Cykorie siedzieć w kawiarni przy smutném świetle dogorywającej lampy na środku pokoiku zawieszonęj i dogorywających węgla na kominku, z jakąż wdzięcznością słuchała wiernego Piłkę, który ją w takich razach nie odstępował; zawsze coś miał nowego i ciekawego do opowiadania,

a wybierał zwykle przedmioty ze skandalicznej kroniki miejskiej: to była najprzyjemniejsza dla niej rozmowa; ileż to nocy samotnych zimowych przeszło niepostrzeżonych przy lubej o bliźnich pogadance, bo to i serce ma się dobrze i lubi utyskiwać nad zdrożnościami światowemi. Od niejakiego czasu coraz częstsze bywały takie wieczorynki, tylko smutniejsze, albowiem dla przyczyn nie należących do tej powieści znalazło się w rodzinie kawiarniowej kilku odszczepieńców, którzy przenieśli swoje penaty o parę ulic dalej do pani Herbaty: a w tej usługach tracili swoje zwykle dawniej u pani Cykorii tracone pieniądze rekreacyjne. Było cios okropny dla Cykorii; darmo Piłka zwijał się, pustoszał, dowcipkował, nieporuszona Cykoria smutnemi patrzała oczy na pustą skurzaną kanapę; myśli nad środkami poprawienia zrobionej w budżecie dziury, nawet już Leopolda do rady wzywa; ale ten gdyrającą żonę odsyła do Piłki. »Piłko radź!« długo kłopotala mu głowę, aż nareszcie Piłka padł na myśl szczęśliwą; i na parę tygodni przed zaczęciem niniejszej powieści pojawiła się nowa kawiarnia, którą teraz widzimy zastępującą miejsce dawniej, wysłużonej już i wiekowej Pauliny.

Hanusia byłato dziewczyna młoda i tak ładna, że trzeba było zdumiewać się nad kaprysem losu, który ją w takim osadził stanowisku. Ledwie wierzyć można było, by te ciemne, wielkie, a wyraziste oczy sypiące więcej iskier, niżeli wiecznie gorejący komin; ta płeć tak biała, tak delikatna, tak aksamitna, że ją nawet wyziewy fajczane i dym kominowy pożółcić nie śmiały; ten noszek zgrabnie zadarty po nad ustami pełnemi, małemi, rumianemi, jak najczernerwieńsza czereśnia; ta owalnie zaokrąglona twarz; te dwa dolki pełne śmiechu, żartów, i naiwności, czy prawdziwej czy zalotniej; czoło białe, jak najczystszy marmur żadną żyłką fałszywą niepokalany, ujęte w ramy włosów czarnych, gęstych i świecących od wdzięcznego i gładkiego uczesania; a nadewszystko te dwa łuki brwi czarnych, a tak cienko odznaczonych, iż mimowolnie na ich widok przychodzi na myśl wiersz jakiegoś wschodniego poety:

Pięknie piszesz Małachana!
 Jak włos każda zgłoska twoja...
 Nie to nie!.. o bo brew moja
 Jeszcze cieniiej wypisana....

... by to wszystko razem było własnością prostej kawiarki. Tym czasem tak było w istocie; skąd ją wytropił pan Piłka, tego powiedzieć nie umiem, ale to rzecz pewna, że od pierwszej chwili zajęła piękną Hanusią swoje stanowisko z taką pewnością siebie, takim obeznaniem tajemnic kawiarniowych, że się aż radowało serce pani Cykorii. Przytem młoda kawiarka była widocznie przy śmietance życia swego; jakoż myśl pana Piłki szczęśliwa rozplądzała coraz nowe roje much żądnych tej śmietanki, która jedna zdołała smaczniemi uczynić cykoriowe fusy bez końca odgrzywane...

Byłoto po obiedzie: goście czarnokawowi już odeszli, a herbaciani i śmietankowi byli później spodziewani; piękna kawiarka siedzi przy kominku ze zwieszoną głową; zdawałoby się, że drzymie, tak spokojnie spoczywa jej głowa na ręce, której spracowana białosc kłuci się z płcią twarzy i czoła, gdyby nie rzut oka często zwracany ku drzwiom: a spojrzenie to nie tak wesołe jak zawsze, bo i kawiarka ma myśli, ma serce, a wesołość pozorną dla gości, nieraz w samotności przepłaca gorzkim, i głęboko gryzącym żalem. Są tajnie w życiu kawiarki, równie dramatyczne jak w życiu modnej damy spokojnie usadowionej na sofie salonowej; jedna

jak i druga inna w salonie, inna w buduarze; salonem dla kawiarki, salonem rozmownym, roztrzepanym, pełnym słów, śmiechu, spojrzeń i zalotów jest kawiarnia; buduarem rozpamiętywań, oczekiwania, nadziei, i marzeń jest samotne krzesło przy kominku.

Na kanapie skurzanej zasiadł rząd kawiarniowy w pełnym komplecie; coś ważnego zająć musiało, nadzwyczajnie bowiem uroczyste wyglądają te trzy twarze ożywione jakąś myślą wewnętrzną. Żywsze ruchy, spojrzenia niecierpliwie zwrócone, to ku drzwiom, to ku oknu ulicznemu, koło którego snują się przechodzące postacie, jak cienie katarzynkowe; wszystko to dowodzi, że się coś wielkiego święci. A trudno odgadnąć, bo nastąpiła chwila milczenia, ledwie przerywana syczącym kipieniem fusów męczonych przy ogniu nieustającym, jak dusze potępione w piekle.

Śluchajże Leopold! przerwała milczenie pani Cykoria; jak tylko przyjdzie, zaraz mu z góry zapowiedz!..

Ja? ja nie myślę, kiedy Piłka piwa nawarzył, niech Piłka go wypije...

Ależ pan Leopold jako gospodarz domu...

Owa! gospodarz, jak wam potrzeba mną się zastawić; a nie gospodarz, gdy mi się zechce jednego garnuszka śmietanki więcej...

Ej! Leopold! Leopold! pogroziła małżonka.

Nie powiem, i basta!.. djabeł nie spi, Piłka, Bóg wie, gdzie złapał tę wiadomość, może to i bajka...

Ależ kumie, słyszałem to od pana Zarwickiego, który przecie dependuje u...

Wierz tylko dependentom, a adwokatom, to dobrze wyjdiesz.

Więc nie chcesz?..

Nie chcę... a jak mi odpowie po swojemu, pamiętasz jak odpowiedział przy dominie kupczykowi od Brega, który mu zadawał, że kamyk jeden schował.. miał co nosić przez dwa miesiące na nosie..

Żal się Boże, żem takiego tchurza za męża obrała; o! gdybym była wiedziała, byłbyś sobie całe życie kelnerował.

Miałem ja wtenczas i pieniędzy i spokoju więcej... a przypomniał mi się sobie błogie czasy, nakładał potężną lulkę porcelanową tytoniem z puszek ołowianej.

O! wolałbyś nie wypalać tytoniu dla gości przeznaczonego... a więc kiedy się ten durny Leopold boi, to ty kochany panie Piłka, jak tylko wejdzie ten Szumiło..

Ja! ja!.. to jakoś nie uchodzi, ja nie gospodarz..

W tej chwili zabłysły znowu oczy Hanusi, żywiej niż iskry w kominku; z wyrazem pełnym pogardy spojrzała na mówiących, i zamknęła oczy na nowo; drzymieli czy myśli?..

To wszystko jedno! ciągnęła zawzięta gospodyni dalej; w naszym imieniu będziesz mówił...

Pokiwał Piłka głową i po chwili namysłu rzekł... Jużto z nim niema co żartować; pamiętasz pani tego aptekarza, jak go potraktował przy preferansie, to dobrze musiał się aptekarz plastrów nanosić...

Tak! tak! panie Piłka! Tfu!.. otoż mam dwóch chłopów; zuchy do gęby, i z gęby: a jak przyjdzie co do czego, to gorsi od baby.. więc ja baba wam pokaże, że się nie zastraszę zuchwałej miny tego Szumiły i wytnę mu kapitulę, aż mu w piętach zastygnie... Cóż to mój dom taki, jak tej rozlazłej Fusowej, albo tej cienkiej Herbaty?.. u mnie sama noblesa bywa; a jak się dowiedzą, kto jest ten Szumiło, gotowi się roz-

gniewać i nie przyjdą więcej: ot ten pan Miodowicz, co tu zawsze dwa razy na tydzień wypija z przyjaciółmi swemi najmniej czterdzieści szklanek ponczu, jakby się, broń Boże, dowiedział, aniby już zajrzał. Niech on przyjdzie tylko, już ja mu tak natrę uszu, że pewnie nie przyjdzie więcej ten zawedyiaka... O! fusy wykipią, a ta próżniaczka aż chrapie... W samej rzeczy ozwał się od komiuka przytłumiony głos, ale do westchnienia podobniejszy, jak do chrapania. Jeżeli spała, lekki musiał być jej sen, gdyż skoczyła z miejsca swego i obruciwszy się do kominka zamarzyła patrząc na żarzące węgle, a kilka razy czarnym fartuszkiem przecierała oczy zaspane zapewne.

Urwisz taki! proszę kogo! mówiła Cykoria dalej, a udaje obywatelskiego syna. zobaczymy, zobaczymy. ale co to znaczy, już czwarta a jego nie ma jeszcze...

Jego kawa czeka dawno! wpółgłośno ozwała się Hanusia.

Nie dawać mu więcej kawy, póki nie zapłaci tego, co winien... jużby powinien nadejść... co to znaczy... i niecierpliwie patrzyła to ku oknu, to ku drzwiom..

Pan Szumiło nie przychodził i przyjść nie mógł, bo się w tej chwili znajdował w więzieniu. Po ranném zdarzeniu chodził pan Szumiło po ulicach miasta zamyślony, jak nigdy; kilkakrotnie przeszedł się po rynku opuszczonym przez widzów i przez widowisko, i za każdym spojrzeniem ku stłuczonej szybie w oknie narożnym przychodziły mu na myśl te trzy twarze patrzące na siebie.

Wyraz tych twarzy, jakkolwiek mógł być okropny i ciekawy dla badacza tajemnic wewnętrznych, nie byłby ani na chwilę zwrócił jego uwagi, gdyby nie jakieś myśli wewnętrzne, które mu ciągle przedstawiały mężczyznę z blizną nad lewem okiem, jako widzianą już kiedyś postać... lecz gdzie i jak! nie mógł sobie przypomnieć. A potem pan Szumiło było jeden z tych błędnych rycerzy miejskich, którzy goniąc z dnia w dzień za powszednim chlebem mają umysł ciągle zwrócony ku własnemu dobru. Czy więc głuche przypomnienie przeszłości, czy chęć obrócenia tej przez się już dziwnej okoliczności na własny pożytek, co być nie było, nasz bohater uliczny przez pomyłkę niby wstąpił do obu domów, i dowiedział się, że w jednym mieszka hrabina Rawoska, a w drugim świeżo z zagranicy przybyły hrabia Repliński; oboje zaś należeli do najwyższych szczebli towarzystwa wielko-światowego, którego byli najcelniejszą pianką. Wyszedszy z tych domów biegł z ulicy w ulicę, obiadu nie jadł, czy przez zapomnienie, czy przez niemożność, co mu się często trafiało, a myślał bez ustanku, chcąc koniecznie w całość powiązać domniemywania swoje oparte na tych trzech ostatnich spojrzeniach salonu i pręgierza. Niepojęta siła jakaś pędziła go koniecznie, by zajrzeć w tę tajemnicę, bo jest w tém tajemnica, i to jakaś okropna, oburzliwa i występna tajemnica. Nadto jest pan Szumiło zimno rozumujący, aby się tego nie domyślał, a nadto często życiem swoim całym zaglądał we wszystkie kloaki towarzyskie, napatrywał się rozlicznych brudów, o które się ciągle ocierał, aby nie zwietrzyć występku w głębi tych spojrzeń; a występki odkryte, to kapitał dla niego... i zabrzmiały mu w uchu kawałki szkła stłuczonego, jak garście złota sypiące mu się do zgłodniałej i nienasyconej kieszeni. Hrabina i hrabia są bogaci!.. ta myśl wystawia na tortury jego dowcip łamiący się z tysiączeniemi domysłami. Oni bogaci! on ubogi!.. to mu bodźcem, to go goni po ulicach; a i głód, tak często cierpiany w tém jego życiu nędzy, za-

zdrości i chciwości, zaostrza coraz więcej jego władze umysłowe. Budzą się wszystkie myśli wyniesienia się, wydrapania do życia pełnego, rozkosznego, do życia, które mu każdy kamień brukowy tylekroć i tyle razy przez niego zbijany wyobraża w całej świetności lecących powozów, liberii, galonów, i najwonnejszych wyziewów, jakie go dochodzą z traktierniów i winnych sklepów; pozbycia się tego życia, które mu każdy kamień brukowy tylekroć, i tyle razy przez niego zbijany wystawia w całej okropności niedostatku, głodu, pragnienia i zimna. Mniejby może myślał o ranném zdarzeniu, gdyby nie but dziurawy, przez który wilgoć miejskiego bruku przechodzi go dreszczą rzeczywistości, a gorączką żądry... W obrębach myśli, jakie przez ten czas przebiegły przez głowę pana Szumiły, mieściło się całe jego życie minione; z brudów, śmieci, i błota ulicznego, które od najmłodszych lat było jego pomieszkaniem i towarzystwem całym, nie mogły tylko same najjadliwsze wyrastać myśli i uczuć grzyby. Odkąd siebie zapamiętał, zawsze żądał, a nigdy nie używał — a używać dla człowieka, który od dziecka zazdrościł muzyki balowej, śpiewów artystek, uóg baletniczek, piany szampa, wystawniej nawet parady umarłego magnata — takie używać jest w pokrewieństwie z wydrzeć!.. Dziś momentem pożądliwem zdaje się zdzierać ze wszystkich przesuwających mu się co chwila świetności błyskotnych powierzchownych pozłotę; jutro!.. odejm bojaźń prawa tak dobitnie trafiającego do umysłu zimnego i wyrachowanego, dodaj kilka kropel więcej mocnego trunku; jutro!.. ręką pociągnie po okiem zakosztowane rozkosze. On nigdy nie miał nic swojego; nawet rodu, któryby mu służył za tarczę przeciw brudnym pokusom; nawet ojca, któryby mu dawał zbawienne nauki i dobre przykłady; nawet matki, która by wpięściła w jego serce czulsze uczucia, jakby anioły stróże brońące od złego!..

Nie miał nic swojego; wszystko jest cudze; a więc cudzego zażądał!.. Darmo łamie sobie głowę, nazwisko hrabiego i hrabiny nieznanemu równie, jak ich stosunki, salony bowiem wielko-światowe świecą mu tylko zdala, jak czarowne zamki z zaklętymi niedotykalnemi godami swemi; on znał tylko błoto, którym mu w oczy bryzgała arystokracja przelatująca czałem przez ulicę!.. Zatrzymał się raptem; wzrok starca na przegierzu żywo mu stanął przed oczyma!.. On wie! ale nie odkryje, znam go nie od dzisiaj, jest tajemnica w jego życiu i w mojem, ale jaka?.. tak mówi Szumiło sam do siebie. Lecz kto nie waży, ten nie wygrywa! to jego dewiza od dawna, a więc przyspieszył kroku i stanął u bramy więzienia.

Może przed zupełnem na długie lata zamknięciem sędziowie pozwolili zbrodniarzowi ostatniej wolności gorąco błaganą przez niego, dosyć, że dozorca więźniów, skoro zoczył naszego Szumiłę, wpuścił go do więzienia izdebki. Staruszek mocno był od rana zmieniony, postarzał jeszcze, zgarbacił prawie, widać, że go z rana prostowały resztki sił moralnych. Z niemilém uczuciem wszedł pan Szumiło; ciemne korytarze, straż wojskowa i ta cisza ponura brzękiem tylko kajdan zrobiły przykre na nim wrażenie; może przeczucie zagadało, że marzenia podobne tym, jakim się oddawał przed chwilą, kończą się często w tém złowrogim pomieszkaniu, a prócz tego rozmowa ze starcem, którego znał doskonale, nigdy mu miłą nie była: równi prawie usposobieniem umysłowem nie rozumieli się sercem. Coby nie było, stanął przed nim ze zwykłym sobie spojrzeniem bezwstydnym. Starzec spojrział na niego z wyrazem

tak pełnym uczucia i szczerého przywiązania, żeby zdołał poruszyć skałę, ale nie naszego Szumiła; to starca przywiązanie do niego było może jego jedną i prawdziwą cnotą, przejrzaną przez sąd ludzki, ale Przedwieczny porachuje mu ją zapewne w swęj wyższej nad sądy ludzkie sprawiedliwości...

Przyszedłeś mnie przecie odwiedzić Karolu!.. dzięki ci za tę ostatnią pociechę, dzięki!.. dla czegoż milczysz!..

Cóż wam powiedzieć mogę; odrzekł mrukliwie: lepiejby było, bym tu nie przychodził...

Zapewne lepiej, lecz już się stało... lepiej dla mnie, starca biednego...

Lepiej dla mnie, bohym nie potrzebował wstydzić się idąc do was.

Wstydzić! wstydzić! krzyknął więzień i wyprostował, jak z rana...

A jużciż wstyd dla mnie, że znam człowieka, który skazany za występki...

Prawda! występny jestem!..

Nichy to niebyło, gdybyście się nie dali tak głupio złapać...

Bóg chciał mojęj kary; musiałem wyznać...

Trzeba było zaprzeczać, nie wdawać się w gadaniny, które tak lubicie, zaprzeczać, zaprzeczać do końca...

Daj temu pokój! to się już nie odstanie, ale co ty Karolu będziesz robić bezemnie?...

A cóż robiłem z wami, zaśmiał szyderczo Szumił; i śmiech i złość bierze mnie razem, cóż tak wielkiego robiliście dla mnie będąc wolnym...

Czyniłem wiele, bo czyniłem, co mógłem i więcej daleko więcej...

Surdut mój łatany, bóty dziurawe, dzisiejszy dzień, jak i wiele innych bez objadu, to dowody najmocniejsze...

I ta sukmana dodaj! zakrzyczał więzień wskazując na ubiór swój ze wzrokiem bolesnym i wznioślejszym nad stan i miejsce w jakim się znajdował...

Ta sukmana?...

Tak ta, sukmana! przez ciebie i dla ciebie w niej siedzę; darmo się krzywisz i odwracasz, ty wiesz to najlepiej. O Boże mój! on mi wyrzuca swój ubiór łatany; ty widzisz, że póki mógłem, nic sobie nie zostawiałem, wszystkie moje gorzko zarobione zasługi dawałem jemu...

Lokajskie zasługi!..

Bo z młodu nie uczyłem się, nie miałem takiego, któryby mnie odawał do szkół...

Głupie szkoły! cóż mi z nich, to chyba tylko, żebym lepiej zrozumiał, jak nędzne jest stworzenie na tym świecie, gdzie wszyscy używają prócz mnie jednego; nawet języka żadnego nie umiem.. lepiej było rzemiosła jakiego mnie nauczyć...

Lokajskie zasługi ciągnął dalej staruszek; a przecież ty Karolu żyłeś za nie, nie pracując lepiej, niż ja przy gorzkiej niepodległości; i bodaj czy nie Boski to dopust za próżniackie życie twoje, którym żyłeś, jak sam chciałeś, od rana do wieczora...

Od kawiarni, w której nie miałem za co się napić, do traktierni, w której nie było za co obiadu kupić; żyłem zapewne jak pan, bo i nędza to wolne państwo. Kiedyś przyjdzie, jak się do reszty rozleci mój surdut dwuroczny, ubrać się w wasz strój dzisiejszy! przez was to, przez wasz upór całe moje życie spaczone; dla jakiej przyczyny chowanęj przodemną chcieliście mnie wynieść nad stan wasz?..

Boże mój! a ja go chciałem widzieć i słyszeć raz jeszcze, i widzę i słyszę, co odrzucałem zawsze od myśli mojej, że ty wolny gorszy ode mnie zbrodniarza w kajdanach. Śmiejesz się z tej sukmany!.. pracowałem, głodem morzyłem się, by tobie więcej dawać; a ty coraz więcej żądałeś; serce mi się krajało, gdyś nie miał podług rozrzutnej swojej chęci ubioru dosyć modnego, by w nim udawać pana...

Przestań stary gadulo...

Nie przestanę, powiem ci wszystko! ja byłem dawniej znany z poczciwości mojej, złej myśli, jak grzechu, się bałem.. O pamiętam, jakby dzisiaj ten dzień przeklęty, w którym stojąc w przedpokoju ostatniego mego pana, tego sławnego adwokata, podsłuchałem mimowolnie znowę jego z panem jakimś, któremu umarła daleka krewna bez testamentu. Do fałszywego testamentu świadka im było potrzeba, świadka koniecznie, choćby go złotem zapłacić. Ciemno mi się w oczach zrobiło, chciałem uciekać, bo mi się zdawało, że mnie szatan wpycha do pokoju, z kądem można było wynieść złoto — nie dla mnie, ale dla ciebie, niewdzięczny!.. a tyś przyszedł, i płakał, i ścisnął, i namawiał, samobójstwem mnie straszyl; a ja w życiu tylko ciebie jednego przedewszystkiem kochałem; i wszedłem do pokoju ubogi w pieniądze, ale bogaty w czyste sumienie... a wyszedłem bogaty w złoto, a ubogi w dawny spokój; i to złoto, a było go wiele, oddałem tobie; cóżś zrobił z tym tak drogo opłaconem złotem?..

Przegrałem!.. przepiłem!.. śmiejąc się i śpiewając odrzekł Szumiło...

Gdyby nie te twoje lzy fałszywe i namowy zdradzieckie...

Milcz stary! krzyczał Szumiło aż zębami zgrzytał; rozprowadaj! odkryj! abyś mnie miał na zawsze przy sobie...

Nie bój się tego, co ja wiem, a nie chcę powiedzieć, tego nie powiem, choćby mnie rozewiartowali, wyrzekł głosem uroczystym, a twarz jego wyładniała od wyższego uczucia, które zabłysło na niej.

Wiem ja o tym, gdyby nie te twoje tajemnice jakieś, które od dziecka umysł mój bałamucily, gdyby nie ten upór twój, z jakim tajles je przedemną, możebym mógł być czem więcej; zagadł Szumiło powolnie, a oczy wcisnął w starca...

Nie! nie! odrzekł z pośpiechem; nie, ty niczem więcej nie jesteś, tylko synem moim...

Synem lokaja!..

Może wolisz synem zbrodniarza!..

Uderzył się Szumiło w głowę, milczał przez chwilę, a różne uczucia, jak chmury burzą pędzone, przesunęły się przez miedzianą twarz jego. Nie moja wina! darujcie ojcie! ale sami nieraz wbijaliście we mnie dumę.

Własnego to serca złego wymyślił; z najniewinniejszych słów moich chciales koniecznie wyciągnąć tajemnicę jakąś, bo ci się chciało być więcej, jak synem lokaja. Dawniej gdy w poufnej pogadance rozprowadałem tobie, jak dziecku stare dzieje moje...

Tak tak! dawne dzieje! powtórzył Szumiło, a oczy roztworzył, jakby chciał połknąć każde słowo starca: ja lubilem słuchać te dzieje...

I zawsze pytales mnie, dla czego wyniosłem się z Warszawy, boś zawsze gonil jakieś nadzieje urojone; listy jeżeli jakie odbierałem ztamtąd, których dziecku nie chciałem pokazać, i ztąd roileś niestworzone rzeczy....

Tak listy! listy! powtarzał Szumiło, tak wzruszony, aż mu palce drżały z niecierpliwości: dobre to były czasy, dodał słodszy głosem; sam, ojczu, powiadałeś mi nieraz, bym się uczył, a kto wie, co ze mnie będzie...

Wypądz te próżne myśli, ot zwyczajnie, jak ojciec podchlebiałem sobie, że może kiedyś mój dawny pan...

Pan dawny! wrzasnął Szumiło z takim natężeniem, aż przestraszony odskoczył więzień. Pan dawny! o którym tyle nagadałeś dziecku, chwalać go; tak przypominam sobie... pan dawny, u którego służyliście, jak był jeszcze kawalerem... który do was pisywał... ale tych listów, choć was zaklinałem, nigdy pokazać niechcieliście... Ojczu, dopowiedz reszty!.. dziecinna pamięci dopomóż mi!.. pan dawny!.. on miał pojedynek, opowiadałeś mi o nim... a cóż to było, gdy raz w nocy spałem snem dziecka, aż raptem zbudzony ujrzałem nad sobą twarz mężczyzny jakiegoś wpatrującego się z uwagą we mnie...

Stary oniemiał, patrzył tylko w oczy mówiącego, a drzał jak liść.

Zasnąłem wkrótce, i zapomniałem te nocne zjawisko.... Wysoki! chudy!... z twarzą bladą i... ha! ha! starcze! on miał bliźnę nad lewem okiem... od pojedynku zapewne... tak! przypominam sobie tę bliźnę nad okiem... Czego on przychodził do mnie w nocy?.. czego?.. ojczu! błagam ciebie... tu klękam przed tobą... powiedz wszystko!.. to może moje szczęście... los mój... cała przyszłość!.. wszak ty mnie kochasz!... odkryj całą tę tajemnicę; wszak ten pan z bliźną nad okiem patrzył na was dziś z rana...

Nie! nie!.. ja nikogo nie widziałem dzisiaj, tylko ciebie.. nie! nie!.. krzyczał stary z ostatniem prawie sił natężeniem.. Ty jesteś moim synem! przysiągłem!.. urzysięgam!..

Przysiągłeś! z uśmiechem szatańskim krzyknął Szumiło... rozumiem... bąc zdrów tatuniu!..

Nie słuchaj słów moich; to więzienie zniszczyło wszystkie moje siły; ja ledwie wiem, co mówię... Karolu! ty jesteś moim synem!..

Dobrze!... dobrze!... do widzenia się!... za dziesięć lat podobno.. i zaśmiał się w głos...

Do widzenia się tam!... Wyrodny synu!.. A gdy Szumiło wybiegł z więzienia pełen krzyżujących się myśli po głowie, długo jeszcze stał więzień ze wzniesionemi do góry oczyma...

W kawiarni tymczasem tak cicho, aż się wierzyć nie chce, że to jest miejsce do wesolej zabawy przeznaczone; już się zmierzchać zaczęło, gdy rządząca trójka znudzona daremnem oczekiwaniem zadrzemała spokojnie na kanapie. I Hanusia zdaje się drzemać, czasem tylko z łona zaciemnionego kąta, w którym siedzi, łyśnie coś, czy to iskra w kominku, czy czarne kawiarki oko.... Cień po cieniu, ledwie już dostrzeżone postacie przechodzących przesuują się koło okna; a przecież raptem podniosła się kawiarka żywszym ruchem, przeczuwszy znać gościa, weselęj spojrzła ku drzwiom i z młodzieńczem zawołała roztrzępaniem. „Idzie już!..“

Jakoż w rzeczy samej otworzyły się drzwi i budzącej się trójce okazał się pan Karol Szumiło w całej okazałości swojej postawy rubasznej i ruchów zawsze zamaszystych, ani dojrzyć śladów rozmowy, jaką przed chwilą prowadził. Kapelusza nie zdjął, nikogo nie przywitał, nawet spojrzeniem nie uczcił, choć przecie u samych drzwi przywitało go żywe i ogniste spojrzenie pięknej kawiarki z całogodzinnego znudzenia

obudzonej do właściwego sobie kawiarniowego życia: bo kawiarka żyje gośmi i dla gości; ona to dobrze rozumie, że to są jej własni goście; kawa jest tylko pozorem, kawiarka celem; nawet starzy goście mniej dla leniwie i bez smaku używanego napoju przychodzą, jak raczej, aby zamaryć o dawno minionych czasach w blasku tych promienistych spojrzeń, które młoda kawiarka, jak królowa drogie klejnoty, rozdaje między ulubieńców swoich. Daremne było tą razą spojrzenie Hanusi, a przecież dobyła go z najtajemniejszego skarbcza swego; pan Szumiło krzyknął głosem potężnym i pełnym przewagi, którą sobie zwykle dawał. »Kawy! dwie śmietanki! i trzy rogaliki!.. tylko prędzej, bom głodny; nic nie jadłem od śniadania, na którym byłem z hrabią Kaziem Lunieckim...

Kawy? kawy? powtórzyła Cykoria, biorąc się pod boki...

Nie zważając na mimikę gospodini przystąpił do kominka i musiał się zapewne odwdziżyć należycie za witające spojrzenie, bo się Hanusia uśmiechnęła do niego z całym urokiem młodości i piękności, która na przekór herbarzom i starym zpodagrzałym moralistom jest młodą i piękną równie w kawiarni, jak i w salonowej damie...

Będzie burza! szepnęła z cicha; i prędko poddała mu tackę z kawą już dawno gotową...

Szumiło rzucił laskę i kapelusz pod sam nos prawie gospodini i zabrał się do posiłku tém potrzebniejszego, że śniadanie z hrabią Kaziem było łaskawym wymysłem jego hojnej wyobraźni.

Nie ma kawy!.. krzyczała pani Leopoldowa chrapliwym głosem, a sapala ze złości, jak sum, a poczerwieniała ni to rak, ni to burak...

I owszem jest, i to nieźła odpowiedział Szumiło z filiżanką przy ustach...

U Brygitek lepsza kawa!..

To sobie tam idź!

Ja nie mam tam ani znajomych, ani rodziców... Nic nie odpowiedział Szumiło, zajęty smacznym zajądaniem...

Mój dom, chwała Bogu, dobrze reputowany nie od dzisiaj; chodzą do mnie sami ludzie uczeni, stateczni, którzy nie chcą żyć z kryminalistami...

Jakimi kryminalistami?... zapytał obojętnie na pozór, a zagryzł usta aż do krwi...

Są ludzie, którzy myślą, że zdurzą kogo miną zuchwałą, czupryną zadartą do góry, a nosem jeszcze wyżej; chcą to niby rolę odegrać pánów, jakichś tam synów obywatelskich z Wołoszczyzny, czy z Węgierszczyzny: a jak co do czego przyjdzie, to się pokaże, że to jakiś syn, jeżeli jeszcze prawdziwy syn jakiegoś tam urwisza, złodzieja na przęgi-rzu wystawionego... a pękając prawie ze złości na widok obojętnie pijącego kawę... palcem go wskazała...

Zaiskrzyły się oczy gęstemi brwiami osłonięte; rzucił filiżankę o ziemię, obtarł wąsy, skoczył i stanął porwawszy za grubą swą laskę przed Cykoria z postawą tak zuchwałą, że mimo całej odwagi dzielna Cykoria usuwała się jak mogła za stół, by nim jak tarczą zdradziecki brzuch zasłonić...

Któż to asani powiedział?..

Asani! asani! temporyzowała Cykoria...

Kto to asani powiedział? powtórzył gróźniej, a laska wzniosła się do góry, sękowała gruba i straszna...

Powiedział mi!.. Na te słowa pan Pilka korzystając z cienkiej swięj figury wysuwał się ku tylnym drzwiom w okolicy kominka położonym. Powiedział mi pan Pilka, dodała z niejakiem wahaniem...

Pilka za kłamkę.

Gdzie pan idziesz? odezwała się kawiarka, porywając za polę surdutowe, a żywy gniewu i radości razem rumieniec wystąpił na jęj twarz; nie tędy droga, kiedyś pan licha narobił, to siedź...

Hanusiu duszko! dam ci nowy fartuszek...

Nic z tego nie będzie!.. i trzyma ciągle za polę, której znajome mu osłabienie wstrzymuje Pilkę, jakby przykutego...

Hanusiu serce! dam ci sukienkę..

Nie! nie! nie! pan zawsze donosisz, szpieguiesz, jak i co ja gadam z panem Szumiło; wiem ja dla czego, ale nic z tego, dla takiej staręj małpy — figa! i w całej rzeczywistości zgrabnym ruchem palców utworzona figa ukazała się oczom bladego, jak ściana, Pilki...

Gdzież ta Pilka? niechno ja zagram w nią tą moją pałeczką, krzyknął Szumiło, i skoczył ku w pół od strachu nieżywemu. Już go miała dosięgnąć, ale miłosierniejsza czynem niż mową dziewczyna puściła polę, i wyskoczył Pilka z duszą na ramieniu. A kawiarka porwała Szumiłę za rękę, ścisnęła ją z przyciskiem, spojrzała tak słodko, uśmiechnęła tak czule i przemówiła z takim umizgiem coś cicho do ucha, że się udobruchał i opamiętał nasz zawedyja...

Leopold, po wartę idź! na odwach Leopold! on bije Pilkę, zabił go!.. Krzyczała Cykoria zamrużywszy ze strachu oczy; lecz darmo krzyczy, bo Leopold w czasie pierwszego już ataku z rejterował przez główne drzwi: poczekaj! zginiesz ty jak twój tatek w kryminale...

Hanusia trzyma wrywającego się, prosi, błaga i przymila jak kotka. Dla mnie, dla mnie, mówi z cicha, gdzież się będziemy widzieć, wszak ja ztąd nie mogę się oddalać; zagódź tę kłótnię, jeżeli kochasz. W tęg chwili poruszenia i przestraszenia piękniejszą była, niż zawsze, ładna kawiarka...

Opuścił laskę, odcisnął dłoń i pomalu zbliżył się do trzepięcej nogami gospodyni. Więc pani wierzy plotkom, jak uważam, niech i tak będzie, ja wychodzę na zawsze, ale za mną wyjdą na zawsze wszyscy gracze dominowi, którym, tu porwał za szkatułkę z dominami, pokażę znaki porobione przez panią, zanego jęj męża i szanowanego Pilkę na kamykach, i skończy się nie zła intratka; dawno już namawiali mnie, by się schadzać u pani Fusowęj, albo u pani Herbaty; a za dominowemi graczami pójdą preferansowi goście, którym odkryję niektóre zgrabne fortele używane. Słyszac spokojniejszą rozmowę przez drzwi jedne i drugie pokazały się podstuchujące głowy pana Cykorii i pana Pilki.

Ale fe panie Szumiło!.. to żarty panie Karolu!..

Ale fe!.. to żarty! powtarzały głosy we dwiach. Do zwykłej wesołości powraca Hanusia, aż się kładła ze śmiechu. Tłusta Cykoria pomalu odmykała oczy, potém coraz szerzej i szerzej wyszczerzała przestraszona groźbami trafiającemi do przekonania...

Ej zgoda!.. Ej przyjaźń, jak dawniej! powtarzały głosy ze drzwi coraz dalej otwierających się...

Ależ za kawę już mi się tyle i tak dawno należy...

Za kawę? krzyknął Szumiło z pogardą, za kawę odemnie! i zgroźném zadziwieniem pojrzał ku kawiarcce; cóż się tam należy?..

Od pana!.. tak! nie się nie należy, odpowiedziała kawiarka, i szybkim ruchem wydobywszy woreczek gdzieś koło serca chowany dodała: zapomniałam oddać pani pieniądze, które dziś z rana zapłacił pan Szumiło... Biedaczka dla świętej zgody oddała ostani długo składany grosz, całe kilkomiesięczne marzenie o nowój sukience, o chusteczce pąsowój, w której byłoby jój tak do twarzy — i mówią, że kawiarki nie mają serca!..

Wiele jeszcze było gadania, wiele przymówek, i wymówek, wiele układów, aż nareszcie nastąpiła zgoda, która nastąpić musiała między tak dobrze rozumiejącemi się i potrzebnemi sobie istotami. Nadeszli goście, jedni i drudzy, znajomsi; było domino, w którym pan Szumiło prym wodził; nadeszli amatorowie śmietanki i otoczyli kawiarkę. Szumiło nie zdawał się uważać, chociaż nieraz kawiarka pomiędzy otaczające ją głowy rzuciła ku niemu spojrzenia niespokojne — czy jego bała się przegranej, czy swojój?.. tego z twarzy kawiarki choć prostěj, nie ukształconěj, nie wyuczonej w szkole świata wielkiego nie poznasz: bo zalotność kawiarki jest jój rzemiosło konieczne, nie odzowne, i broń, i tarcza razem.

Późno już było, wszyscy się rozeszli, nawet młody i majątny praktykant z pięknie utrefionym włosom i modnym tużurkiem wyszedł rozmażony nadzieją i oczekiwaniem, a pan Szumiło zatopiony w myślach siedział na miejscu, wygranę w domino przepił już dawno, a nie odchodził przecie. Kolej czuwania wypadła tój nocy na pana Leopolda; o gdyby był o tém wiedział praktykant, byłby został niezawodnie, ale mu Hanusia zdradliwie podszeptęła, że pani Cykoria w kawiarni zostaje, a wszystkim jój gościom dobrze było wiadomo, że się jój wszystkie holdy należą. Pan Leopold zwyczajem swoim usiadł w kącie kanapy, wziął Rozumaitości w rękę, i jak zawsze zachrapał nad ledwie prześlabizowanym tytułem. Zbliżył się Szumiło do kominka, i zaczęła się pogadanka szczerą i poufną: bo jak nikogo nie ma w kawiarni i nikogo się już spodziewać nie można, kawiarka przestaje być kawiarką, a staje się sama sobą; taka pogadanka w pół szeptana, a w pół mówiona była dla pięknej Hanusi najmiłszą częścią jój życia, jój jedyną nagrodą za cały dzień nudów krzątania się i udawania, bo Hanusia, wiercie mi państwo, jeżeli chcecie, kocha Szumiłę z całą prawdą i szczerością pierwszój miłości; a pierwsza miłość jest zawsze prawdziwa, nawet w kawiarcie, która przymila się do wszystkich z obowiązku, a kocha jednego z serca.

Długo się lasiła słodkiemi słowy, spojrzeniami i trzepiotaniem rozrywała, zanim zdołała zdjąć z twarzy Szumiły ten wyraz zadumania, jaki po raz pierwszy w nim dostrzegła.

Co tobie Karolu, dla czegoś tak smutny, jak nigdy; i łza zabłysła wesołym oku: może już mnie nie kochasz? milczysz! cóż ja nieszczęśliwa zrobię bez twojój miłości; ty wiesz najlepiej, że ja to miejsce przyjąłam dla ciebie tylko, tyś mi doradził; Karolu co tobie?.

Kocham cię, kocham, jak dawniej. Trzeba było być tak niedoświadczoną i zaslepioną, jak ona, by widzieć uczucie w zimnym wyrazie tych słów, by nie zaśmiać się na widok tój twarzy miedzianej wykrzywiałej czułości kochanka...

Czy pamiętasz, kiedyś mnie pierwszy raz zobaczył tam za miastem w ogrodzie najmywanym przez moję matkę...

Pamiętam Hanusiu, pamiętam dobre twoje serce, z jakim przybiegłaś ku mnie, gdy zmęczony prosił cię o szklankę wody.

Mój Boże! i to się zmieniło od tego czasu, moja matka umarła, musiałam porzucić ten ogród, w którym dzieckiem jeszcze skakałam wesoła i swobodna, i z rady twojej przysłałam tu: ja tobie wierzę, jak wierzyłam mojej matce, ale od pewnego czasu ty się zmieniłeś...

Daj temu pokój, ja ciebie kocham, i chciałbym, jak najprędzej przekonać ciebie o prawdzie....

O Karolu! ja nigdy nie wierzyłam temu, co ten fałszywy Pilka rozpowiadał o tobie...

Przekonam cię Hanusiu, już nie długo trwać będzie mój proces, wygram go koniecznie, i ty będziesz żoną moją...

Aż skoczyła z radości, bo mąż, to najwyższy szczebel szczęścia kawiarki. Karolu! ty się ożenisz ze mną, a ja ciebie zawsze kochać będę...

Zawsze?... a ten praktykant?... i z uwagą wpatrywał się w jej oczy szczerze ku niemu zwrócone...

Cóż robić! ja muszę udawać, ja go nie cierpię..

On jest bogaty!.

Ty bogatszy dla mnie, bo kochany...

Ale.. Wymówił i przestał, a oczy spuścił, jakby się głęboko zamyslał...

Co tobie Karolu! zmiłuj się nademną, powiedz!...

Ty mnie pomódz nie możesz! uderzył się w czoło: jutro... i zamilkł...

Co jutro!.. krzyknęła przestraszona, aż się pan Leopold w pół obudzony na drugi bok przewrócił...

Nic! nic!.. i porwał za kapelusze, jakby odejść chciał...

Ja ciebie nie puszczę tak Karolu! i porwała go wpół; powiedz, co jutro? ty wiesz, że ja jestem głupia dziewczyna, ja nic nie rozumiem; ale kocham i życie moje za ciebie chętnie oddam..

Co to pomoże! bądź zdrowa Hanusiu! wyrzekł i westchnął...

Nie, ty nie pójdziesz! i trzymała go z całej siły, ukłękła prawie przed nim, oczy załazy się łzami; powiedz, jeżeli mnie kochasz..

Pieniędzy potrzebuję na jutro, bo inaczej.. źle, bardzo źle będzie...

Nie mam! nie mam! ostatni grajcar oddałam za twój dług, by cię ta baba nie nudziła..

Cóż robić! bądź zdrowa...

Ach Boże, co ja pocznę!..

Porzucić mnie nieszczęśliwego, co ja ci dać mogę, nawet najmniejszego подарunku; nie tak, jak ten praktykant, który, dobrzem to przy grze słyszał, gadał ci o dwustu ryńskich...

Zarumieniła się dziewczyna. Ty wiesz, że ja ciebie kocham tylko...

Może on pożyczyc! te dwieście ryńskich wybawiłyby mnie od nieszczęścia większego, niż myślisz... okropne jest położenie moje..

Od nieszczęścia! rozpacz wystąpiła na jej twarz...

Długo jeszcze szepotali między sobą; były łzy, zaklinania, przysięgi. Dobrze już po północy odprowadzała Hanusia zapłakana aż do sieni Szumiłę znacznie rozweselonego...

Zrobię wszystko dla ciebie, powiedziała mu na pożegnanie; ale pamiętaj Karolu, byś mnie nigdy kochać nie przestał, bo ja umrę...

Nie umrzesz dziecko! tylko miej rozum...

Jeszcze jeden pocałunek i rozeszli się. A gdy wróciła do kawiarni, gorzko zapłakała biedna Hanusia, ciemne jakieś przeczucie mówiło jej, że się przyjdzie na zawsze rozstać z dotychczasowem wesołym uspo-

bieniem swoim.

Zaczynała rozumieć życie kawiarniowe. Biedna kawiarko!.. pierwszy krok tylko kosztuje... za rok... śmiać się będziesz z tego, co ci dziś łzy wyciska... Przez ten czas pan Leopold wyspał się i wychrapał doskonale....



STŁUCZONE OKNO.

CZEŚĆ TRZECIA.

W K O Ś C I E B I E.

Był to wielki piątek: mgła kwietniowa zawisła nad miastem, jak olbrzymia chmura, tylko wiekowej żałoby smutkiem i pobożnością obchodzony; żaden głos dzwonu nie śmiał swym dźwiękiem przerywać ciszy i milczenia, jakie zaległo wszystkie świątynie napelnione ludem: szczerze i pobożnie rozpamiętywanie nad wielką ofiarą Zbawiciela za grzechy człowieka nie potrzebuje głosu, by było zrozumiane. W jednym z kościołów oparty o filar wiekiem zaciemniony stał, kobiercem przykryty, stół, przed nim w pobożnym zrzeczeniu się pychy światowej zasiadła pani w żałobne szaty przebrana i pobożnie zbiera jałmużny na wielką srebrną tacę. Z cienia filarów sukien żałobnych i ciemności kościelnych występuje jej twarz tak blada i nieruchoma, iż wydaje się, jakby zawieszona na ciemnym tle, albo wystająca z jakiej staroświeckiej rzeźby. Czasem tylko, gdy powiewem poruszone światło stojącej na stoliku świecy chwilową łyskawicą przemknie przez twarz, okażą się rysy odznaczone życiem, ale życiem tak dawnym, zamarłym i niemym, iż nie jednemu przychodniowi wydać się musiała, jak twarz grobowego posągu. Czy modli się, czy marzy, czy drzymie, ledwie odgadniesz, bo jej postawa na poły pobożna, na poły zamyślona z oczami nieruchomie w pobożną książkę spuszczonemi, wszystkie te trzy nosi na sobie cechy. Obojętny, pobożny lud, ciekawy nowych widoków, z jakich składają się po większej części przesuwałające się tłumy, nie innego nie dostrzeże w twarzy pani hrabiny; ale kto by ją znał bliżej, widział wczoraj, pozawczoraj w jednym z najświetniejszych stolicy salonów, na którego jest czele, zadziwiłby się, jak się tak prędko zmienić mogła kobieta, która nie mogąc przez wiek straconej odzyskać już twarzy nadgradzała stratę niepowetowną strojem, rozmową, dowcipem i ułożeniem tak wytwornym, iż ją nieraz zdybywały hołdy szczerze może nad dawniejsze, sztambuchowem już tylko życiem żyjące. Nieraz w salonie najprzystojniejsi i najmłodszy mód królowie opuszczali młodsze i ładniejsze kobiety, by ją tylko słuchać i podziwiać; w jej przytomności brzydły wszystkie piękności, jakby zamówione jej czarującą rozmową; zazdrość i opuszczenie dodawały im lat, których zdawało się hrabinie ubywać i w tym świetnym otoczeniu rozpromienionej fajerwerkiem, dowcipnej,

żywej i niewyczerpanej pogadanki. Jakże różna dzisiaj; nie samą tylko pobożności przelotny zwykle odcisk wkopał w jej twarz ten wyraz głębszego zadumania, którego nie może się pozbyć ani pacierzem, ani westchnieniami, ani spojrzeciami łękwymi prawie, jakie rzuca na obraz ukrzyżowanego Zbawiciela. Jeżeli to skrucha! to nie bez wielkiej przyczyny; jeżeli już pokuta! to zasłużona być musi; jeżeli cierpienie! to patrz niewiasto na ten Boski wyraz na twarzy Zbawiciela — cierpienia bez winy!. O inne być musi ziemskim błotem pokalane to cierpienie, które zdarło z jej twarzy wszelki urok udany!. Maski salonowej pozabawiona zbrzydła, zestarzała do niepoznania prawie. Podniosła oczy... Kilka bowiem wytworniejszym strojem odznaczonych przemknęło pastaci; kurz natężenia przebiegł przez twarz, ale nadaremnie; miał to być uśmiech dawny, wesoły, salonowy; był tylko skrzywieniem bólu wewnętrznego. Zabrzmiała muzyka cichemi i żalobnemi tony, jakby łkania przytłumione, i zamilkła w jednym prawie westchnieniu wyrzuceniem z piersi całego ludu. I hrabina westchnęła, rzuciła oczy z całym natężeniem salonowej wiary swojej ku twarzy Zbawiciela — nadaremnie! cały lud widział, w tym boskim wyrazie twarzy politowanie i przebaczenie; ona dostrzegła tylko zimny i niemy marmur. Coraz ciemniej w kościele; już wieczór; coraz mniej pobożnych; rzadko już przedłużony cień jaki przemknął po filarze, kobiercu i bladej twarzy, tak nie wyraźny i fantastyczny, jak jej ciemne myśli, które ciągle bez końca przesuwają się po jej głowie niedopырztem skrzydłem pamiętek. W długich przestankach odzywa się muzyka kościelna, to jak błaganie, to znowu jak nadzieja; szept pacierza cichy, westchnienie czasem urwane; i znowu cicho, jakby cały kościół stał się grobem. Upadła twarz blada na piersi; czy modli się, czy warzy, czy drzymie..

Raptem zadrzała; nowa cień przesunęła się przez jej twarz.. i z czystym dźwiękiem padł dukat na srebrną tace... Spojrzała salonowa dama, na przeciw niej stał hrabia z bliźną nad lewem okiem, bladą i niemą twarzą. Jeszcze mocniej zadrzała. Zdybały się ich spojrzenia i na ich twarze zgniła i chorowita bladeścią spokrewnione wystąpił wyraz podobny wczorajszemu z okien rynkowych. Ze się znali, i dobrze znali, wątpić niepodobna; własne ich spojrzenia zdradzają: ale bez przywitania stali długą chwilę naprzeciw siebie, a patrzyli w swe twarze, jakby z nich dawnej przeszłości chcieli wyczytać dzieje. Długie było milczenie; zwrócili się oboje ku światłu buchającemu z pobocznej kaplicy, jakby się pomodlić chcieli, ale dla czego ich twarze pozostały tak nieme, zimne i nieruchome? dla czego oczy ich tak przeraźliwe, wyszczerzone w jedno miejsce?. Oni zamorzyli zapewne!..

Dawno już temu!.. Był to, jak dziś, dzień kwietniowy, ale pełen woni, światła, ciepła; pierwszym wiosny oddechem obwiane, wśród listków zielonych, pączków w pół rozwitych zjawilo się świetne i strojne grono dam w saskim ogrodzie. Cała Warszawa wybiegła oddychać powietrzem, które wszystkich zdawało się ożywiać nadzieją dni pięknych; cały ogród był żywą wystawą strojów kwiatów i wdzięków, w której natura walczyła ze sztuką o pierwszeństwo, ale najpiękniejsze wdziękiem i świeżością przechadzało się grono pań wielkoświatowych, a z pośród nich najurodziwsza, jak królowa kwiatów, wyglądała sławna pięknoscią, wychowaniem i rodem hrabianka Malwina. Szybkim krokiem zbliżał się do tego grona młodzieniec w świetnym ullańskim stroju, skończony bohater, czy na woskowanej posadzce, czy

na miękkim dywanie buduarowym, czy na chropowatym biwakowem postaniu. Tylko co gońcem przyleciał do wojska; całe miasto witało jego mundur, jego depesze i zgrabne ułożenie. Hrabia Alfred przywitał znajome sobie panie, a zdumioném okiem spoczął na pięknej Malwinie: w nadsekwańskiej stolicy, którą niedawno porzucił, nie zdybał podobnej piękności; i słowa nie mógł znaleźć, by przywitać od lat dziecinnych nie widzianą jeszcze, a bliską krewnę swoją. Znikł w uroczym klombie, który w różnych wdzięcznych przemianach przewijał się w okolo dwojga krewniaków rozmawiających poufale i wesoło o przeskakanęj razem dziecinnęj przeszłości; ona z marzeniem o zabawach stołecznych, on z marzeniem o sławie. Hrabia Alfred zabawił dni kilkanaście pod pozorem udanej słabości; wśród zabaw, muzyki, tańców i przechadzek, czy wśród ludzi, czy w samotności, nieodstępny był towarzyszem pięknej hrabianki. Przemknęły rąco różnobarwne te chwile, jak rój motyli; i pożegnali się ze łzą i westchnieniem — ona za sławą! On za zabawami stołecznymi... Takie było pierwsze ich zdybanie!..

Dawno już temu!.. Był to dzień zimowy, ale świetniejszy jeszcze wonią kwiatami, światłem i strojami nad dzień kwietniowy: słońce zastępowały oświecone pająki, jak olbrzymie brylanty zawieszzone na środku sali balowej. Syt niewygodnej, a niebezpiecznej w owym czasie sławy, przemienił hrabia Alfred kurtkę ulańską, na salonowy frak. I zdybali się z radością w oku, z dreszczem w sercu; w zakrętach mazura, szalonych walca zwrotach, przy oknie, przy fortepianie; i zdybywali się wszędzie oko w oko, myśl w myśl, dłoń w dłoń, aż nareszcie w wonnej cichej i miękkiej ustroini budoarowej przy alabastrowej lampy pół światła, półcieniu, z westchnieniem pół żalu, pół rokoszy zdybali się usta przy ustach... Takie było ich zdybanie drugie!..

Dawno już temu!.. Była noc ciemna: a ciemniejszy jeszcze pokoik lichej chaty przedmiejskiej; skąpy kaganek więcej rzucał cienia, niżeli światła na gołe brudem tylko pomalowane ściany. Zawyla burza, głośno uderzając o źle przymknięte okienice; głośniejsze jeszcze dały się słyszeć jęki ze środka chaty, to donośniejsze, to więcej przytłumiane...

Tak ciemno było w brudnej izdebce, iż jak cienie tylko przesuwały się kilka ludzkich postaci... Raptem głośniejszy ozwał się krzyk przeraźliwy, silny wichur zaświstał w szczeliny drzwi strupieszających: kaganek gwałtownie podmuchnięty jaśniejsze rzucił pasmo światła na twarze zawsze piękne i młode hrabianki i hrabiego... ale zamiast dawnych tak czułych wyrazów, tam widać tylko cierpienie ciała, a tu cierpienie znużenia, na obudwóch zaś twarzach wyraz przesyconej obojętności, trącając prawie o nienawiść, która zastępowała miejsce dawnych uczuć czułych. Kilka słów ozwało się urwanym, przyrzeczeniem wiecznej tajemnicy, jaka miała pokryć na zawsze te ich zejście się. I zgasło światło, ciemno w chałupie, wiatr swiszcząc, huczy i wyje, leci parę powozów ku miastu, i cicho i ciemno!.. Takie było ich zdybanie trzecie.

A teraz ze zmarszczkami na twarzy i wygasłym do reszty uczuciem w sercu zdybali się po raz czwarty; i bodaj czy nie ostatni, jeżeli wierzyć ukradkowym wzrokiem, jakie rzucają na siebie, pełnym pogardy nienawiści i odrazy. Miłość dawna i wzbudzone przez nią uczucia szlachetniejsze wionęły na zawsze. Rozłączeni przez przysycenie i potrzeby małżeństw dla pieniędzy zawartych używali oboje świata, przyssawszy się jak pijawki, do wszystkich życia światowego rozkoszy, a gdy wyszali wszystko, zbrzydła im wyciśnięta skórka cytrynowa. W takim ży-

ciu rozdzieleni przestrzenią różnych świata stolic zapomnieli o sobie, zapomnieli o dawno przebrzmiałych chwilach, a nawet radziby zapewne byli nigdy pamięcią nawet przypadkową nie powracać do tej przeszłości, która swoim wdziękiem, świeżością i urokiem wydrżylnia się im okropnie, jak złote użycia grono ustom Tantalą. Chcieliby zapomnieć, a przecież nie mogą zupełnie, bo jest w tej przeszłości w pośród jej barw zartanych już prawie, jeden smug ciemny, jedna plama niezmazana; jak ta plama na bladém czole hrabiego pochodząca z rany odebranej w pojedynku za nadwerżoną przez złośliwą obmowę kuzynki sławę odbytych. I nic tej plamy zetrzeć nie może, bo gdy ją śmiechem, żartem, pogardą z myśli i serca nawet wypędzili, padła ona na ich sumienie, i ztamtąd przez ten ich wzrok niepewnie błędzący w około wyszczerza się widomie, i w tym to wzroku jest prawdziwie podobieństwo ich rodzinne. Zwrócili się znowu ku sobie; pobożność czy marzenie ustąpić musiało zapewne, bo na obie twarze wybiegł uśmiech przymuszony, którym chcieli samym w sobie i przed sobą ukryć i pogardę i nienawiść i plamę przeszłości i wewnętrzne cierpienia; uśmiechnęli się, by się oszukać, bo przemówić chcieli do siebie: uśmiechem zimnym i fałszywym razem chcieli zgrabnie przeskoczyć z wczoraj do dzisiaj. A wokoło nich coraz ciszej i ciemniej, coraz mniej modlących się, coraz olbrzymiejsze rozchodzą się cienie; od czasu tylko do czasu głos muzyki zabrzmiał uroczysty i żałobny, jakby się do grobu dobijał głos dalekiej, załosnej tęsknoty jakiej.

Pierwszy zagadł hrabia Alfred głosem suchym i chorowitym, a choć pusto w kościele, zaczął rozmowę po francuzku; bez przywitania poprzedniego, bo i na cóż mają się witać tak dobrze znajomi, i jakież mogłoby być to ich przywitanie: w salonie to co innego, ale w kościele po godzinie rozpamiętywania nad sobą i przeszłością, w obec wizerunku odwiecznej prawdy, to nie podobna. Poznałaś mnie pani od razu!..

Hrabina milczała, ręką tylko przyciskała mocniej nabożną książkę.

Bo i ja poznałem od razu, poznani podobno oboje..

Popatrzyła hrabina na hrabiego z uwagą podwojoną, a zaostrzoną przez mimowolne zalęknienie; to miejsce, ta samotność, ta twarz śmiertelnie prawie blada zrobiły na niej mocne wrażenie.

Byłato chwila wzajemnego poznania; poznani poznaliśmy hrabino...

Po tak dawném nie widzeniu się robi to zaszczyt pana hrabiego pamięci, odrzekła hrabina z szyderyczym przyciskiem.

Są rzeczy, o których mimo najszerszych chęci zapomnieć niepodobna.

Mnie się zdaje, że nie łatwiejszego, jak dawne zapomnieć uczucia.

Pani hrabina żartuje łaskawie; ja mówię tu o osobach, o twarzach, które mimo wieku i zmienionych usposobień tak się wciskają w pamięć... wciskają w sumienie! ciszej dodał.

W sumienie? mnie się zdaje panie hrabio, że pozawczoraj źle spaliśmy oboje; to być musiało przyczyną wrażenia dosyć śmiesznego, za które okno tylko odpowiedziało... i przymuszając się do uśmiechu chciała rozmowę na weselsze sprowadzić pole.

Ale on żyje!..

Żyje?. Krzyknęła hrabina, i zadrzała, aż książka padła na ziemię z łoskotem, który długim i posępnym echem wozchodził się po pustych kościoła sklepieniach... Żyje! dodała, jakby przychodząc do siebie: ale w więzieniu...

A jeżeli więzienie przemówi!..

Głos więzienia, mój panie hrabio, na ulicach niknie, salonów naszych niedosięgnie, ani pokojów sypialnych; możesz więc panie hrabio spać spokojnie i złowrogimi słowy nie przestraszać kobiety w pośród tylu przedmiotów działających na wyobraźnię. Więzienie, panie hrabio, to grób prawie!.. a grób pokrywa wszystko.. nie prawdaż?: a gdy to wymówiła, było coś więcej w oczach hrabiny, jak proste przelotne zapytanie.

Grób! zapewne!.. po chwili dodał. Żal mi tego starca, może został dziecko, któremu był potrzebny.. cóż w takim razie pani hrabino?..

Co! co! ozwała się hrabina, a jej poruszenie wzrastało wmiarę, jak się wpatrywała w oczy hrabiego: co rozumiesz hrabio pod tém, wszak mi mówiłeś podobno, to tak dawno, iż nie pamiętam dobrze.. że.. że zginął... ślad..

Co mówiłem, to ja nie pamiętam; to tylko pamiętam dobrze, że przyrzekłem się zastósować do woli pani, ale nie mogłem przenieść na siebie, abym sam..

Nie sam! przerwała hrabina w zupełnym zapomnieniu przybranęj roli: ale ten wierny sługa..

Mieliśmy, pani hrabino obydwa resztki sumienia.

Nie żartuj hrabio!.. dokończ! więc... Pojrze! po sobie wzrokiem wymowniejszym nad słowa, to też zrozumieli się doskonale.

Powiedzieć to pani, przyszedłem tutaj, bo tutaj zlituje się może nad nami miłosierniejszy od nas Bóg. Zakrył hrabia oczy ręką; hrabina drżała, a jej bladość była coraz okropniejsza: po chwili milczenia ciągnął hrabia dalej. Przygotować panią na każdy przypadek chciałem, przysiągł mi wprawdzie, ale człowiek który zbrodnią popelnić mógł, czyż dotrzyma przysięgi; może już tajemnica nasza oddana w ręce drugie... wzrok, jaki rzucił na nas, nie wiele mi obiecuje... Czy uważałaś pani ten wzrok. Zamilkli oboje i zamyślane w dół spuścili oczy.

Lekki szmer dał się słyszeć koło nich; z ciężkim dźwiękiem padł prosty grajcar na srebrną tacę, aż się zadziwione rozskoczyły dukaty. Za duszę więźnia, który pozawczoraj stał pod pręgierzem! ozwał się głos ostry, gruby i szyderycy; i przestraszonym skamieniałym prawie salonowcom okazała się postać nieznaną im zupełnie naszego Szumiły, który raptem z po za ukrywającego go filaru przystąpił ku nim. Trzy wzroki okropne prawdą i przerażeniem spotkały się przez krótką chwilę; spojrzenia hrabiego i hrabiny wnet uciekły przed wzrokiem Szumiły, który z wyszczerzonymi oczyma, wyrazem bezwstydnęj zawziętej i chciwej ciekawości spoglądał na nich. Ciężka była to chwila, w czasie której Szumiło oblewał ich strumieniem najziadliwszych spojrzeń, wciskał się niemi aż w głąb myśli, wymawiał, przeklinał i szydził; jak ogniem palącym rzucał w złe zagojoną ranę ich sumienia: salonowe udawanie uległo przed wzrokiem grubiańsko ulicznym, jak sztuka szermiercza fechtmistrza, przed krzyżową sztuką nieuka.

A w kościele cicho i ciemno długie cienie kirowych pokryć kościoła przesuwały się, jak duchów cienie; głosy muzyczne, jakby głosy życia, dochodzą z dala niewyraźne, uroczyste i żalobne: i ozwał się głos smutnych śpiewających kapłanów, jakby głos, którym grób odpowiada życiu.

Szumiło trzyma się ciągle pod przemocą spojrzeń zaślepiających natarczywem i upartem wpatrywaniem się; drzą jak dzieci, czyli raczej



jak winowajcy przed sądem, bo ta plama ich sumienia stanęła przed niemi widomie — i jaka plama! : wszystkie siły umysłowe, któremi oboje tak dzielnie umieli władać, odstąpiły ich raptem; mąci się im w głowie. W tej dopiero chwili stali się pobożni prawdziwie, bo uwierzyli w Boską karę.

Szumiło nie ruszał ani kroku; dzięki wychowaniu wyśmianemu przez niego pozawczoraj, połapał tyle francuzczyzny, że zrozumiał całą ich rozmowę, a słuchał jej od początku ukryty za filarem, bo od pozawczoraj śledzi on wszystkie ich kroki, skrada się za niemi, jak tygrys wietrzący żer dla siebie. Widzi przed sobą tajemnicę, odgaduje ją, wie, trzy korzyść, drzy z niecierpliwości, by ją schwytać, ale sam nie wie, jak się wziąć do tego; milczy więc także i w głowie swej przewraca za sposobem, jakimby zdołał jak najwięcej wyciągnąć z tej tak szczęśliwej dla niego okoliczności. Gdyby obojętny patrzył z boku na te trzy postacie, mimo całego widocznego rozlanego na ich piętna niezwyčajności, niemógłby się zarazem wstrzymać od śmiechu, na widok naszego Szumiły, który w stroju dziwnym ze świeżo na tandencie kupionych różnorodnych ubiorów, z całym swoim ułożeniem prostackim i niezgrabnym tak silną wywiera przewagę nad temi dwoma wyższościami towarzyskimi, prawdziwą przewagę ulicy nad salonem!.

Kto pan jesteś; przemówił nareszcie hrabia, widząc nieruchomość Szumiły.

Kto?.. jak echo powtórzyła ciszej hrabina.

Syn więźnia, który stał na pręgierzu.

Syn! krzyknęli oboje.

Syn! zaśmiał się do nich Szumiło szydlerczo. Jeszcze jeden wzrok rzucili na niego oboje, w którym ciekawość, przestach i obrzydzenie następowały kolejno; i hrabia uspokojonym nieco głosem dodał. Masz pan mój adres, proszę jutro do siebie.

Nazajutrz wieczorem była taka hulanka w małej kawiarni, jakiej nie pamiętają ani gospodarstwo, ani pan Piłka: krzyki i śpiewy szalone, jakby w domie wariatów: pan Szumiło traktuje znajomych i nieznanomych, przyjaciół, i nieprzyjaciół. Póncz, wino, rum leją się potokiem. Zjajany, spocony i spity, jak suseł, Szumiło siedzi po środku, a krzyczy bez ustanku. »Pić! dawajcie pić!..« Pić, powtarzają wszyscy krzykliwem echem ..

Więcej szklanek! woła; i coraz nowe szklanki to pełne, to próżne; bo pragnienia pijaków nienasycone.

Więcej gości!.. niech znają, że ich hrabia traktuje! wrzeszczy Szumiło, a dzwoni złotem, którego pełno w kieszeni.

Nie pij tyle Karolu! szepce kawiarka; będzie ci szkodzić! szkoda pieniędzy.

Nie potrzebuję rad! idź głupia z radami!.. Więcej ponczu! więcej gości!.. Już ich kawiarnia więcej pomieścić nie może; z ulicy przechodniów zapraszają pijani, to też dobrało się towarzysztwo i liczne i dobrane zaprawdę. Wszystkie fusy i brudy towarzyskie razem; z twarzami, na których malują się najobrzydliwsze namiętności; wyszczerza się fałsz z ust pijanych, bo fałsz ich prawdą; wykrzywia bezwstyd i zepsucie z oczu rozognionych trunkiem, a z postaci niezgrabnych, krzyków niesfornych, słów zuchwałych objawia się gotowość do wszystkiego złego.

Pijcie! hrabia was traktuje!, bo ja jestem hrabia.

Ależ Szumiłku drogi! zagadł niski, garbaty i zyzooki arfiarz uliczny; powiedz, jakim sposobem zostałeś hrabią.

Co tobie do tego rzempicielu nieznośny.

Wczoraj Szumiło! dziś hrabia! przerwał suchy i wysoki, jak cybuch, kelner z pod sroczi w zielonym brudnym i łatanym kaftanie.

Szumiłeczku serdeczny! krzyczy mu w ucho pękaty z małą główką, do mózdzierza z tłuczkiem podobny, laborant z apteki, z szarawym fartuszkiem w rękę.. napijmy się naprzód.. a potem odkryj nam gdzieś pozyskał to hrabstwo..

I jakież to hrabia dopytał się do ciebie, dodał kulawy i połamany, jak znak zapytania, stary wysłużony nauczyciel tańców w długim ogoniastym fraku, który dziwnie przypominał maniaki na postrach wroblów stawiane.

Ojciec! co tam ojciec! mniejsza o niego, ojcostwa nie chciał mi dać, i nie wiele tam o tym gadajcie wy pijanice, bo gotów się rozgniewać, i nie dać mi nic więcej.. ale dał mi hrabstwo.. ot jest moje hrabstwo!: i rzucił pełną garść dukatów na stół.

Żółtą zazdrością odbiło się złoto w roziskrzonych oczach przytomnych, mimowolnie wszystkie ręce wyteżyły się ku stolikowi, lecz szybkim ruchem Szumiły porwane złoto znikło nazad w jego kieszeni z czystym dźwiękiem, który wszystkich gości połaskotał nielitościwie.

Wara od mojego hrabstwa! macie pónecz! pijcie i wiercie, żem hrabia.

Niech żyje hrabia! wiwat hrabia Szumiło! wrzasło całe towarzystwo dobranym chorem z samych fałszywych tonów.

Karolu! szepee dziewczyna na poły uradowana na poły przestraszona: i śmiać i płakać mi się chce.

Tak! tak! moja kawiareczko, jestem hrabia i basta... Chodź tłusta Cykorio! potańcuj z hrabią.

Hejże! hola! muzyki! chór zawołał. Uliczna banda zagrała; tylko tego jeszcze brakowało, aby towarzystwo nabrało więcej jeszcze podobieństwa do potępieńców wyjących w szaleństwie.

Walca! mazura! poloneza! krzyczą razem. Pijana muzyka zagrała wszystko razem; i nuż tańcować: Szumiło z Cykorią, cybuch z mózdzierzem, znak zapytania z zyzem; a wszyscy tańczą za taktem nóg pijanych raczej, niżeli za taktem muzyki; skaczą, wiążą się, kręcą jak Derwisze w szale zapału.

Karolu zlituj się. nie pij tak, jak mnie kochasz!

Ha! ha! zaśmiał się... jak gdyby hrabia mógł kochać; mój ojciec nie kochał mojej matki, a jest przecie hrabią.. pijcie! pijcie!..

Wiwat hrabia Szumiło!

Mój Karolu! czyż ty już mnie nie kochasz?.

Tfu! splunął: hrabia kawiarkę!..

Więc te twoje przysięgi!

Hrabia nie dotrzymuje przysięg! Wecie odemnie tę głupią dziewczynę!..

Nie nudź hrabiego! krzyczą przyjaciele; wolisz pić z nami!. Kto nie pije, ten nie żyje!. Brawo! Brawo! Stańmy tu w koło!.. Śmieją się, skaczą, śpiewają, a piją przedwzyskiem nienasyceci jak beczka Danaidów...

Czy już nic nie pamiętasz? ani wiernój i szczerój miłości mojej!.

Ja kocham moje hrabstwo! tu w kieszeni! moje hrabstwo tu w szklancel.. moje hrabstwo wszędzie tam, gdzie dukata dostanę. Wiwat moje hrabstwo!

Wiwat hrabstwo Szumiły!. Ponczu! ponczu więcéj!.

Karolu, tyś bogaty teraz! ale ja biedna, bardzo biedna, bo moje serce dla ciebie..

Precz z sercem! dawaj rum! to mi serce prawdziwe, bo serca do daje. Nie piszcz mi nad głową; idź do swojego praktykanta, który ci daje po dwieście ryskich!.

Karolu! ciszej!.. tyś pijany!..

Ja trzeźwy! nie chcę ciebie i basta! idź do tego, który pieniądze daje..

Ależ ja tobie oddałam je wczoraj.

Chcesz może, bym ci je oddał.

Nie chcę Karolu tych przeklętych pieniędzy..

I ja też nie głupi oddawać!. Ja cię drożej kupilem, niż ten twój praktykant; ja ci dałem miejsce, dobre miejsce; ty nie wiesz, co może kawiarka; spytaj naszej Cykorii, i ona była kawiarką, nim wyszła na panią; i ona miała praktykantów, nim zeszła na Piłkę, któremu coś się jeszcze należy odemnie... byleś umiała korzystać! jesteś młoda, piękna dosyć!. Otóż takie miejsce, to więcéj, jak te lichych dwieście ryskich, za które ledwie kapotę sprawilem sobie, aby się przecie zaprezentować hrabiemu ojcu, i hrabinie matce... czuła to była scena; w kościele! bardzo uroczyście! ale motus!.. bo mi gotowi nie dać więcéj pieniędzy, któremi gębę mi zapchali.. a więc z tego wszystkiego uważasz dziewczyno, że cię po hrabsku zapłaciłem... prawda panowie koledzy!..

Prawdę mówi, jak prawdziwy hrabia, czuje jak prawdziwy hrabia! Wiwat hrabia Szumiło!. Pijmy! krzyczą, aż pochrypli; hulajmy bracia, to nasz dzień! precz z jutrem!.. Wiwat hrabia dzisiaj!. I śmiech powstał szalony.

Hanusia półka gwałtem lzy, które jej padają aż na serce. Karolu ty jesteś okropny!.

Ja hrabia! Ha! ha! ha! ha!.

Ty jesteś niegodziwy!.

Ja hrabia! ha! ha! ha! ha!.

Ty zdrajca!.

Ja hrabia ha! ha! ha!. I krzyczą dalej, śmieją się i piją. Szumiło płaci gotówką, sypie złotem, hałasuje, skacze, jakby od tarantuli ukąszony, a pije bez końca, i drugim pić każe, grozi i przymusza.

W tém przez tłum przesuwa się jakiś posługacz więzień i donosi mu, że jego ojciec na śmiertelnej leży pościeli. Machnął się Szumiło, a kilku pijanych przewrócił.

Jaki ojciec! ja hrabia! jaki, to mniejsza o to; nie macie się czego śmiać urwisze, kiedy wam leje w gardło, i to gratis; powiedz temu drambowi, niech sobie umiera, to mi wszystko jedno, na co fałszował testamenta... posłańcowi dajcie pić, niech wie, że hrabia traktuje.

Pić nie chcę.. ale, panie, on kona, i zaklina was, byście przyszli po błogosławieństwo.

Błogosławieństwa nie potrzebuję, mam dukaty, jutro jadę na wojaz a kiedy pić nie chcesz, idźże do diabła razem ze swoim kryminalistą.

Wiwat hrabia Szumiło! dzikim chorem zagrzmieli pijani, i dalej nowe szklanki piją i tłuką, a Szumiło płaci. Wśród tej piekielnej

wrzawy słyhać od czasu do czasu załośne wzdychania biednej Hanusi, której po raz pierwszy pojawiła się straszna rzeczywistość z całém najokropniejszym odczarowaniem; a to lodem mrozącym na zawsze wszystkie szlachetniejsze uczucia pada za równo na serce kawiarki, jak i na serce salonowej pani.

Pijana wrzawa trwała aż do rana. Państwo Cykoria i pan Piłka nasięli się do woli z hrabiego Szumiły, który na drugi dzień znikł z miasta, jak kanfora.

Hrabia Alfred odjechał do Paryża, zkąd nie dawno był wrócił, bo mu w ojczyźnie nudno. Hrabina Malwina wyruszyła do Florencji, bo jej w ojczyźnie zimno. I więzien przemienił pomieszkanie swoje na lepsze i spokojniejsze, w czasie hulanki pana Szumiły skołał.



Bale na wsi.

Powieść z życia dzisiejszego

Walt Whitman

Leaves of Grass

si
d
d
k
te
n
a
z
P
z
v
o
u
z
n
c
t
P
P
L
r
z
n
l
P
l

BALE NA WSI.

Obraz z życia dzisiejszego.

Śniegi pokryły ziemię; szerokie i rozległe podolskie błonia bieleją się, póki okiem zajrzyć; ciemniejszym nieco smugiem ciągnie się wąska droga; stercząca tu i owdzie wałami śniegu: wiatr styczniowy, samowładny pan tej rozległej, męczącej oko przestrzeni, coraz nowsze, coraz większe tworzy zasypy. Taką drogą na okiem nie przejrzanąj równinie tęga czwórka koni ciężkim pługą ruchem ciągnie za sobą nie kryte sanie; szerokie ich skrzydła sypią w koło siebie śnieżnym piaskiem, a kute sanice nieprzyjemnym skrzypieniem przerywają powszechną ciszę zimową wzdłuż drogi i wzdłuż błonia rozciągniętą. Czasem koń który parsknie, z pod zmrożonych furmana wąsów wpółgłośne, zdrów, się odezwie, a w saniach siedzi trzech mężczyznu okutanych w futra i różnobarwne chustki; pogrążeni w milczeniu znużenia, czy zadumania, trudno odgadnąć z ich twarzy osłoniętych i osypanych śniegiem: dwie już mile ujechali; rozmowne przy śniadaniu nabyte usposobienie dawno już wraz z fajkami wypalonymi zagasło; byłoto samo południe, ale słońce zimowe nie przyswieca, bo śnieżnemi chmurami zasunięte. Jadą dalej; posępna cisza całego przyrodzenia wzmaga się, częściej ją tylko przerywa smutne zawycie wiatru; śnieg z rana rzadki coraz grubszy padać zaczyna płatkami, i droga coraz cięższa, bo z głównej drogi zjechali na dróżynę poboczną, której skąpe ślady chłopskimi sankami wyciśnięte wiatr zawiewa, a wzmagająca się zawierucha olbrzymiami przerywa zasypami. Przenikliwie wiatru i mrozu zimno znać dopiekle furmanowi, bo po kilku mruknieniach nie wyraźnych zaczął silnie uderzać pięścią o pięść.

Nie lepiej to w domu siedzieć, niżeli puszczać się w drogę w taką zamieć, zaczął nareszcie furman siedzących panów. Milczenie, jakie mu odpowiedziało, zwiększyło jeszcze niesłodkie jego usposobienie. Mamy jeszcze cztery mile tym przeklętym manowcem... djabek trafi, kiedy wiatr ślady zasypuje; i gniewną ręką trzasnął z bicia... kasztanek licowy nie parsknął ani razu.

Przestałbyś mruczyć, ozwał się głos z sani.

Kathy nie mruczał, kiedy na dobre rady nie słuchają... sanie zaczęły przy wyjeździe o bramę, mówiłem, że to zły znak... na wierzbie za groblą wrona zakrakala, mówiłem, że to będzie zwiastuje... tfu!.. ale to dzisiaj filozofia głowy przewróciła... Śmiech w saniach przerwał dalszą mowę.

Dobrze Franek mówi, nie do drogi to dzień dzisiejszy.

A osobliwie panu w tym płaszczyku bez futra...

Już cię nie raz prosiłem Gustawie, byś się odcucił tego śmiesznego potakiwania moim ludziom. Lekkim płaszczem owinięty nic nie odpowiadział; lekkie tylko ledwie dosłyszane wymknęło się westchnienie; a głos pierwszy groźniej dodał. Milczałbyś stary głupcze!..

Tak, co stary, to głupi.. a młodszy?.. kroćstotysięcy!.. wio hot ma-leńki!. Ni przedmowa, ni batog nie pomogły, bo konie przechodząc pomału z wyciągniętego kłusa w lekkiego truchcika, już teraz ledwie ciężkim stępem iść mogą, tak droga ocieżyła; ledwie już tylko po wypukłości nawianego śniegu poznać drogę, a choć środek dnia nic nie widać przez śnieżną firankę.

Byleśmy nie zbłądzili, odezwał się głos trzeci; czy twój furman dobrze zna drogę?.. — Zje diabła, kto pozna teraz drogę...

Trudno zbłądzić, już nie daleko być musi Zielonój karczmy, zaraz będzie krzyż przy drodze rozstajnej.

Nie daleko! zapewne nie daleko! mrucał Franek.

Jadą i jadą, cicho i cicho, ale ani karczmy Zielonój, ni krzyża przy drodze; głucho, smutno i zimno!

Trzeba prawdę wyznać, mój Sewerynie, ozwał się po jakimś czasie głos trzeci, że przekłete jest nasze klima polskie; pół roku zimy!. Mogli byli nasi przodkowie w swoich wędrówkach posunąć się dalej ku południowi, ku ciepłu!..

Zimno u nas, mój Eugeniuszu, odrzekł Gustaw, to prawda, ale wolę przecie nasze zimno zdrowe, niżeli południowe skwary... bo to nasze, bośmy się wychowali w tém zimnie, które nas hartuje do tak potrzebnej dla nas wytrwałości.

Na to zagadniony Eugeniusz spróbował świsnąć nutę z jakiejś bar-karoli dziwnie brzmiącej wśród mroźnego północy powietrza, a pan Se-weryn mocnem ziewnięciem wypuścił całą mgłę z szerokich piersi...

Jadą i jadą, cicho i cicho; nic nie widać, tylko śnieg za niemi i przed niemi; nic nie słycać, tylko ponure i przeraźliwe wiatru głosy.

Zjechaliśmy z naszej drogi! krzyknął Franek.

To lubię!.. Otóż macie!.. Nie mówiłem? ozwały się głosy panów.

Oto jolop! nam pilno, a on błdzi; cóż teraz będzie?.. Za wiatrem jedź!..

Te i tym podobne słowa odzywały się i coraz więcej gniewały Franka, który na pomęczonych mścił się koniach. Po długich przekleństwach, kręceniach się po śniegu, zaczęły się konie drapać nareszcie na ogromną zaspę; Franek trzasnął potężnie z batoga, wypuścił groźne przekleństwo, zwrócił konie w bok, i jakkolwiek sanie rossyjskie niewywrotne, całe towarzystwo runęło w śnieg, a konie zapadły po uszy: wylażą z śniegu panowie, jak moga; Franek dobywa coraz nowe wyrazy z bogatego dykcjonarza przekleństw furmańskich, w tém z poza zasłony śnieżnej zaczęła coś, idą do tego, to płot! pokazuje się, że to wielki kołowrot; kołowroty bowiem w polskich wioskach gościnnie roz-twarte przez całą zimę sławne są ze śnieżnych zaspów.

Cóż to za wieś?.. To musi być Zielona!.. Zamiast drogą do karczmy, pojechaliśmy drogą do wsi. Chwała Bogu ztąd już tylko dwie mile. — Dwie mile zapewne, ale noc za pasem. Wydobyli się jak mogli i pojechali. Ale gdzie pojechali? — na bal!.. Na bal!.. a przecież! wykrzyknie nie jeden z czytelników łaskawych, przyrzekł pisać o balu,

a każe nam tarzać się po śniegu. Tylko cierpliwości nie co, bo to bale wszystkie, a osobliwie wiejskie dzielą się na trzy części; czas przed balen, bal sam i czas po balu.

Nie chcę ja tu rozprawy pisać o balach, bo do tego trzebaby szperać po starych szpargałach, choć przeszedłszy wszystkie festyny od greckich sympozjów, od rycerskich tańców i maskarad aż do naszych balów, o których powiedzieć można z jakimś przysłowiem, baliczek na mały stoliczek, mógłbym wprowadzić państwu nie mało czasu zabrać: powiem tylko, żeby bal na wsi opisać, trzeba zacząć od początku, a zatem od czasu przedbalowego. W mieście, w tém życiu kolejów żelaznych, mniej są odznaczone te trzy epoki; w mieście każdy prędko ubrany przeleciał po bruku, i już jest na balu; bal się skończył, goście i gospodarstwo usnęli; nazajutrz drugi bal lub pogrzeb, opera lub szubienica; na wsi nie państwu nie pomoże, musimy jechać naprzód na bal, tak, jak tylko co wyjechali pan Seweryn, bogaty obywatel z okolicy, z ubogim domowym gościem i dalekim krewnym panem Gustawem, któremu daje u siebie pomieszkanie i protekcyę, i jaśnie wielmożnym hrabią Eugeniuszem, gościem z miasta przybyłym. Wyruszyli więc dalej po krótkiej naradzie przy karczmie z wielkiem Franka zadowoleniem odbytej, czyliby nie wstąpić do znajomej sobie pani Marszałkowej, lecz Eugeniusz nie był za tém; jadą więc i milczą, rzecz dziwna, że jadąc przez wieś, pan Eugeniusz czkawki nie dostał, bo tam na pagórku w półpałacyku marszałkowej jest pokój wielki oświecony, a w tym pokoju przygotowanie najważniejsze do balu, a w tym pokoju cztery pań po części ubranych, po części ubierających się, rozmawiają między sobą o panu Eugeniuszu. Marszałkowa ma dobra, ma dom drewniany przyczepiony do kolumn pałacowych, ma długi i dwie córki, które już dawno dościgły nie poszły dotąd za mąż, bo zrobiły, jak twierdzą same, wotum nie wchodzenia w niebezpieczny stan małżeński — oczywiście, dopóki się kto nie trafi. Pan Eugeniusz jest bogaty młodzieniec ze stolicy, a chociaż przybył z gotowym już projektem żenienia się, jak powiadają, trzeba zaś wiedzieć, że na wsi, to powiadają, jest zupełnie inne, jak w mieście: w mieście powierzchownie tylko rozpowiadają o rzeczy, na wsi do dna zgłębiają każdą wiadomość, niezatrudnionemi językami dokopują się aż do calcu do prawdy, która na końcu jak bajka wygląda przecie.

Ja wątpię, żeby ten światowy pan Eugeniusz, rzekła starsza córka Elżbieta po chrzcie, Iza w świecie dla tego, że w okolicy sławną pięknoscią księżniczka Izą się zwała; mógł zrobić tak zły wybór, jak mu przypisują...

Panna Aniela jestto ładne zapewne stworzenie, ale szlachcianeczka straszna.

I owszem, ojciec jój był podsędkiem latyczewskim, przerwała mowę czwarta w towarzystwie niewiasta, która nie zdawała się być do balu przeznaczona, ani twarzą, ani ubiorem.

Fi! jakież ciocia bredzi, to aż brzydko słuchać; podsędek jakiś! hrabia z podsędkową; nie powiem, dodała, i urwała, a oczy w dół spuszczone przebiegły fałdy białej sukni, z której twarz więcej jak śniada panny Izy wyglądała, jak mucha z mleka.

Zapewne ma fille! i projekta równie są daremne jenerałowej, której bal dzisiejszy nie bez politycznej tendencyi. Marszałkowa, trzeba wiedzieć, namiętnie lubiła czytać gazety, a w nich najwięcej przypadały jój do smaku parlamentowe dyskusye...

Co! długa jenerałowna dla pana Eugeniusza, wrzasnęła piskliwym dyszkantem druga córka marszałkowej szeroka, niska i rumiana panna Olga wpatrując się z upodobaniem w zwierciadło.

To bardzo do rzeczy osoba i doskonale ułożona, podobnusiaienka do babki swojej wojewodzianki bełzkiej, przy której miałam zaszczyt być przez lat cztery, jako panna respektowa.

Niech też siostra przestanie raz gadać takie niedorzeczności, i te swoje dawne czasy zostawi w spokoju; my w dzisiejszym żyjemy.

Lepiej przecie było dawniej za świętej pamięci wojewody ruskiego.

O! widać to, krzyknęła panna Olga; widać to po ciooci; i śmiejąc się naciągała z ciężką biedą rękawiczki na tłuste i czerwone ręce, które dziwnie wdzięcznie zpod krótkich dobywały się rękawów.

Ani podsędkówna, ani jenerałówna! zadumana wyrzekła marszałkowa; jedźmy na bal mes fillés, ja w tém! zostawcie to mojemu doświadczeniu et à mon savoir faire: czyliż nie będzie miał do wyboru, dodała z dowcipnym uśmiechem, wdzięki brunetki czy blondynki. Panna Olga była rada, ale rudziuteńka. Uśmiechnęły się córki; allons! I włożyły w powóz na saniach do arki Noego podobny, i powlekły się trzęsąc się od dwudziesto stopniowego zimna o dwie mile na bal. A ciotunia kiwnęła głową za nimi, oj ta francuzczyzna! i majątek Polski poszedł, i męzów nie ma, a ja głupia u nich!.. Ciotka siedziała tak u nich na łasce, jak Gustaw u pana Seweryna; gorzka łaska i gorzki chleb; ta stara, a tamten młody, oboje bez majątku znosić muszą cudze widzimi się; tu pamiętki stare, tam marzenia młodzieńcze w poniewierce u płaskiej głupoty: bo świat terazniejszością stoi; na co mu pamiętek, te do kronik należą; na co mu marzeń poetycznych w przyszłość wskakujących, te do kalendarza dobre: dzisiaj potrzeba złota i kwita!..

Jadą sanie kryte i nie kryte, karyty, budy i koczce na bal do jenerałostwa; a na przodzie dobijają się, jak mogą sanie, któremi kieruje mądry Franek; ciemno już choć oko wykol, zawierucha miecie śniegiem w same oczy; nie znać drogi, konie już, ustają, a mróz się wyiskrzył, a wiatr ziębi aż do kości; jadą z niebezpieczeństwem nosów, uszu, bród i nóg obojój płci goście na bal do jenerałostwa. Błądzą po wertepach, przeklinają, wrzeszczą, piszczą nie ludzkimi głosy, wtórują dzwoniem zębów, ale jadą zawzięci goście na bal do jenerałostwa. Gdyby można wznieść się balonem, szluczny światłem oświetlić całą okolicę, i przy wygodnym piecyku z góry spojrzeć na błonia okalające wioskę jenerałską, cóżby to był za pocieszny widok! tego ludzkiego mrówiska ciągnącego wszelakiemi powozami do średniego punktu na bal, w strojach żartujących z tej zimy naszój, w strojach godnych południa, jak się krzyżują po polach, omijają jedni drugich, jakby grali w ciuciubabkę, posinieli od zimna, myślą o tańcach, a z dala z jarów zaspanych śniegiem głodne wilki wietrzą balowych gości, oczekując czyli, przypadek jaki nie obdarzy ich balowym przysmaczkiem, a groźnym wyciem wtórują stepowemu wiatrowi, który głosem to ponurym to piskliwym zdaje się grozić i szydzić razem z tego ludzkiego szaleństwa! Ciemna noc dawno nastała, dawno już pogasły światła po wioskach okolicznych, a balowi goście suną się jeszcze na bal do jenerałostwa!..

W imię ojca i syna i ducha świętego! rzekł nareszcie Franek pobożnie, otóż przecie Garbińce.

Widzę już światła rzekł pan Seweryn.

Do dworu zajedziemy? dodał w półgłosem Gustaw, którego wszystkie już najognistsze marzenia pomarzęły pod lekkim płaszczem, datkiem wspaniałego kuzynka.

Ale gdzież tam! muszą być przygotowane jakie stancie gościnne; przeszłego roku stałem w izdebce pisarza gorzelnianego.

Czy co roku daje generał bale, zapytał hrabia Eugeniusz?

Co roku prawie!

Na nieszczęście, odezwał się Gustaw, generał jest Hilary i w styczniu musimy tę mroźną odbywać zabawę: dziwna pasia dawania balów na wsi w zimie.

Nie do rzeczy gadasz, odrzekł cierpko pan Seweryn, miłośnik wielki wsi, pola, gnoju i cudzych festynów.

Zgadzam się z Gustawem, bale dobre w mieście, i gdybym nie był przyrzekł... Tu wydrapały się konie, jakby na szczyt wieży, na okop śniegu panujący nad kołowrotem, którego gościnny generał przekopać nie kazał.

Doświadczeniem nauczony Franek przejechał bez szwanku, ale następujące po nim sanie przewracały się z krzykiem, piskiem i płaczem po miękkim śniegu aż miło. Wiechał Franek do wsi, tu dwie drogi, gdzie jechać, nikt nie wie. Rada między panami. Franek pociągnął ku karczmie: podpity podstarości mając skozaczonę parobka od wołów w pomocy rozsyłał zład gości do przygotowanych pomieszczeń. Niech panowie jadą na prawo aż do cerkwi, potem w dół na lewo, koło cmentarza na górę uliczką w prawo, tam koło chałupy wójta na lewo, i znowu od siebie prosto do dworku gajowego.

A żeby ciebie wszyscy djabli! mruknął Franek, i jedzie dalej w prawo i lewo, i prawo znowu, stanął wreszcie przed dworkiem. Pusto i ciemno na dziedzińcu; wyleźli panowie, trzęsą się od zimna, zgłodnieli i zli; pierwszy Eugeniusz wpadłszy parę razy po pas w śnieg dobiegł do lepianki walącej się, otwiera drzwi do sieni, do izby prowadzące, zatrzymuje go rodzaj kotary z dywanu zrobiony, podnosi ją, i....

Dawaj mi prędzej trzewiki, odzywa się głosik pieszczony niewieści... i o! dziwne losu zrządzenie, postrzega nóżkę zgrabną na stoleczku, w ażurowej pończoszcze oczekującą na trzewik, który miał uzupełnić balowe przystrojenie, a nad nią uśmiecha się twarzyczka śliczna siedemnastoletniej dziewczyny... Aniela!.. Eugeniusz! krzyknęli oboje półgłosem; a rumieniec, który łyskawicą wyskoczył na młodą twarz, paluszek do ust szybkością myśli przyłożony, spojrzenie oka do alkowy zwrócone gdzie ciotunia, Aniela, pani sędzina, stare swoje trefli wdzięki, ściśnienie rąk przelotne ale dobitne, pocałunek na śnieżnej ręce złożony, spojrzeń parę czułych, westchnień kilka na poły tęsknych, na poły radeśnych, wszystko to przemknęło tak prędko bez słów próżnych, chociaż oboje umieli zmieścić w przestrzeń tych chwil kilku ulotnych, i przeszłość i przyszłość, i marzenia i nadzieje, a czucia tyle, żeby go starczyło na cały tom romansów, — że pan Seweryn ledwie doszedł do drzwi sieni, a panu Gustawowi, jak zjawisko jakieś, mignął się przed oczyma trzewik jedwabny przez biegnącą służącą niesiony, i już wyskoczył pan Eugeniusz do sieni o kilka stopni Reaumura ocieplony. A w tém dobiegł na bronwłoce, w wierchowego konia wołą wszechwładnego generała przedzierzgniętej, skozaczony Fedko i składając winę bałamucającej wódki Icka na rozległe zatrudnienia, powiódł błędnych naszych rycerzy do przygotowanej dla nich istotnie kwatery. Nie pomogły, jak



grad, sypiące się djabły z ust Franka, trzeba było jechać i w dół i w górę, i w prawo i w lewo wiejskimi uliczkami powyżej niskich okien zawianemi; stanęli wreszcie przed obszerném domostwem, ciemném, obdar-tém i okopconém. — To moja przeszłoroczna kwatery!

Cóż to za szkaradne rudera!

To gorzelnia! odpowiedział Gustaw; ale powiedz mi, proszę, co to zjawisko trzewikowe?.. czy to duch bału!..

Nie nudź nas, Gustawie, swojemi marzeniami jakiemś, z nie smakiem zagadł pan Seweryn na nowo, lubię twoje wybryki poetyczne, ale w swoim czasie; teraz chodźmy się ubierać. Przebywszy nie bez trudności koryta, węże, trubniki i kadki, weszli nareszcie; izdebka pięć łokci długości mająca, oświecona łójówką w kulawy lichtarz wsadzoną, dwoma żydłami i ułomnym stolikiem drewnianym ubrana, zimna sownice, ale za to zadymiona dymem od pieca, i dymem od gorzelnicy, to była kwatery przeznaczona dla gości balowych, którzy o sześć mil przyciągnęli; koni nie ma gdzie postawić; a więc Franek przeklina na dworze, tłumoków nie ma gdzie roztasować, a więc zrzędzi służący dobywając fraki, kamizelki... panowie balowi z nosami, gdy bygile, głodni, jak wilki, trzęsąc się, jak w zimnicy, zabierają się do ubierania, Jacenty nie może wydołać, żelazka do włosów nie ma gdzie zagrzać, bo w piecu był ogień, a w ognisku gorzelnianem ma być dopiero. Pan Seweryn milczy, Gustaw rozmyśla, Eugeniusz do zegarka. Dziewiąta godzina! krzyknął i w mieście nie zaczynają się później bale... od dziewiątej z rana, a to cała podróż!

Prolog do balu nie bardzo obiecujący, dodał śmiejąc się Gustaw.

Lubisz krytykować, mój kuzynku; w twojej pozycji to nie na swoim miejscu.

I owszem prolog nie zły, rozweselony przerwał Eugeniusz i zamarzył o Anieli.

Otoż i pierwsza część balu wiejskiego; już się goście pojeżdżali, roz-tasowani po dworach i chałupach, trzęsą się po zimnych izdebkach, a dymem obdarzeni rześnistym kichają zawzięcie, bo katar jest pierwszą wiejskich balów przyjemnością.

II.

Zaczyna się bal u jenerałstwa. Jenerał jest jenerałem i na tym koniec; jakich wojsk, jakiego kraju, nie powiem państwu, bo sam nie wiem, i drudzy nie wiedzą: ciocia nawet marszałkówien panna Agnieszka milczy, gdy o tym jest mowa; raz tylko przebaknęła coś o konfederacji targowieckiej, ale będąc wielką estymatorką samej jenerałowej poczciwej Mazurki nie dokończyła zaczętej tradycji. Bąc jak bąc, jenerał ma usposobienie zupełnie jeneralskie, głos rozkazujący, mowa dobitna, postawa wyprostowana, nos w niebo lub sufit wzniesiony, wszystkie ruchy krótkie, urwane, pełne powagi i znaczenia; przytém popularny, z wyciągniętą ręką czeka u gościnnych drzwi, by silnem, wojskowem ściśnięciem ręki witać, a wstrzymywać razem poufałość szlachty cisnącej się do czerwonych policzek jenerała poważnie wystających z pod ciemno-rudej, wysoko ufrzowanej peruki. Ruch wielki panuje w domu od świta, ruch różnorodny, ale dążący do jednego celu. By jednym rzutem oka obejrzeć wszystkie działania w domie jeneralskim, za pomocą diabła kulawego zerwiemy dach z pomieszkania jeneralskiego, który rzeczywiście dawno już zerwać wypadało, i skórkami owczemi na

poddaszu rozwieszonymi otuleni przyglądajmy się cudom balu jeneralskiego: mniejsza o powierzchowność domu zlepionego z różnoczasowych zabudowań połączonych kolumnadą, arcydziełem gustu właściciela, wnętrze jego wicęć nas obchodzić powinno. W sypialni siedzi gospodyni ustrojona już do balu w barwy zgodne z jej wiekiem i rozsądnem uspo-bieniem, zadumana, a co gorzej smutne oczy wlepiła w pęk papierów przed nią leżących; jenerał nie cierpliwy wbiegł do pokoju na zawołanie żony i krótkimi słowy odpowiada na jej przemowę. Cóż mu tam do tego, że jakiś szlachcic źle wychowany, któremu zrobił jenerał zaszczyt pożyczania pieniędzy, wyrobił sobie egzekucję do mobiliów, i termin jutrzejszy wypisany na leżącym przed jenerałową papierze zda się wydrzyżniać z dzisiejszych godów; są to pociski losu, które jenerał zwykł znosić z godną siebie mężnością; boleśniej dotknęła go wieść, że Szulim z pobliskiego miasteczka odmówił kredytu na kilkanaście butelek wina starego; coż robić! szlachta będzie musiała pić bez skrzywienia się lek-kiego Austriaka, którego właśnie kredencarz na marszałka dworu prze-kształcony oblepia kartkami z świętej pamięci wypitego przed kilką laty wina reńskiego; wybiegł jenerał, który jak duch ożywczy w wszystkich jest razem kątach, by z niczego stworzyć wystawę godną dnia tego, tu kilkunastą świecami woskowymi zamaskował zgrabnie oświecenie palacu lojowe, tam zasapanemu Ickowi za przywiezione bakalia i porter pod-pisał kontrakt na gorzałkę będącą dotąd w krainie marzeń; chudemu fur-manowi w liberie z tłustych czasów przebranemu naznaczył miarę i ga-tunek gościnnego obroku i znowu przemknął chyżej od wiatru, który się tam na polu uwija, koło gabinetu córki, by przyspieszenie stroju za-łecić. Próżne zalecenie! jenerałówna nie może dzisiaj wynaleść sukni, któraby jej wysoką, chudą i kościstą postawę zdołała obwiać dosyć okrą-głymi zarysami: panna Karolina, którą jedna przyjaciółka od serca nie-szczęśliwą omyłką na podpisie listu karabinem na wieki przewała, po-raz, nie wiem który, wychodzi na te zimowe gody z nieugiętą wolą zdo-bycia męża, jeneralskim bowiem ojca duchem owiana żądną jest walk, ale zawsze schodzić musi z placu bitwy bez jeńców dla braku chętnych do walki; nie mogąc w życiu realnem działać wedle podbójczej woli swojej goni na polu marzeń z czytania romansów utworzone idealy. Przybycie hrabiego Eugeniusza w osieroconą z kawalerów stronę no-wém życiem wionęło w bujną wyobraźnię jenerałówny; nie mało się też musiała nabiegać i natrudzić biedna Zuzia, nim ujrzała w oczach swjej pani spojrzenie ku zwierciadłu zwrócone, nadzieją tryumfu roz-iskrzzone. Ale jakież to głosy odzywają się niesforne w tyle domu? — jestto w gabinecie jeneralskim próba siurpryzy muzycznej, którą mu przyspasabiają wierni officyaliści pod przewodnictwem samego jenerała: krzyczy, łaje i szturka nawet zapyrzony jenerał, by wydobyć zgodność harmonijną ze skrzypców pisarza gorzelnianego, klarnetu ekonomy, trąbki leśniczego, basetli djaka i bębna pastuszkowego. Jeszcze raz prze-biegł wszystkie pokoje, okiem rzucił wszędzie, i już stoi w sali balowej u drzwi z uśmiechem pańskim i grzecznym razem; matka i córka usia-dły na kanapie naprzeciw wchodu postawionej, matka z uśmiechem mocą jej duszy wyciśniętym ze zbolalego usposobienia, córka zaś promienniejsza od olbrzymiego bukietu, który całym krzakiem rozpięty zakrywa chude daremną żądną wysuszone piersi. Sala balowa, salą nazwana, w salę zamieniona przez wszechwładną wolę jenerała nie ma w sobie salonowego i wielkiego, prócz pieca, który ciekawie aż do pół pokoju wy-

sunięty szerokimi bokami swemi zda się dzielić całą salę na dwie małe izdebki. Wchodzą goście obojęj plci; wszystkie postacie przemarznięte, znużone, z nosami czerwonymi, wietrząc z upragnieniem ciepłego napitku i jadła, kupią się po większej części w okolicy pieca, który delikatnym swędem pobudza ciągle ruchy chustek do nosa.

Dyplomatyczna marszałkowa zasiadła przy jenerałowej na kanapie i zgrabnemi słowy stara się wybadać, czyli są jakie, i jak daleko zaszły projekta z panem Eugeniuszem. Wyuczzone przez matkę marszałkówny nie odstępują ani na krok jenerałówny, a pochlebnemi słowy głaskają na wysięgi. Jak ci Karolciu do twarzy ta żółta suknia.

Kochana Karolka ma szczególny talent ubierania się.

Coś idealnego masz w sobie, de la poésie...

Romantyczny Gustaw gotów się w tobie zakochać.

Fi! Gustaw!

Dla czegoż? on bardzo przystojny.

Et comme il est bien.

Majątek nareszcie szczęścia nie stanowi; on jest zdolny wypracować sobie świetne położenie, byle chciał tylko; brakuje mu tylko uczucia, któreby go pobudziło, brakuje mu osoby... i spuściwszy oczy z niewinnem pomieszaniem przerwała, jakby mówić dalej nie śmiała.

A tą czy nie spodziewasz się być ty Olgo, rzekła z przekąsem udanym Iza; Gustaw nie lubi blondynek... i odkądże nabrałaś takiego umiarkowania.

Ja byłam zawsze za miernością; nieprawdaż Karolu!

Jenerałówna uśmiechnęła się namawiając żartobliwie siostry do zgody, i chociaż nie mogła pojąć tych nowych usposobień, zadowolniona w duszy była, że jakiś wiatr romantyczny powiał po marszałkównach, których wścieklej pogoni za bogatym mężem obawiała się nie pomału.

Zapewne des fruits et du lait to nadto mało, ale wolę przecie spokój i szczęście domowe... nie tak, jak ta mała Aniela, której się zachciewa męża bogatego, męża z tytułem...

Kogo? z niegodnym siebie roztrzepaniem zapytała żywie jenerałówna, otumaniona przez przyjaciółki.

A kogoż, jeżeli nie hrabiego Eugeniusza? odpowiedziała Olga radując się z przelęknienia Karoliny.

Aniela za hrabiego Eugeniusza; a to śnieszne! w pół obojętnie rzekła Karolina, która już nieco ochłonęła.. któż to wam powiedział?

Sama twierdzi, że ją kocha, że ją tam gdzieś poznał, jak jeździła z ciotką, i w skutek przyrzeczenia przyjechał w te strony.

O! nawet już tryumfuje podstępowna, dodała z iskrzącymi od złośliwości oczyma panna Olga; powiada, że daremne zabiegi wszystkich dziewcząt okolicznych, śmie nawet cytować ciebie, żartując z tej pomyłki na podpisie... wiesz której?..

Onaby śmiała!..

Na śmiałości jej nie zbywa, powiada, że i tą razą karabin źle celuje.

Zaczerwiniła po uszy ze złości Karolina. Nie! nie! ja wam ręczę, że ona nie będzie żoną Eugeniusza.

A jeżeli ją kocha, twierdzą bowiem, że Eugeniusz jest romantyczny.

Romantyczny zapewne! ale ja znam jego słabą stronę; ja wam powtarzam, Aniela nie będzie żoną Eugeniusza. Zaintrygowane marszałkówny słabą stroną hrabiego Eugeniusza poszły z jenerałówną do drugiego pokoju, by knuć spisek przeciw niewinnej Anieli, a oszukując się

bie nawzajem każda myślała, jakimby sposobem przywabić do siebie bogatego hrabiego.

Coraz nowe zajeżdżają powozy; wysypują się z nich roje sąsiadek z córkami, siostrzenicami i kuzynkami sprowadzonymi z różnych dalekich nawet okolic na ten bazar wiejskich balów, który tém tylko różni się od bazarów wschodnich, że tu towar sam się sprzedaje, a kupcy mniej towarowi przypatrzeć się mogą. Weszła i Aniela z ciotką, grubopłaską sędziwą, która trąci parafiankę przez jenerałowę, a ta znowu przez marszałkową, miana za parafiankę przez jenerałowę, a ta znowu przez księżnę; bo i po wsiach wiedzą, co jest ton wielki, znalezienie się światowe. Proszę tylko patrzeć ze mną, a ucha nadstawić, jakie ukłony ceremonialne, jakby u dworu, aż szeleszczą faldziste suknie po podłodze woskiem zalepionej, jaka wściekła galomania porusza niewieściami i mężczyznami językami, a przy tem jakie spojrzenie ukośne, rzucane na sąsiadek berety i czypce: jakóż warte podziwu te arcydziela modniarek tamtejszych; jaka rozrzutność piór, błyskotek i bukietów; a jak na nieszcześnie dziennik mód Lwowski poobcinał rękawy, by nam ukazać całą galerię rąk, na których widok Fidias dlułoby swoje w morze rzucił, a Apelles pędzel spalił. Dotąd ogólny jeden wyraz zgłodniałego i zmrożonego znudzenia przeważa w towarzystwie całym, twarz tylko Anieli różni się od innych wyrazem więcej znaczącym; jeżeli jest która z nich parafianką, to pewnie Aniela nią być musi, bo naturalna, bo bez najmniejszej przesady: krótkie widzenie się z Eugeniuszem, jakkolwiek przelotne, rozpromieniło dorodną jej twarz odbiciem wewnętrznej rozkoszy, która igra uśmiechem na ustach, ożywia oczy spojrzeniami ciekawymi, latającymi z niewinną prostotą po całej sali, piersi nawet dziewiczo utoczone, zaokrąglone życiem niewinności, wznosi czasem do westchnienia, bo tam w głębi tej piersi jest już tęskne uczucie, które marzy i przeczuwa, boi się i spodziewa; a jej ręce, jakby z marmuru, pełne, pulchne i białe pogodziły mnie nieco z modą rękawów krótkich, a postać nie wielka, ale zgrabna, twarz pełna wdzięku niezepsutego życia, plęmchem czystych myśli posypana jeszcze, wydają się, jak światło dobroczynne na nadto zaciemniony rzucone obraz. Znajomość i miłość Anieli i Eugeniusza przyszły zwyczajnym trybem bez żadnych nadzwyczajności, których od niejakiemu czasu namnożyło się tyle w powieściach naszych. Aniela na wsi wychowana przy niezamożnych rodzicach winna była wdzięki przyrodzeniu, dobroć i czułość poczciwym rodzicom, którzy choć w posesorskim domku chwałą skarb cnót domowych, cnót naszych dawnych, których dotąd jeszcze malpiarstwo cudzych wad zpod słomianych przynajmniej strzech wypędzić zupełnie nie zdołało; wychowanie jej nie świetne zapewne utworzyło z niej dziewczynę dobrą, niewinną, a bogobojną, z której czas miał wyrobić żonę i matkę, jakich nam potrzeba, bo zmniejsza się coraz więcej liczba żon i matek polskich — kobiet, dam bez liku, ale owych niewiast z duszą Chrzanowskiej, głową Drużbackiej nie zdybać już!.. Paplanina cudzoziemska, niedowarzona muzykalność, oczytanie w romansach zajęły miejsce zajęć pożytecznych, domowych, gospodarskich; matka dziś z córką na woskowanej posadzce stają w szranki, tańcem, a zalotnością waleczą między sobą; przez takie matki wychowani synowie dzisiejsi wyśmieliby nawet te, któreby, jak nasza Aniela, rozumiały się na domowym gospodarstwie w najdrobniejszych jego szczegółach, a nie umiały posuwać nogą w takt francuzkich tańców: jednym słowem Aniela była prawdziwym aniołem. Ojciec

i matka poumierali; biedna siostra w piętnastu leciech musiała zrozumieć, co to jest sieroctwo, co to jest zależność od cudzej woli; nauczyła się w domu nudnej i głupiej ciotki cierpieć i znosić, dwie te konieczności i cnoty razem niewieściego rodu; w podróży, którą odbywała z ciotką do Lwowa, odwiedziła znajomą swoją, która ją do chrztu trzymała; zaproszona przez nią przepędziła, jak trzy dni, trzy miesiące letnie w jej domu; tam poznała hrabię Eugeniusza.

Eugeniusz był młodzieniec dobry i szlachetny sercem, a zepsuty światem i wychowaniem; był w stanie piersi nadstawić za prawdę i cnotę, a drzał, jak ostatni tchurz, przed śmiesznością towarzyską; cnotę wyżej cenił, jak majątek, ale przyzwoitość wyżej, jak cnotę; olbrzym w uczuciach, karzeł w towarzyskich stosunkach, rzuciłby się chętnie w wodę, by ratować człowieka, a nie uściąłby tego człowieka w salonie, nie przejrzawszy pierwój herbarza, i nie rzuciwszy poprzednio oczu na jego ubiór; sercem Polak, językiem Francuz wstydział się światem polskich książek, któremi się cieszył w samotności; hermafrodyt nowego kształtu z orlą myślą w niebo, żółwią stopą po ziemi. Przesycony sztuką, która go w stolicy od lat tyłu otaczała, wiedziony lepszym duszy własnej instynktem zbliżył się do Anieli, i chociaż w mieście, ale w czasie letnim, w czasie, kiedy miasto obleka się, że tak rzekę w szaty teatralnego pasterstwa, przeżył z nią trzy miesiące pełne nowego dlań uroku w wydudnionem mieście w domu swojej krewnej pocziwej staruszki; bo i w mieście pojawiają się pocziwi ludzie, jak niegdys proroki w Babilonie, przeżył Eugeniusz z Anielą trzymiesięczną sielankę pełną marzeń i poezii. Aniela kochała po raz pierwszy tą miłością, o której marzyć lubo, a czuć tak trudno; Eugeniusz kochał nie po raz pierwszy, ale zdało mu się, że po raz ostatni; Eugeniusz filar salonów lwowskich, wzór młodzieży salonowej, on, który tyle koncertów w kraju i za granicą się nasłuchał, teraz w ciszy wieczornej przy otwartem oknie siedząc słuchał, jakby czarem przykutym piosnki prostej polskiej, którą nuciło to niewinne dziewczę głosem dźwięcznym, choć nie uczonym, zimny przy chorze szatańskim Roberta, przy marszu Hugenotów, drzał przy tęsknej nucie Alkara, przy żalonym szmerze dwóch brzoź zielonych. Nie wiele mówili, ale w niebo patrząc pogodne, żadną chmurką nie zaciemnione, w promienie zachodzącego słońca, tam koniec uczuć swoich zakładali, tu widzieli obraz wieczoru życia swego!.. Wszystko niknie na tym świecie, a najprędzej to najpiękniejsze złudzenie życia, które zwiemy szczęściem; Aniela odjechała do ciotki; Eugeniusz marzył po przedmieściowych ogrodach pomiędzy szeleszczącemi jesieni liśćmi: dał słowo Anieli, że będzie na tym corocznym balu u jenerała, po którym przeskoczywszy nudne przygotowania i formalności miał na wieki połączyć się z Anielą, i w wiecznie pogodnem niebie..

Alé już na tem niebie wznosi się chmura, ciemniej burza w groźnych oczach jenerałówny i marszałkówien, łyskawicą złościwości strzela za spojrzem roziskrzonych żądzą hrabiowskiego majątku: kawaler, czy panna gonący za bogatym ożenieniem, skoro zdybią współzawodników, są zawziętsi od najzaciętszego zbrodniarza; jeżeli bojaźń kodexu i zniechęcałość dzisiejszych wychowań wstrzymują ich od czynu, gdyby tylko do wnętrza zajrzyć można było, rodzina Borgia zadrżałaby przed ich myślami. Wśród Eugeniusz; niepojętém ogółowi przecuciem zwrócone ku drzewom duże oczy zdybał przy wchodzie; spojrzeniem zapału przywitał te dwie gwiazdy wymarzonego nieba swego!

Towarzystwo się ożywiło, bąc, że jego członkowie, ogrzali się już po przejeździe zimowej ciepłą wodą, herbaty nazwiskiem ochrzczonej, bąc, że przybycie Eugeniusza poruszyło większą i wedle zwyczaju mówienia piękniejszą jego część. Tymczasem wchodzą, a wchodzą do sali coraz inni goście, którzy po przebytej śnieżnej kąpieli wduszeni w tę parową ścisłą kąpiel odbywają mimowolnie przyznicowską kurację; na ciasne grona podzieleni czekają, co jeneralska wola dalej z nimi zrobić rozkaże, a tymczasem skrcają sobie, jak mogą, czas rozmową nie nader interesowną.

Kochana jenerałowa wie dobrze, jak mnie los całego jej domu obchodzi, i najsześliwsza byłabym, gdyby się nasza myśl udała... Patrz pani, jakaby to była para z panny Karoliny i pana Eugeniusza.

Nie spodziewałam się, odrzekła jenerałowa takiej zarozumiałości po Anieli....

O czém panie tak żywo mówicie, spytała ciekawa chorążyna: bo na wsi do niepospolitych przyjemności należy i ta inkwizycja, która cię pytaniami, jak pijawkami, poobsadza póty, póki cię nie wysączy do ostatniej kropelki. Darmo, jeżeliś mieszczanin, wywijasz się zgrabności jakby sztuką fechtunkową; ciekawość wiejska krzyżową sztuką póty cię napaściwać będzie, póki się nie przyznasz, gdyby nawet szło o noszenie rogów, do czego nikt jednakże przyznać się nie lubi. —

Marszałkowa odpowiada; wszystkie panie w okrzyk. A któżby się spodziewał po tej skromnej mince. Cicha woda brzegi rwie, i tuzin przysłów podobnych, bo wieś jest kraj przysłów. O mój Boże, ileż to objadów na wsi zjadłem, których przyprawą jedyną były przysłowia stosowane do rzeczy, jak rozeń do Newtona, a w takiej ilości, żeby się nawet Wojcicki przestraszył. —

Wszystkie panie bij zabij na Anielę; jedna z grzeczności dla gospydiny, druga z pamięci na własną córkę lub powinowatę. Powinowatomania bowiem jestto choroba wiejska; ledwie wstąpił w gościnne progi i wyjąknął nazwisko swoje, jużciż gwałtem trzy lub cztery domy okoliczne na krewnych ci dają; darmo się zżymasz; twoja matka była cioteczną siostrzenicą bratanka pierwszego męża podstoliny, a twego ojca wujeczny brat ożenił się z pasierbicą pana Wojskiego.

Gdy się z jednej strony wznaga burza pomiędzy poważnemi paniami, z drugiej strony znana nam już trójka roztrzępuje pomiędzy panny tak nie miłą wieść dla panińskiego rodu, że podsędkówna zamyśla z przed samego im nosa schwytać bogatego hrabiego: usposobienie złosliwe ztąd wynikłe zdybuje wszędzie biedną Anielę, to nieprzyjaznem spojrzeniem, to cierpkim słówkiem, to przytykiem do organtynowej sukienki, którą biedna przez kilka nocy sama uszyła. Takie przyjęcie odjęło Anieli, która i tak nie bardzo podobała sobie liczne towarzystwa, całą odwagę; zacierwieniona, nieśmiała, a zatem niezgrabnemi krokami przesuwiała się z kąta w kąt, szukając spokoju: Eugeniusz po przywitaniu i przyściśnieniu nawet do serca jeneralskiego chciał zaraz zbliżyć się do Anieli, ale mu to nie tak łatwo przyszło. Szeroką chorążynę, która z piecem najwięcej zajmowała miejsca, wysłano naprzód; chorążyna gadatliwa wprowadziła go w cały genealogiczny wywód pełnego splendoru jeneralskiego domu, a tymczasem za nią, jak za parawanem, uszykowane marszałkowa z panną kasztelanką, tamtowiekową edycją jakiegoś znakomitego rodu rozmawiały poufnie między sobą tym głosem towarzystw wiejskich, który środkuje między wołaniem na gwałt, a łajaniem.

Nie uwierzysz pani, co to za obłudne stworzenie.

Moja dobrodziejko, jabłko niedaleko pada od jabłoni; nieboszczyk podsędek był istny pustelnik, a podsędkowa, Boże świeć nad jej duszą, z rodu faryzeuszów; otóż moja dobrodziejko, i ta Aniela, jak ją zowią...

Zaczewniał się Eugeniusz i chciał pójść naprzód, ale przyzwoitość kazała mu stać przed chorążyną, która dopiero z antenatem jenerała z pól Grünwaldskich schodziła, a słuchać zjadliwej mowy.

Wiadomo pani zapewne, że ta biedna podsędkowa umarła z rozpaczy; było to po owym sławnym romansie córeczki z panem Sewerynem; powiadają nawet... tu zaszeptała tak półgłosem, że aż włosy stanęły na głowie Eugeniusza.

Moja dobrodziejko szkoda tej dziewczyny; cóż z tego, że ładna, kiedy jej reputacja zniszczona na zawsze.

Ładna? dosyć! ale proszę uważać, jaka niezgrabna turniura; patrz pani, jakto poznać parafiankę; wyobrażam sobie, jakby wyglądała w mieście, w tym wytwornem, stołecznem towarzystwie, z tą miną kurczęcią, główką na dół schyloną...

Moja dobrodziejko, jak wróbel na nitce. I obiedwie w śmiech. Jak mrówki po ciecie uczuł dreszcz po sobie Eugeniusz, bo gdy spojrzął ku Anieli idącej i wracającej, wróbel kasztelanki nie wydał mu się obmową; zrobił ruch gwałtowny w bok, ominał wał strzegący dalszej drogi, i jak bomba wpadł w kąć pieca, na którego drugiej stronie panowały chichoty niepospolite między zebranymi tam pannami: głośne chichoty jestto na wsi rodzaj zalecanek panieńskich dziwnie dobre o nich dających wyobrażenie...

Ona kontradansa cha! cha! cha!..

Dałabym chętnie cztery puie pasieki, które mi papa darował, żebym widziała ją w tym tańcu.

Zobaczymy może; Karolcia mi mówiła, że będzie kontradans.

Nie sprawiedliwszego, wszędzie go tańczują, dodała panna Iza, u pani szambelanowej w Lwowie tańczyłam go z rotmistrzem..

Nie wiem tylko, czy ją kto angażować będzie po tym, co mi twoja siostra mówiła, że się stało z panem Gustawem.

A koło fortepianu w kącie sali panna Olga w rozmowie z panem Gustawem.

Niech mi pan wierzy, że tak jest; mama się ujęła za panem i powiedziała ciotce Anieli, aby ją przestrzegła, że się tak nie godzi mówić w jej wieku, że nareszcie pan możesz być bez majątku, ale przez to hołyszem i pieczeniarem nazywać się nie godzi.

Gustawie! czy znasz tę dziewczynę, krzyknął mu do ucha tylko co nadeszły Eugeniusz wskazując na Aniełę.

To niegodziwa dziewczyna!.. Chciał dalej pytać Eugeniusz, ale panna Olga porwała Gustawa, i pomknęła z nim po przed oczy jenerałówniej, która swobodna z przyczyny ubycia strasznych współzawodniczek zbliżyła się tymczasem do fortepianu, i oczy w powalę rzuciwszy kilka akordów dobyła z rozbitych klawiszów; nie słyszał tego Eugeniusz, nie zobaczył nawet jej spojrzeń romantycznych zamglonych spuszczaćcami się raptem rzęsami i pogonił z postanowieniem zdybania Anieli, lecz spotkawszy po drodze pana Seweryna nie wiele podchlebnego i od niego się dowiedział, bo pan Seweryn należy do tych ludzi, którzy tak są pewni swojego szczęścia w miłości, iż o tym, co by dopiero stać się mogło, tak rozpowiadają, jak gdyby się rzeczywiście już stało.

W przelotniej z nim rozmowie dowiedział się tylko Eugeniusz o niezmiernie długim szeregu kobiet, które mu uległy, i mężczyzn, którym suknie sprawił; zgrabne o Anieli wspomnienie przyjął pan Seweryn z uśmiechem, który trzeba widzieć, by zrozumieć ten jedyny milczący dowcip pana Seweryna — w uśmiechu!...

W tém ruchu niepospolity po obu pieca stronach, wszyscy cisną się ku drzwiom, jakiś bowiem chrapliwy głos trąby dał się słyszeć; zgłodniali goście myśleli, że to znak do stołu, gdy raptem generał wyszedł na środek pokoju i zdziwionym zapytał głosem. Co to takiego?...

A to!... zaczęła generałowa; i otworzyły się drzwi do jadalnej sali, a z niej wychodzi dźwięk najfalszywszy wariacji na bajorku i rozpaczliwe, acz daremne dmuchanie w klarnet... to twoi ludzie chcieli ci zrobić siurpryzę.

Odurzeni goście, zamiast jadła, muszą słuchać godzinnych wariacji dawno zapomnianego Gelineka kociemi tony; a generał obcierając, niby zwilżone, oczy, poczciwi ludzie! wykrzyknął: jaka miła dla serca mego siurpryz! Z niemąłą trudnością przecisnąwszy się pomiędzy stłoczonych razem gości znalazł się przez chwilę Eugeniusz sam na sam z Anielą, która w kąciaku siedziała zamysłona, bo tylko co generałówna powiedziała jej pod sekretem niewyraźnemi słowy o znaniej wszędzie niestałości jego, a panna Olga przebaknęła urywkowo z pełnym znaczenia uśmiechem o mającym wkrótce nastąpić festynie większej wagi w domu generałskim. Nieodświadczona i tylko rozumem serca obdarzona Aniela nie wiedziała, czemu wierzyć, czy słowom słyszany, których fałszu jej dusza zrozumieć nie mogła, czy przysięgom kochanka, które brzmią jeszcze w jej uszach; ale dla czegoż Eugeniusz nie zbliża się do niej? Czemu spojrzenia jego na nią rzucane, gdy rozmawiał z chorą żyną, były tak zimne, tak przykre, tyle różne od spojrzeń, które jeszcze świecą w jej oczach? Biednej dziewczynie na płacz się zbierało. Ona tak samą czuła się w tej chwili, aż rodzicom pozadrościła tego lubego spokoju w wonnym kwiatów gaju dziecinną pobożnością piastowanym.

Czy wolno zapytać, o czem pani myśli, ostro zagadł w tej chwili Eugeniusz.

Ton mowy kochanka zmieszał ją do reszty, słów nie rozumiała, jedno słowo, pani, zabolęła ją okropnie: cóż mogła odpowiedzieć młoda mowa rozumowi uie władnąca dziewczyna: westchnęła tylko westchnieniem żegnającym szczęście, a witającym cierpienie. — O niczym nie myślę, wyjękła po chwili... zupełnie o niczym.

I czy zawsze bawisz się pani tak pięknie? szydersko pytał dalej Eugeniusz.

O nie zawsze! odpowiedziała bez namysłu... był czas!.. zarumieniła się i urwała, bo czucie dziewicze powiadało jej, że jej milczenie, nie wymówki przystoją, ale w tej chwili była tak piękna, wyraz twarzy tak czysty i niewinny, że Eugeniusz zapomniawszy o wszystkim, co słyszał, porwał ją za rękę, i głosem czulszym już nieco, chociaż nie bez wyrzutu, krzyknął. Aniela! czy mnie tylko jednego kochasz? i patrzył na nią jak dawniej prawie i zapomniawszy na miejsce, w którym się znajdują, ciągnął do siebie.

Panie Eugeniuszu, proszę mnie dać pokój, wyrzekła nakoniec, wyrzuwając ręce, bo w tej chwili ujrzała złośliwe oczy Izy z drugiego pokoju na nich zwrócone. Chwilowe Eugeniusza usposobienie wionęło; nie-

zgrabne wyrywanie się wiejskiej dziewczyny, bo nadto szczere, obudziło w nim salonowca.

Spodziewam się, że pan hrabia zechcesz należeć do kontradansa, od którego zaczniemy bal; właśnie zbieramy się. Zbudziły słowa jenerałówny Eugeniusza do reszty. Do kontradansa powtórzył; myśl jakaś przemknęła mu przez głowę, i nie odpowiedziawszy nic Karolinie, która już odeszła, dodał zwrócony do Anieli: Mogę służyć pani?..

Ledwie usłyszała biedna dziewczyna; dobrze! odpowiedziała myśląc może, że do ochoczego ma stawać z nim mazurka.

Czyliż i w tańcu nie porzucisz pani tej smutnej postawy; będąc tak piękną, uwielbianą od tyłu.... Łzy się zakręciły w oczach Anieli. W tém ozwała się muzyka waląc jakieś odwieczne kontradanse.

Służę zatem pani!..

Jakto? przestraszona krzyknęła słysząc głos muzyki; ja nie.... ja... to jest.... Zbrzydła Aniela; o jak zbrzydła piękna Aniela w oczach salonowca.

Spodziewam się, że przyrzekłszy...

Ale; bo... to jest.. ja... ani słowa więcej wyrzec nie mogła..

A Iza zbliżywszy się szeptem jej do ucha: nie bój się duszko, wszak my wszystkie nie umiemy, jakoś to będzie; musiałaś nieraz widzieć, jak tańczą, uważaj na nas i na takt; a obrócona do jenerałówny dodała: mamy ją nad spodziewanie nasze. Muzyka już zaczęła; ona się wstrzymała, pary stoją do tańca; Aniela nie miała ani tyle przytomności umysłu, ani tyle wzwyczajenia światowego, by zdołała się w takim razie dobrze znaleźć; szła naprzód, cofała się, jednem słowem musiała się śmieszoną wydać.. i zaczął się ten nieszczęsny kontradans!.. Uciekajmy moi panowie, bo się słabo robi patrząc na te skoki niesforne, łamane wygięcia, ktorými te panie odbywają ten taniec konieczny teraz na wsi dla tego, że go w mieście tańczą: całe szczęście, że nie ma w towarzystwie francuza, boby ten zapytał zapewne, jakiego te narodu taniec?... A Aniela!.. dosyć powiedzieć, że z pomiędzy źle tańczących najgorzej tańczyła; aż włosy na głowie pełnego przyzwoitości Eugeniusza powstawały na widok niezgrabnych posuwań nóg tej, którą on o mało co nie zawiózł jako żonę do stolicy. A wkoło głośnie rubaszne wiejskie śmiechy za każdym ruchem biednej dziewczyny, która już blisko zemdlecia..

Dobrodziejko moja, nie mogę wierzyć tej baśni, taka para...

Ja nie wierzyłam także; on taki zgrabny światowy, pełen tej układności wielkiego świata, przyzwyczajen arystokracynich, z tą prostaczką, prawdziwym szturmakiem.

Dobrodziejko moja, każda dziewczka na wsi tańczy lepiej.. a toby dopiero była para; musiałby się co kroku rumienić za nią.

Eugeniusz już się rumienił, bo sam w duszy myślał to samo prawie, co te panie z ciągle nowemi dodatkami powtarzały.

Rzućmy zasłonę na resztę i uciekajmy, bo przykro patrzeć na te susy, bicia zawzięte nóg o nogi, suwania za głośnie po podłodze, niezgrabne kiwania się na wsze boki, które ochrzcieli kontradansem. Uciekajmy z balu, z którego po nieszczęsnym kontradansie Aniela nie odprowadzona przez nikogo, nawet jedném spojrzeniem litośnóm Eugeniusza nie towarzyszona, wyjechała z ciocią rozniewaną na widocznie uchybiających jej gospodarstwa. Eugeniusz został na balu zajęty rozmową o tegoczesnej literaturze z jenerałówną, która jedna przebywszy kilka lat w mieście mimo karabinowej postawy tańczyła znośnie kontradansa;

i jedna z pomiędzy całej zgrai niewieściej ułożeniem swoim mogła się podobać salonowcowi. Co się działo z czarną i rudą marszałkową w czasie tej rozmowy, łatwiej zrozumieć, niżeli opisać.

III.

Tydzień przeminął już od balu jeneralskiego, ale jeżeli państwo myślicie, że już całkiem zapomniany, że już jako przebyły do przeszłości należy, mylicie się niepospolicie; część najlepszą każdego balu, część najdramatyczniejszą stanowią poufne sąsiedzkie pogadanki, które odbywają się najprzód częściowo po dworach i dworkach, potem przy zdarzonej sposobności zjazdu jakiego łączą się w całość cudnych barw i cudnej tkaniny. W każdym balu wiejskim, jak w dobrym winie, jest, że się tak wyrażę, przedsmak, smak i posmak; a że podniebienia ludzkie różnią się między sobą, więc i ten posmak tokaju czy balu różne przybiera odcienia: i ta właśnie różnorodność posmaków jest najpiękniejszą częścią smaku balowego; każdy bowiem, gdy doda swoje uwagi, te przechodząc przez różne usta tworzą, jak w kalejdoskopie, coraz inne, coraz ciekawsze obrazy. Złość ludzka zowie to plotkami, bajkami, ale w bajce jest połowa prawdy, ale bajki bywają cudowne, ale bajka jest poezją, a prawda nudną prozą; posmak więc balu jest rzeczywiście poezją balu prawdziwą...

Proszę jeno posłuchać epopeję balu jeneralskiego improwizowaną przez towarzystwo zebrane w tydzień po balu u jasnie wielmożnej marszałkowej; nie jestto towarzystwo liczne, ale dobrane, sami przyjaciele i przyjaciółki domu zjechali się, by powinszować imienin pannie Agnieszce starościance, ciotuni marszałkównien, które z zakwaszonymi twarzami spoglądają ku drzwiom i oknom, ażaliż nie zejdzie do nich słońce hrabiowskiego oblicza; jakoż na balu wabiły Eugeniusza w dom marszałkowski córę onego zgrabnem napomknieniem o imieninach pocziwów i ukochanej ciotuni. Tu byłoby miejsce wspomnieć kilka słów o wizytomanii panującej na wsi; wiatr huczy, śnieg sypie, jak z wora, drogi zawiane nie przebyte, psaby z domu nie wygonił, a przecie wlecze się łaskawe sąsiedztwo ze wszech stron, byle się nadarzył jaki niebądz powód, jak teraz naprzykład imieniny osoby ledwie uważanej przez własnych krewnych, a w całej okolicy nudną pannicą przezwaną. Dosyć powiedzieć, że przyjechała nawet kasztelanka, jakkolwiek nie cierpiała nielitościwej pamięci panny starościanki, od której młodszą chciała się koniecznie wydawać, ale uczuła wewnętrzne natchnienie, iż bez niej epopeja balu udać się zupełnie nie może. Zwykłe przywitania, niby czułe, uściski, niby serdeczne, życzenia, niby szczerze, próby rozmów, niby interesownych, zapytań, niby przyjaźnych o zdrowie były wstępem do głównego przedmiotu dzisiejszych odwiedzin. Marszałkowa zawsze dyplomatyczna nie przystępowała nigdy pierwsza do takiego przedmiotu; bo chociaż puściwszy raz wodze językowi obmawiała na piękne, twierdziła jednakże o sobie, że się brzydki obmowa: u niej kuły się najlepsze plotki na familijnym warsztacie; ale raz wypuściwszy je, z udaną niewiadomością i zgrozą jako nowych zupełnie gości przyjmowała w dom swój.

Pan Seweryn, który jako stary kawaler największym był lubownikiem nowinek złośliwych, pierwszy zaczął; z tytułu kawalerskiego wychodząc najchętniej rozmawiał z pannami, i tą razą przemówił do siedzących koło siebie marszałkównien, których kilkunastoletnie zabiegi około

bogatej jego ręki bawiły go nie pomału. — Czy już panie odpoczęły po pięknym baliku; pan Seweryn bowiem balem nazywał tylko zabawę, którą sam wyprawiał przed laty piętnastu na przyjęcie księcia krewniaka swego po kądzieli.

Ja nie wiele tańczyłam, odpowiedziała panna Iza; nie lubię tego zawziętego skakania, jak gdyby bal był manieżem.

Mając tyle danserów, nie mogłaś pani przecie wszystkim odmawiać.

O dsyłałam ich do jenerałówniej, która, zdaje mi się zawsze, tańczy tak niezmordowanie z przepisu lekarza.

Przeciwnie ja się boję, dodała panna Olga, by Karolcia suchot nie dostała ze zbytniego tańczenia.

O! dobrodziejko moja, suchszą już ona być nie może.

Za naszych czasów lubiono także tańcować, zagadła starościanka pamiętasz aścka festyn u pani wojewodziny belzkiej.

Dobrodziejko moja, słyszałam od świętej pamięci matki mojej o świetności tych zabaw, ale przyznać trzeba, że bal udał się jenerałowi.

Zasięgał moich rad do tego baliku.

Słicznie był urządzony, dodała marszałkowa

Oświecenie było rzęsite, ciągnęła dalej chorążyna, szkoda tylko, że było tyle świec łojowych.

No proszę, jak ja nie nie uważam, przerwała marszałkowa; myślałam, że były same woskowe.

Czyż nie czuła mama tego zabijającego zapachu?

Jenerałówna całą suknię pokapała łojem.

Ja mam doskonałą receptę na łojowe plamy; pamiętam raz u księdza kanonika...

Kochana siostra każe podać herbaty.

Otworzyły się w tej chwili drzwi, i wszedł nowy gość pan Xawery; byłto gość bardzo rzadki: stary wdowiec lubił gospodarstwo, lubił książki, i, rzecz dziwna, znajdował, że towarzystwo umarłych autorów dzieł znakomitych lepiej go zabawić może, niżeli towarzystwo żywych; rzadko odwiedzał sąsiedztwa swoje, a z jenerałem nie żył dla przyczyn nikomu niewiadomych, z których się wprawdzie przed nikim nie spowiadał, ale też nie nigdy nie gadał przeciw jenerałowi. U marszałkowej bywał raz na rok na imieniny panny starościanki, której trzydziestoletnia znajomość przypominała mu młodsze lata; głucha nawet wieść niosła, że był dawniej czuły jakiś stosunek między niemi, rozerwany przez nieprzyjazne okoliczności: bąc co bąc, została przyjaźń i szacuneku gruntowane na ich usposobieniach podobnych. Byłto człowiek prawy w całym tego słowa znaczeniu, poczciwy pan, uczynny sąsiad, gościnny w domu dla wszystkich; jakkolwiek sam z dawnego i sławnego w ojczyźnie rodu nie robił różnicy między herbem, a majątkiem; zarówno przyjmował zasługi kieszeni jak i głowy; chociaż sam siwy, jak gołąb, wierzył przecie na przekór zwyczajowi, że nie tylko pod łysiną rozum się mieści; lubił zapewne pamiętki, ale z nowych nie sztydził wynalazków, których istotną użyteczność był w stanie ocenić.

Nie był on lubiony w okolicy, chociaż nie jeden z sąsiadów doznał od niego pomocy, ale bano się jego otwartości, gotowej zawsze do powiedzenia prawdy, raczej w oczy, niż po za oczy; starym zwyczajem przywiózł starościance pudło konfitur kijowskich na wiązanie; po przywitaniu usiadł koło marszałkowej, a widząc milcźnie i rodzaj pomię-

szania w zgromadzonem towarzystwie zapytał głosem, w którym dobroć przeważała szyderstwo. Założę się, że mowa była o balu pana K...; nie nazywał go nigdy jenerałem, co nie bardzo mówiło za jego prawami do tego tytułu... no, i jakże się udał?

Dobrodzieju mój! chwaliłiśmy go właśnie jednogłośnie.

I nie było żadnego ale...

Prócz ścisku nie mam nic do zarzucenia temu balowi, zagadł pan Gustaw, ulubieniec pana Xawerego.

Vous avez raison; ścisk był nieznośny, une cohue!...

Ja nie rozumiem, jak można dawać bale mając taki domek...

Dobrodzieju moja, powiedz chałupę.

Pan K. nie ma zapewne domu wielkiego, ale dobre chęci...

Już to wyznać muszę, że nie rozumiem téj pasii dawania balów, nie mając po temu ani urządzenia domowego, ani wygodnych pomieszczeń dla gości.

Dobrodzieju moja, chęć brylowania...

Bo zapewne miło jest zabawić się z kochanem sąsiedztwem, ciągnęła dalej marszałkowa; mając do tego...

Naprzykład u asindzki? nie prawdaż? przerwał pan Ksawery; pokoje są większe... by prawdę powiedzieć, wszystkie nasze domy okoliczne, nie wyjąwszy nawet domu naszój marszałkowej, nie są zdadne do dawania balów.

Jednakże pamiętam, że mój kuzyn ksiądz porównywał salę moję z łańcuckimi, i nawet...

A to przez oczywistą grzeczność!.. o ile przypominam sobie jeden jest tylko na Wołyniu dom senatora urządzony w sposób...

Niezawodnie pałac jest pyszny, sale śliczne, ale bale nieznośne, właśnie dla tego, że sale są wielkie; senator nie mogąc zapłacić ich gośćmi palacu godnemi, zaprasza całe rodziny swoich officialistów i posesorów, jakoż te panie postrojone, jak cudowne obrazy, siedzą pomiędzy filarami tak nieruchome, iż możnaby mniemać, że to posągi, gdyby na nieszczęście kapela ich nie rozruszała do tańca w sposób nader zabawny.

Otoż macie assaństwo wszędzie jakies ale..

Tego nie uważałem, przerwał Gustaw, ale w rzeczy samėj sale senatora za nadto mi się wielkie wydają; wzbudzają we mnie uczucie mojęj własnej małości: nic to, wydawać się małym naprzykład, w świątyni olbrzymiej św. Piotra, małym w pomieszkaniu Boga; ale małym w sali balowej, niktąć przed kolumnami pokoju do zabawy przeznaczonego, to należy do tych uczuć, które urażają, hym się tak wyraził, estetyczność duszy naszój.

Nie zła zapewne uwaga, nieco za romantyczna, ale przynajmniej nie złośliwa.

Ogólnie powiedziawszy, dobrodzieju mój, ta balomania u nas jest zabawna, lada wioska za kilkunastu chłopów złożona, domek o czterech izdebkach, a jużciż dają bale... Pamiętasz, dobrodzieju moja, bal u naszego barona Węgierskiego?

A któżby nie pamiętał; byłto istotnie bal Węgierski.

Dawano kapustę z kielbasą do stołu.

A baron chodził z krótkim cybuszkiem i gamerką haftowaną na głowie.

Mnie kazano wybierać do tańca młodego barona; szukam go wszędzie pomiędzy huzarskimi kurtkami, których tam było bez liku, aż na-

reszcie nadybuję go o drzwi sali opartego z długim cybuchem, i imaginez vous, odpowiedział mi, że nie może tańczyć, bo... bo... tylko zaczął lulkę kurzyć.

Albo majorostwo jakim nas obdarzyli balem przeszłego roku w listopadzie, kazano nam tańczyć w stodole, a nocować w jakiejś altance na brzozowych laweczkach.

Jednym słowem godzicie się asaństwo, że balów na wsi dawać nie można, a przecież ręczę, że w zapustną niedzielę pani marszałkowa nie odstąpi od dawnego zwyczaju swego.

A to co innego!... Tu się najlepiej bawimy!.. Kochana marszałkowa jedna umie to urządzić! okrzyk powstał na okolo.

Zobaczymy, zobaczymy, co asaństwo będziecie mówić w popielec!.

Wszyscy mnie znają z tej strony, że nie lubię odmawiać, i nie dla tego ganię bal u generała, abym moje wychwałać chciała, ale powiedz mi pan sam, czy godzi się dawać bale przy interesach najokropniejszych; mając córkę, którą bez posagu wydać za mąż nie podobna.

I powiedz, dobrodziejko moja, będąc w niebezpieczeństwie.

W jakim?

A to nie wiecie, że pan Szczypkiewicz wyrobił egzekucję do mobilów, i że się generał ledwie wyprosił na ten dzień balowy.

To szczęście, że z pod nas kanap i krzesel nie pozabierano.

Mniejsza, gdyby był zabrał kolację, którą nas generał przededniem obdarzył.

Dobrze mu tak, niech mu się nie zachciewa dawać balików.

Nie lepiej siedzieć cicho w domu po za piecem.

Co za bezwstydnosc w wilią takiego dnia kazać tańczyć u siebie.

Biedna generałowa! odezwała się starościanka.

Biedny pan K. i czy nie wiesz aśka, co się stało?

O i jakże, dobrodzieju mój, nie wiem: na szczęście generała nocował pan Eugeniusz, z rana, jak powiadają, komornik z woźnym przyszli ciągnąć z pod niego łóżko i materace; ale pan to musisz najlepiej wiedzieć, dodała zwrócona do pana Seweryna.

Tak! tak! coś tam było, ale ja pojechałem dodnia.

Więc Eugeniusz został w Garbińcach? zapytała bledniejąca panna Iza.

Nie darmo go tak widocznie haczyła Karolcia, dodała czerwieniejąc się panna Olga.

Co wam tam do tego; przestańcie asaństwo od rzeczy gadać, i powiedzcie mi, co się dalej stało; czy odłożono egzekucją, możeby co pomódz można było jeszcze.

Nie chciał żadnym sposobem wracać z nami, odpowiedział pan Seweryn, którego pomięszanie marszałkównien bawiło nie pomалу.

Dobrodzieju mój, pan Eugeniusz widząc, że to nie przelewki, ratując resztę noclegu choć nie wygodnego, bo jak powiadają w chlewie jakimś, przyjął dług na siebie.

Lubię go... kocham go... to mi walny chłopiec... znałem jego ojca, godny to był człowiek... pamiętasz asindzka pana Stanisława?

Pamiętam!.. kiedyś to asindziej sekundował mu przeciw kasztela nowi; o jakbyto dzisiaj było; powiadano, że i sekundant z sekundantem rąbac się będzie, przeżyłam godzin kilka, Bóg widzi, w jakiej niespokojności.

Asindzki serce było zawsze jak złoto!.. i szczere złożył pan Ksawery pocałowanie na pomarszczonym ręku starościanki.

Więc jenerałówna idzie za Eugeniusza?

Dobrodziejko moja, nie umiem tego powiedzieć, ale gdyby się to stało, poszaleliby już do reszty jenerałostwa.

Panie Gustawie i przyjaciel pański zostaje dotąd w Garbińcach.

Ależ głośno gadali, że się ma żenić z podsędkówną, ciekawa zaga-
dła chorążyna.

Z podsędkówną?.. a to ma i rozum, jak widzę, bo to dziewczyna
z przeproszeniem asaństwa, jakich mało dzisiaj.

Miał rozum... ale... przerwał Gustaw.

Zawsze to ale przekłete.

Zmienił się Eugeniusz.... i..

I żeni się z Karolcią?.. jak nas oszukała minką swoją.

Karabin trafił raz przecie.

Nie żeni się z panną Karoliną.

Spodziewałam się tego, uważałam bowiem na balu, że daremne
były zabiegi jenerałówny.

Zapewne dziś do nas przyjedzie, bo nam przyrzekł.

Pokazuje się, że nie bardzo lubi dotrzymywać słowa danego, bo
nie żeni się z panną Anielą, nie żeni się z jenerałówną, ale... i tu nie
przyjedzie, dodał Gustaw z szyderczym uśmiechem, bo już wyjechał do
Lwowa, a z tamtąd na dwa lata za granicę.

Jakaż przyczyna, że rozerwał z tą śliczną Anielą?..

Co i dla czego?.. wieleby było mówić. Panie może to lepiej wie-
dzą odemnie.

My? my zaś?.. my nic nie wiemy.

Nie rozumiem, zkąd panu Gustawowi przyszło to na myśl, cóż
mnie do tego ...

I mnie nic do tego, a przecież pokazało się, gdym pomówił z bra-
nią Eugeniuszem, że mimowolnie grałem i ja w tej komedji dla niektó-
rych, a może tragedji dla biednego serca opuszczonej.

Marszałkówny pospuszczały oczy, jak gdyby dwóch zrachować
nie umiały.

Nic was nie rozumiem; gadajcie jaśniej.

Jednym słowem kontradans zabił miłość Eugeniusza.

Kontradans? cóż ty pleciesz Gustawie!..

Nie inaczej. biedna Anielka, Bóg widzi, jakim sposobem wlaźła w ten
nieszczęśliwy kontradans na balu, którego nie umie zapewne, i tańczyła
szkaradnie; Eugeniusz przy najlepszych serca zaletach boi się śmieszno-
ści, a dziś w świecie trzeba umieć kontradansa koniecznie; dziś zgrab-
ność powierzchowna przed wszystkim...

Gdy się o całej rzeczy dowiedział, starałem się, o ile mocy, przero-
bić Eugeniusza, ale... znalazły się przyjaciółki, które wytłumaczyły
Anieli, że on umyślnie wystawił ją na śmieszność dla dogodzenia jenera-
łównie, i właśnie gdy rozmawiał o tém z Eugeniuszem, nadszedł bilecik
od Anieli... i jednym słowem związek, z którego można było rokować
szczęście obojgu, rozerwany na zawsze.

Non proszę.. a to pięknie... Anielka pisywała do niego.

Cóż w tém zlego moje panny; pisać wolno, ale fałsze rozsiewać dla własnych widoków... o! to nie jest droga dostania mężów.

Umilkli wszyscy na chwilę, bo się bali, by pan Ksawery, który był nielitościwy czasem, nie wyciął większej jeszcze kapituły.

Najwięcej stracił na tém uprzędzony Eugeniusz, ciągnął dalej p. Ksawery; bo Aniela złoto, nie dziewczyna, prawdziwy anioł, a jakiegoż można się spodziewać szczęścia z człowiekiem, który stawianie nóg takie lub owakie przenosi nad serce. Niechże sobie tańczy kontradansa za granicą; na starość, jeżeli mu dobrze dogryzie jaka salonowa baletniczka, z którą będzie musiał wybijać takt małżeński, westchnie on nie raz za Anielką, która zapewne nie znajdzie się w towarzystwie, jak panie moje, ale za to ręczę, że z nięj żona, a matka będzie... a to, moje panie, przed wszystkim idzie... i lepij się stało!.. Wiesz co Gustawie, to dla ciebie żona!

Zarumienił się Gustaw, a pan Seweryn przycupnął, bojąc się, by ta myśl pana Ksawerego nie trafiła do jego dobrze zapiętej kieszeni.

Dosyć już o tem mowy było, dobrodziejko moja; ja mam dla was coś nowego... proszono mnie, bym rozdał bilety na piknik.

Na piknik! wszyscy i wszystkie krzyknęli głośno i wesoło.

Tak jest, na ostatni wtorek! bilet, dobrodziejko moja, po dwa dukaty.

I owszem! i owszem! okrzyk się powtórzył.

A tymczasem na boku koło okna musiało coś zająć czulego między Gustawem a panem Ksawerym, bo go Gustaw ze łzami prawie w oczach, z wyrazem uszanowania na twarzy pocałował przy wszystkich w rękę. Nikt na to nie uważał, tylko starościanka musiała zrozumieć przecuciem dobrego serca, o co idzie, i zwilżone oczy odwróciła od wesołej zgrai, a długo niemi spoczęła na twarzy rozpromienionej wyższem uczuciem pana Ksawerego, który w tej chwili przywołał do siebie pana Seweryna.

A to doskonale, ma chère amie! w niedzielę u nas, w poniedziałek u starościny, a we wtorek piknik.

C'est charmant, kochana mamó! będziemy się bawić doskonale.

Jak to będzie przyjemnie!

Dawno nie było tak wesoło, jak tego roku.

Dobrodziejko moja, bierzmy się do składki.. po dwa dukaciki.

Dawajmy! dawajmy!.. To wcale nie wiele.

Dwa dukaciki! proszę asindzki; to zapewne nie wiele, ale i ja mam dla was ładną składkę. Mówiliście tylko co, że wasze bale nudne na wsi, obmawialiście się należycie; tam był ścisk, swąd, tam kapusta, tu fajka, tam zimno, tu nie dobrze, a teraz chce się wam znowu balów. Ja nie przymawiając nikomu sam jestem waszego zdania, że takie bale prozorne i wystawne na wsi nic nie warte; jechać o mil kilka, marznąć cały dzień, przyjechać do zimnej i dymnej kwatery, ubierać się na bal, kiedy człowiekowi głowa do poduszki się skłania, czekać na objad, który oczywiście szlachecki kucharz nie tak prędko zwarzyć może — to nie wesoło!: a potem za chwilę zabawy pokutować długami, egzekucjami — to nie miło!: a potem za dobre chęci być obmówionym, szarpanym plotkami, to nie pięknie!. Dajcie tego roku pokój balom wszelkim, a natomiast złóżcie się tu ze mną na tych nieszczęśliwych, którzy się u nas w kraju popalili. Mielibyście serce tańczyć, kiedy tam płaczą; hulać,

kiedy współbracia marzną może w nędzy i głodzie!.. Wy macie dobre serca!; czasem was jaki szatan, gdyby wąż Adamowy, ukąsi, ale wnet wracacie do dawnych z krwią wyspanych uczuć. Dajcie pokój balom, a zamiast pikniku sprawcie za wasze dwa dukaty ciepłą odzież biednym, za to ja po wielkiej nocy, da pan Bóg doczekać, tu przycisnął Gustawa do serca — może was na wiosenną zabawę innego rodzaju zaproszę do siebie!..

Milczenie nastąpiło ogólne!.. ale, co dalej się stało, nie wiem! jeżeli się dowiem, nie omieszka donieść jak najprędzej.



Przez ulicę.

Obraz fantastyczny.

Printed and Published by

W. H. & C. O. G. S.

PRZEZ ULICĘ.

1.

O godzinie duchów cicho a ciemno było w mieście! ulice puste skąpemi latarniami oświetlone wyglądały, jakby chodniki pieczar podziemnych; w górze, jak skaliste sklepienie, ciemne wiszą chmury; a w nich niekażdemu oku widzialny, przez całe miasto rozciągnięty kobierzec tkany arabeskami sennych marzeń ludności miejskiej — kłótnia barw i odcieni, z jakich się składają sny tylu tysięcy namiętności i myśli uspio-nych między wczoraj a jutro . . .

Odbił się raptem chód po bruku, echem rozłbiegł się po pustych ulicach; ciemnym polotem owinięty z ulicy w ulicę błędnym szedł krokiem młodzieniec; długie i jasne rozrzucił włosy na głowie, a okiem pełnym życia młodego, w górę wzniesioném zdaje się szukać! czy uczucia chce się pozbyć czy za myślą goni? może cudzoziemiec stracony w nieznaném sobie mieście szuka drogi? . . . zajrzał światło, które z ciemnej buchało ulicy; kroku przyspieszył i stanął: po jednej stronie ulicy dom, z którego okien pierwszopiętrowych przez pasowe franki płonie światło jakby pożaru; po drugiej stronie dom zaciemniony brakiem światła i zaluzjami zasuniętymi; jedno tylko okno na pierwszym piętrze z otwartymi zaluzjami odbija jaskrawe drugiego domu światło. Czy dojrzał światło niewiedzieć, ale oko utkwiał nieruhome w ciemnego domu to jedno odsłonięte okno.

Nowe słyhać stapania; spokojnym krokiem zbliżyło się dwóch mężczyzn; z późnej kawiarniowej snac wracają zabawki: w obojętnej bowiem rozmowie rozpamiętują ostatnie zjawienia ostatniej partyi bilarowej. Światło o tak pewnej godzinie i człowiek z oczami do góry wzniesionemi czyż niedosyć dla dwóch ciekawych miasta mieszkańców, by się zatrzymać?

— Ile mi się razy zdarzy, rzekł jeden, późno wracać do domu, zawsze widzę światła w tym domu.

— I ja to nieraz uważałem; ale jak cicho w oświetlonym domie; to dziwna! Mówią między sobą, a głosem donośniejszym chcieliby zwró-

cić uwagę stojącego młodzieńca, którego postawa nieruchoma więcej ich obchodzi, niżeli ciche oświecenie; lecz ten nie ruszył się z miejsca, ani nawet spojrzął na nich.

— Za cicho na bal lub inną zabawę, a za jasno na nocny spoczynek; pan nie wie, kto tu mieszka, rzek jeden z kawiarniowych gości do drugiego.

— I owszem wiem z przypadku, że tu mieszka pan Szeł Szuleski, jak go nazywają.

— Pan Szeł Szuleski! z Napoleona jeszcze czasów; za stary na tak późne zabawy.

— On stary! gdzie tam! przeciwnie żywy i fertyczny brunet!

— Szeł Szuleski! ozwał się młodzieniec, tu mieszka naprzeciw tego ciemnego domu, naprzeciw tego okna?

— A tak! pan go zna?

— Ja? . tak! . to jest, nie znam go osobiście, ale . . czy nie jest on niskiego wzrostu, brunet z żywymi czarnymi oczyma?

— Tak on wygląda w samej rzeczy.

— Więc tu mieszka . . . tu! i zamilkł młodzieniec w paletocie.

— To pan! bogacz! mówij jeden . .

— Gdzież tam! goły! mówij drugi.

— Skądże codzień tak rzęsiste oświecenie?

— Tego i ja nie rozumiem.

— Może chory? że tak cicho.

— Może literat, pracuje po nocach.

— Wątpię! niepodobny on do tego.

Od chwili już rozlegał się z końca ulicy buczny głos, choć nieco zachrypnięty; niepewnym, tańczującym prawie po bruku chodem zbliżał się nowy nocny wędrowiec, a śpiewał co mu tchu stawało:

Czy to dzień, czy to noc!

Zawszem wesół, zawsze pian!

Zbliżył się do stojących i usłyszawszy z rozmowy, o co rzecz idzie, odezwał się: »Ale gdzie tam! ja go znam, to mi pan, tęgi pan! . . niema wioski, niema grosza intraty, a płaci, jak graf; ja jemu bóty robię; gdzie jemu chorować, gdzie jemu pisać, chyba do kochanek: bo on panie, jak ja . . i dobywszy głosu potężnego walił dalej:

Gdzie dziewczulę zobaczę

Zaraz leczę do niej w skok . . .

— Oczywiście pije sobie; a trzeba wiedzieć, moi panowie, że to najlepszy czas do picia, wiem to z codziennego doświadczenia i ja bym pewnie dotąd nie był wyszedł z pod trzech zajęczków, gdyby nie ta warta! . .

— To ona! wykrzyknął młodzieniec patrząc w okno, w którym rzeczywiście przemknął w tej chwili cień jakiejś kobiety w bieli.

— To ona! powtórzył wesóły rzemieślnik; ale to miejska warta; znam tego kwartalnego; bardzo godny człowiek; codzień prawie odprawda mnie do domu.

Widząc zbliżającą się wartę nocną, rozeszli się goście kawiarniowi, poszedł śpiewak nocny, i młodzieniec w paletocie raz jeszcze ogniste rzuciwszy spojrzenie ku oknu, z którego białą cień już znikł, odszedł do domu domarzyć koniec powieści, której początek wzbudziły w mło-

děj głowie dwie duże czarnych oczu gwiazdy, postrzeżone na spacerze . . w teatrze . . Pytanie o cichém oświeceniu pomieszkania nieodgadnionego Szefa zostało nierozstrzygnięte.

A zatem używając przywileju właściwego wszystkim powieściarzom, wejdźmy do! tego pomieszkania, a może poznamy pana Szefa Szuleskiego.

2.

A ponieważ niektórzy psychologowie twierdzą, że człowiek każdy najłatwiejszy do poznawania w rannéj jest porze, póki szaty udania, którą nocny zdarł spoczynek, nie wdzieje na nowo; tém więcéj mieszkańca miasta, który chyba z łóżka wstawszy samym sobą być może, a późniéj już tym, którym go położenie jego towarzyszy i jego zrobia potrzeby, w przeobiednich godzinach odwiedzić należy. Owoż rano dla pana Szefa zaczyna się o dziesiątęj, o téj porze już wyszedł z łóżka, już ręką zgrabnego kamerdynera w ranne przyodziany szaty, w wygodnym fotelu usadowiony, po wonnéj moce wonniejszego smoli turczyzna z hebanowego cybucha o czerwonej koralowej głowie. Gdybyśmy mogli, a raczéj śmieli odkryć tajemnice sypialni kamerdynerowi tylko znane, przekonalibyśmy się, że już od czasu obudzenia znacznie zmienił powierschowność swoje: albowiem prócz szlafroka kaszemirowego w wielkie jaskrawe palny, prócz pasowej chustki fularowej na szyi, prócz myki złotem tkanéj, lekko rzuconéj na krucze włosy, wdział on na siebie i owe czarne włosów kunsztownych pierścienie, białość wąsów i brwi poczerzył, a śniadość pomarszczonej twarzy pobiełił i wygładził, sine porumienił usta, by lepiej odbijały od dwóch rzędów perłowych zębów, które przez noc spokojnie w pudełku spoczywały. Gabinetek buduarowy, w którym Szef siedzi przed machoniowym staroświeckiego kształtu biórem, napełniony jest różnorodnymi przedmiotami noszącymi cechę wykwininego gustu pańskiego i zapewne pańskich dochodów: bo są srebra na toalecie, są i krzepitały; jest w kącie stół ubrany w cybuchy różnéj wielkości same antypki z drogiemi bursztynami; w drugim kącie stolicek ze świecidełkami, którychby się pierwsza stolicy dama nie powstydzila; pamiątki szyte, haftowane, malowane, a nad niemi, jakby nad ołtarzem godnym siebie, wisi kilka miniatur, których same piękne kobiece uśmiechają się twarze. Na biurze w kształtnym bezładzie leżą książki i żurnale, obok tabakierek kilku, których najmniejszą ozdobą jest sztucznie rznięte złoto, ale są w nich mozaiki, drogie kamienie i droższe malowidła. Szef siedzi zamyślony, a przed nim rozwarty pulares cyframi zapisany, świadczy, że do porządnego życia przyzwyczajony, co rano przegląda finansowy swój budżet; nie zdaje się być kontent z niego, jeżeli wierzyć smutnemu zmarszczeniu brwi, które na przekor sztuce daje wyraz starości odmłodzonej twarzy. Gwałtowny kłab dymu wypuścił, przewrócił pulares i z drugiey strony dobywszy kilka banknotów, rachował je po kilkakroć, jakby nie wierzył sam sobie; poruszył srebrnym dzwonkiem; w biegl kamerdyner.

— Jest kto w przedpokoju?

— Jest chłopiec ze sklepu korzennego i Abramko . . .

— Dla czegoż razem? Chłopiec niech wnijdzie, a Abramka wysłać gdzie; za kwadrans niech przyjdzie; rozumiesz? a teraz nikogo nie puszczają, chyba pana Żyraskiego.

Po chwili wszedł chłopiec z rumianą i głupią twarzą, a woń korzeni wbiegła za nim do pańskiego buduaru. Szef zerwał się z siedzenia swe-

go, przycisnął sprężynę w biurze i z wysuniętej kryjówki dobył jednę, drugą i trzecią paczkę. »Mam tu moje dziecko, słodziutkiem ozwał się głosem, już są gotowe.« Chłopiec za każdym słowem nisko kłaniając się powtarzał: »dobrze jaśnie panie! . . .«

— Kłaniaj się panu! . . . czemu sam nie przyszedł? .

— Strasznie zaafcerowany jaśnie panie!

— No dobrze! bierz, schowaj to! nie potrzebujesz tego nieść tak przez ulicę, aby wszyscy widzieli.

— Rozumiem, jaśnie panie! odrzekł chłopiec, próbując dowcipnego uśmiechu, i paczki zawinał w wielką bawełnianą kratkowaną chustkę.

— A powiedz swemu panu, żeby uważał lepiej i drugi raz nie zrobił takiego głupstwa, jak onegdaj; gdyśmy grali u prezesa, który przecie z mojej rady u niego kupuje, przyniesiono jakieś karty, zupełnie mi nieznanne, których, uważasz! ja nie chcę: bo hofmatskiemi tylko kartami grać lubię i dla tego każe je do siebie przynosić, aby się przekonać, rozumiesz mój malenki? te tylko są zgrabne, tamtemi grać niepodobna. No idź chłopczyku! i jedną ręką pogłaskał tłuste policzki chłopca, a drugą z kryjówki dobytego wściubił mu dukata. Uśmiechnął się chłopiec, ukłonił nisko, a odchodząc długo rzucał dukatem w rękę, jakby go ważyć chciał; śnać nigdy jeszcze nie widział takiej cienkiej blaszki.

Po kwadransie wszedł Abramko, niski żydek z lisią bródką a krogulczym spojrzeniem. Ofuknął się Szeł, wyprostował swoje małą figurkę, której nie mało dodawał powagi, choć ukruczał jeszcze, wyrastający brzuszek, dobrego bytu świadek. »Ja pieniędzy potrzebuję! to sobie kpisz, chodzisz, pleciesz androny, kłamiesz, szachrujesz, a pieniądze, jak niema tak niema.

Nie wiele zdawał się być żyd przestraszony: ciekawem tylko okiem rzucił na otwarty pugilares, i w odemkniętą kryjówkę, którą w tej chwili Szeł zatrzasnął. »Ja myślałem, że jasnemu panu Szełu poszczęściło się.

— I cóż z tego?

— No, to może pieniędzy niepotrzeba, a możeby jasny oddał to, co się mnie należy, bo dłużej już czekać nie mogę.

— Przestań już! mniej grożącym ciągnął głosem jasny pan.

— Ale! bo i mnie już czekać nie chcą; ja ręczyłem za jasnego pana u Goldiszera, za taką wielką summa.

— No! . . . no! dajmy temu pokój dzisiaj mój Abramku! słodszy daleko głosem mówił udobruchany Szeł; jestem zmęczony, słaby.

— Jasny pan Szeł codzień zrana lepiej wygląda, jak róża z prośzeniem.

— Mnie dziś gwałtem potrzebne pieniądze.

— A wiele? . . . odpowiedział Abramko i skrobnąwszy się w brodę, badawcze rzucił spojrzenie w koło pokoju, aż nim spoczął wreszcie na świecącej srebrnej miednicy z połączanym kubkiem.

— Pięćset reńskich!

— Ach! aż dwieście w srebrze! . . .

— Nie udawaj durnia mój Abramku! pięćset reńskich w srebrze potrzebuje.

— To trudno! ja nie mam; już tę trochę kredytu, co miałem, przez jasnego pana straciłem; już mi teraz nie dadzą i na sześć procentu miesięcznie.

— Słuchaj Abramko! ty mnie znasz; ja dobry człowiek, ale trochę niecierpliwy; jak mnie znudzisz, to już ja cię z domu wyproszę, a pieniądze znajdę bez ciebie. Moszko dawno prosi się do mnie.

— Co! Moszko! ten łajdak, ten łajdak, ten drab, wun siedział w kryminale.

— Przestań gadać daremnie! słyszę, że ktoś idzie w południe abyś mi przyniósł koniecznie pięćset reńskich i basta!

— A jak jasnemu panu będzie znowu się nieszczęścić?

— Zrób, co każe i idź precz! rozkazującym rzekł tonem.

— Dobrze! dobrze! jasny panie grafie, odpowiedział uniżenie żyd.

— Dzień dobry kochanemu panu! ozwał się głos z otwartych podwoi.

— Dzień dobry! dzień dobry panie Janie.

Po wyjściu żyda rzucił się na sofę, trochę wyższy, ale znacznie grubszy od Szefa, nieco łysawy nowo przybyły jegomość w rajtroku i z grubą trzcina w rękę. »Zmęczyłem się, każ dać lulek, cygarow« a zapaliwszy cygaro, rozpaął się pan Jan Żyraski wygodnie na sofie, a szylkretowym grzebyczkiem skape i siwiejące już włosy naciągnął na czoło, na którym, jak i na twarzy i w oczach było więcej zmarszczków i wieku, niżeli wyrazu jakiego.

— I daremnie?

— Najdaremnie! w świecie! gonilem za tym drągalem, jakby z siawką na pożar, i w cukierni i w kawiarni, wczoraj w teatrze, dziś w sklepie i na rogu przy afiszu, ale powiadam ci Szefie, jak prawdziwy żołnierz i z frontu i z flanku atkowałem; pozostał nieporuszony, jakby Anglik, tak! lub nie! krótko odpowiedział i nie tylko mnie to spotkało, namówiłem Chapinskiego, Fikowskiego i Woltyńskiego, owoż przed godziną zeszliliśmy się wszyscy w rynku. Daremne były ich zabiegi, żaden z nich nie zdołał w najmnniejszą wprowadzić rozmowę tego drabanta. Chapinski pognał za nim do łazienek, lecz wątpię, by co wskórał.

— To źle, bardzo źle, od niejakiego czasu idzie nam wszystko, jakby z kamienia. I z tym twoim kuzynkiem.

— A to odrodny! odszczepieniec! nie wspominaj mi o nim; wyrzekam się jego! Nie gra, nie pije! lata jak szalony po górach, skałach i innych głupich idealach, czyta jakby mnich jaki, a pisze coś ciągle, jak praktykant jaki! szkoda tego ogromnego majątku, którego sam użyć nie umie, a od rad moich stroni.

— Mniejsza o jego majątek! chętniebym go wam odstąpił bez najmniejszego udziału, byle tylko przestał . . .

— A rozumiem . . . przechodzi drogę panu! . O! kobiety! to jego rzecz! ale o toż i Chapinski.

— No i co? zawołali do nowo przybyłego mężczyzny, średniego wieku i wzrostu, na którego twarzy jasnej, pożółkłej od wieku i słabości, a rudemi plamami nakrapianej, rozlany jest wyraz równie prawie ni-jaki, jak u tamtych, gdyby czasem z oczu siwych nie strzelał wyraz chytrności więcej złośliwej, niżeli dowcipnej.

— Nic! zgola nic, wyparzyłem się z nim w parnej kąpieli; omal nie udusiłem się, podawałem mu gąbkę, ręcznik; rozповідаłem o Odes-sie, Kijowie, morskich kąpielach i krymskich dziewczętach — jak groch o ścianę! . tak! nic! dziękuję! więcej nic! a do tego uśmiech! uśmiech, powiem wam, niech mnie djabli porwą, szatański! .

— Prawda! prawda! spojrzenie jego i uśmiech jakby jadem tofany napuszczone . . . jak djabła Suliego! .

— Ha! ha! roześmiał się Szuleski; całą powieść fantastyczną ułożycie z jednego spojrzenia. Więc niema sposobu? . i nikogo tu nie zna? . . .

— Ale! Ale! zapomniałem wam powiedzieć, że widziałem go wczoraj chodzącego z Doleskim.

— Z Doleskim? .

— Z Doleskim? powtórzył zadziwiony SzeŹ i zamyslił się; to dobrze, bardzo dobrze! już on nasz.

— Ale Doleski to romantyk, marzyciel niebiesko migdałowy!

— Śmieście się! Doleski jest mój, mam go w kieszeni.

— Nie zazdroszczę ję tak gołego ciężaru!

— Nie traćcie czasu, idźcie! Pikowskiego i Wołtyńskiego zaproszcie na objad do mnie i sami przyjdźcie; ale, ale dla przyzwoitości wypada zaprosić grubego i piskliwego Matelskiego; nie przeszkodzi, tyle widzi, co kret . .

— Przytem nieszczęśliwy w grze, a płaci i ma częć płacić, a będzie nam parawanil tą rzą.

— Jeszcze jedno, dodał Chapinski na wychodzie, ten graf Skatyniew, ile zamiarkowałem, gdy mowałem o klubie angielskim w Odessie, nie odpowiedział mi ani słowa, ale przysięgnę wam, że kozak, i to kozak pierwszej giełdy.

— Kozak! mniejsza o to, przyjaciele moi. Jakies przysłowie powiada: złapał kozak tatarzyna, tatarzyn go niechce puścić! Po odejściu gości, pan Szuleski przeszedł się kilka razy po pokoju, głębokie zamyslenie, które zwykle najpowszedniejszą twarz rozpromienia szlachetniejszym wyrazem, zdawało się kurczyć twarz jego gwałtem odmłodzoną, wyrazem niskiej, wiekiem wkorzenionej podłości; z oczu tylko ciemnych, które niegdyś wyraziście, a nawet piękne być musiały, strzelał czasem wyraz migotny, który z pod gęstych brwi łyszczał prześlizgującym się gadem. Stań przypadkiem koło okna, które pasowa franka do większej połowy zasłaniała, spojrzal, odchyliwszy nieco zasłony, przez ulicę ku przeciwnemu domowi; rysy twarzy przeciągnęły się do uśmiechu, usta wydeły się w dół; Szuleski podobny był w tej chwili do starego Satyra; uderzył się po czole, jakby mu nowa myśl przybyła lub starą odegnąć żadał, szybkim przyskoczył krokiem do bióra, napisał kilka słów na welinowej ćwiartce i jakby mu pilnie się działo, sam wyniósł napisany bilecik do przedpokoju.

Jeżeli dotąd niepoznaliśmy SzeŹa, już go po powrocie nie poznamy, widocznie bowiem wdziewał pomału, a z namysłem owę szatę udania, którą się każdy przez dzień obleka i poważnie, skromnie, a bez przesady, nie z fertycznością młodzika, ani też z ociężałością starca, jakby czterdzieści lat minął, usiadł na sofie, wybrawszy poprzednio książkę, którą, gdy otworzył, na los szczęścia wziął do ręki i przy oczu postawił, wyraz czytania osiadł na twarzy rozpromienionej miłym i słodziutkiem uśmiechem. Po niedługim czasie oznajmił kamerdyner pana Doleskiego i wszedł mężczyzna, którego cała postawa i wyraz twarzy w zupełnej były sprzeczności z postawą i twarzą SzeŹa.

Byłto człowiek atletycznej budowy, jakby z olbrzymiej skały wykuty; jakoż miał coś posagowego w zarysach szeroko zakrojonych tak postawy jak i twarzy. W postawie widać zdrowie i siły młode na wiek życia wyrachowane i na twarzy widać młodość, lecz koło ust, pełnych jeszcze, mimo rześzystych jasnych wosów są ślady cierpień licznych i głębokich. I oczy znać, że były niegdyś błękitne, jak niebo, póki je chmury popołudniowe nie zaćmiły; na czole szerokiem i otwartem widać myśl, której darmobys szukał pod czarną Szuleskiego peruką; nie

myśl męska, z jaką się nieraz zdybiesz w mieście, ani też myśl polip, głęboko wkorzeniona w mózg, ale myśl łyskawica, która przemawia ciągle zmieniającym się hieroglifem zmarszczek czoła. Jak powiadam, wygląda, jak posąg wykuty dla dawnych wieków, ożywiony duchem dzisiejszego wieku.

Z otwartemi rękoma, z których wyleciała jakaś Kraszewskiego powiastka, poskoczył Szeź i uściskał zimno witającego Doleskiego. Daruj drogi, miodowym mówił głosem, że cię facygowałem do siebie, a ścisnął serdecznie za ręce; ale przyjacielskiej twojej, a rozsądnej potrzebuje pociechy.

— Pan odemnie pociechy? . . .

— Dziwisz się, bo mnie nie znasz dobrze jeszcze, ja żyję w świecie jak już raz żyć muszę, ale są dla mnie ciężkie godziny, w których płocha miejska pogadanka, zimna nawet książka nie wystarczy, aby wypędzić czarne myśli.

— Czarne myśli? powtórzył z zadziwieniem, i w czym ja . . .

— Ty, kochany Jóźefie! przebacź tej poufałości, możesz wiele dla mnie twoją rozmową, która może stać się arfą Dawida dla Semlowych myśli moich.

— Zadziwiony spojrzął na Szeźa pan Jóźef, wypatrzyl oczy nierozumiejące i to tylko zrozumiał, że głęboki musi być smutek, który zdołał tak postarzyć, jakoż zgrzybiała wydaje się twarz Szeźa, zeszepecona ciągłym krzywieniem się. »I skąd takie myśli przy wesoleńm życiu? . . .

— Życie wesole! i tyż, który tak pięknie i głęboko cudze opisujesz uczucie i myśli, nie możesz zrozumieć, że życie wesole jest najczęściej maską, a pod nią . . .

— Cóż ci brakuje panie? powiedz, prawdziwie nie rozumiem; masz zdrowie, wesole usposobienie, dostatki . . .

— Dostatki! czy znasz, panie Jóźefie, mój budżet; rzecz dziwna, jak dziecinnie łatwowierni są ludzie głębszym, nad codzienne, myślom oddani. Mój drogi!« a przytém tragicznie sapnął zasepiony Szeź; bankierowie zwykle najdroższe i najwytworniejsze dają zabawy w wilią bankructwa.

Zbladł, jak chusta pan Jóźef. »Miałożby być tak źle z panem? . . . Szeź milczał, a oczy nieruchome utkwil w woskowaną posadzkę.

— Toby było okropnie! . i milczenie i nieruchomość ta sama. »A ja, ciągnął dalej jākając się pan Doleski, właśnie teraz jestem w niepodobienstwie uiszczenia się z długu, ale będę starał się.

— Dajmy temu pokój, odrzekł Szuleski westchnawszy nagle, jakby się obudził ze snu magnetycznego; znam twoje okoliczności i chociaż każda najmniejsza kwota wiele stanowi dla mnie; a nawet podobno przyrzekłes mi w tym właśnie czasie oddać to, co ci tak chętnie pożyczylem nawet bez żądania twego.

— I to właśnie. co mnie zabiło: pożyczyleś mi pan na tę przeklętą grę, w którą tyle, tyle już przegrałem.

— Rób jak ja, nie graj gier hazardowych; i ja grałem, ale nauczony doświadczeniem przestałem . . . bo też mam gieniusz niepraktykowany.

— To być może, ale ci panowie, jak się tam oni zowią, przyjaciele czy znajomi pańscy, mają szczególniejsze szczęście.

— I czy nie pamiętasz, kiedy termin owego weksłu, który ręczyłem za ciebie?

Jeszcze gorzej zbladł pan Józef. »Jutro podobno!.. i to poszło w karty! Szefie! zapewne, doświadczyłem wiele przyjacieli od ciebie, ale tyś we mnie obudził tego szatana, który zadrzymał, jedna namiętność więcej! Szefie! ty nie znasz całego położenia mego.

— Mówmy o czém inném, ten przedmiot obudwóch nas zasmuca; z resztą co się tyczy mego długu i tego wekslu, nie troszcz się! znajdziemy może sposób ułatwiający wszystko.

— Sposób? jaki? . . .

— To na potém, od przyjaciela przyjm tylko jedną uwagę, narzekasz na grę, przegrałeś zapewne w tych czasach niemało, ale wierz doświadczyńskiemu; ty miewasz weny szczęścia niewidziane; ja ci nawet przepowiadam kiedyś ogromną wygranę, ale, ale, dla czegoż tracisz pieniądze dla dogodzenia . . . Spojrzeli po sobie!.. Szuleskiego oczy choć ciemne, uciekły przed ognistym wyrazem oczu jasných.

— Jak mówiłem, mówmy o czém inném; widziałem cię wczoraj z wysokim, a chudym dragalem, który dziwnie, zabawnie odbijał od ciebie.

— A to znajomość z Odessy.

— Nazywa się? . . .

— Graf Skatyniew! . . .

— To ma być bogacz wielki.

— Podobno! . . .

— I gra w karty, jak słyszałem od Matelskiego; ot wiesz co! pobróbuj raz jeszcze szczęścia!.. jak myślisz? . . .

Uważném i budzącém się okiem spojrział pan Józef na Szefa.

— Mnie się zdaje, że to myśl szczęśliwa! u ciebie nie można, ale zaprosz go do mnie; dziś na objad przyjdzie, będzie u mnie Matelski i parę osób jeszcze; kilka dobrych przejęć w djabelka, a i dług i weksel i tracenie ulubione.

Spojrział po raz wtóry pan Józef na Szefa; widać z jego oczu, że nie tak dziecinnie łatwowierny, jak się zdało Szuleskiemu, a może, czysty marmor posagu pobratał się z łatwo przystającym błotem: po chwili spuścił oczy w dół i półgłosem rzekł: »Ja nie mam pieniędzy do gry.

— To najmniejsza, tyle jeszcze znajdę dla ciebie.

— Możeby to panu przyszło z trudnością?

— Mniejsza o to, już ja się postaram, a potém, jeżeli, jak mam przecucie, poszczęści się tobie, mogą być w spółce z tobą, to i mnie poratujesz. Nie myśl długo! idź, już dwunasta, o drugiej czekam z obiadem; po dobrém winie zagramy, a kto wie, jak wesoly będzie wieczór dzisiejszy.

A gdy odszedł pan Józef Doleski, odetchnął Szef i mrknął sobie pod nosem. »Przekłète oczy tego grubasa, nieśmiem zupełnie szczerze z nim pomówić; hołysz, a hardy! i niby cnotliwy, a za pieniędzmi aż się trzęsie!.. Tfu! głupiec! . . .

Pan Doleski zaś idąc po schodach mówił do siebie.

— Co ten szatan chce odemnie; pistolet, pistolet pcha mi do głowy!

Ledwie Szef miał dosyć czasu przebrać się i zakończyć finansową pogadankę z starozakonnym, a już przybyli poufalsi; dwóch znamy już, a panowie Fikowski i Waltyński mało się od nich różnią, młodszy tylko, asobliwie Woltyński z twarzą, na której ledwo mech młodzieńczy wstąpił przed wąsem męża, a już poorana przedwczesnymi zmarszczkami, a już oczy pomęczone, jakby licznych nocy bezsennością; z resztą wyrazy wszystkie powszednie, ugrzecznione salonowem ukształceniem,

które i ciało i duszę odziewa w szaty na modny zwyczajowy krój uszyte. Ledwie czasu mieli kilka słów pomówić.

— Graf Skatyniew będzie!

— Będzie! — Będzie? .

— A więc jak zawsze? .

— Oczywiście! . Spuszczam się na waszę uczciwość! .

— O słowo honoru! jak najściślejsza współka.

— Tylko, mon cher! dodał Woltyński do Fikowskiego, staraj się być zgrabniejszym jak u prezesa onegdaj . . . gdyby nie moja przytomność umysłu . . .

W tém nadszedł pan hrabia Matelski; pocziwie jakieś panisko wykarmione i wesolutkie; istna karykatura Doleskiego; podobny wzrotem i otyłością, a nawet i twarzą równie szeroką i jasną, tylko barwą więcej śniadą, a wyrazem powszednim przypominał różnicę gliny i marmuru! . . .

Przed samym obiadem nadeszli pan Józef Doleski i graf Skatyniew.

3.

Po obiedzie wykwintnym, o którym wartoby wspomnieć słów kilka, po obiedzie kawalerskim prawdziwie, bo na nim jedzono dobrze, jeszcze lepiej pito, nastąpiła oczywiście kawa likworami towarzyszona, a po kawie lulki i cygara, przytém pogadanka, jest zwyczajnie między mężczyznami: nieco o koniach, nieco o kobietach, trochę o teatrze, więcej o kulisach: aż nareście wniesiono zielony stolik. Nie jedno w towarzystwie zaśmiało się oko wyrazem czarodziejskiej nadziei. Doleski rzucił okiem niecierpliwości i żądzy na zielone sukno, a wzrok jego roziskrzony winem, którego nie szczędził mu gospodarz, łyskał wyrazem mniej może szlachetnym, jak zwykle, ale więcej ognistym.

— Może wiska zrobimy? zapytał gospodarz północnego grafa, który prawdziwie, jak mruk siedział przez cały obiad: jadł dosyć, pił jeszcze więcej; lecz ani poczerwieniał, ani się rozweselił.

— Nie gram wiska, to nudna gra!

— Może lombra?

— Nie gram lombra! to jeszcze nudniejsze! .

— Pan hrabia zapewne amator gier hazardowych? . ja wprawdzie nie grywam, ale panowie, pan hrabia Matelski, pan baron Woltyński grywają, więc . . .

— Ja lubię hazard, ale gra mała nudzi mnie.

— Zapewne pan hrabia do gier rossyjskich przyzwyczajony i ci panowie dosyć wysoko grać zwykli, a do najbliższego sobie Doleskiego szepnął: jeżeli będzie gruba gra, to darujesz, ale dziś . . . niemógłbym! .

— Tak! tak! przeciągłym odpowiedział głosem, a zgrzytnął zębami, aż przecięte upadło cygaro na ziemię.

— A zatem, spokojnie ciągnął dalej Szuleski, faraona? kwindecza? djabełka? .

— Djabła! .

— Są karty, niech panowie chętni gry ciągną o miejsca.

— Ha! ha! zaśmiał się graf Skatyniew, trzeba zaś wiedzieć, że się śmiał często, ale śmiech ten był szczególnie zimny i szyderski; był w nim rodzaj przykrego gwizdania. Ja nie gram tylko we dwóch, tym sposobem lepiej grę uważać można.

— Największą grę robi baron Woltyński.

W czasie tej rozmowy prócz na pozor spokojnego gospodarza, ciekawe były spojrzenia drugih, jakimi polykali całego grafa moskiewskiego; Doleski stał nieporuszony z oczami w Szefa utkwionemi; a hrabia Matelski spokojnie na sofie usadowiony, niewiem nawet, czy uważał, co mówią, tak był zaprzątiony lulką i trawieniem swobodném.

— Na ostatnie zagadnienie spojrzął Skatyniew na barona przenikliwym wzrokiem, który spoczywał pod wielkimi śnieżnemi brwiami i barwą oka niepewną, jak węgiel w ciemnej pieczarze popiołem zasypany, zaśmiał się i głosem trąby albo organów olbrzymich wyrzekł z zaprzeczającym kiwnieniem głowy: »Niech panowie się bawią.«

— Ale dla czegoż! grzecznie mówił gospodarz, choć niecierpliwa nogą gniótł posadzkę z całej siły; może hrabia chce partnera na los wybrać? . . .

— Los będzie w djable! gracza zaś ja zwykł sam wybierać . . . i obejrzawszy się po stojących z wyrazem wyzywającej niegrzeczności, jakby woły lub konie na targu oglądał, dodał: grać będę z tym panem, a palcem wskazał pana Józefa.

— Zemną? radość i smutek łysnęły przez wyniosłe czoło jego

— Niech panowie siadają! zagadł gospodarz, a zarazem przygotowano karty, porwał za rękę pana Józefa i szepnął mu do ucha: Uważaj! zlituj się! nie zapalaj się! oto masz pieniądze, a czasami spoglądaj przecie na mnie! . . . A my panowie wiseczka, a może wolicie djabelka.

— Djabelka! wyrzekł Matelski między ziewnieniem, a kłębem dymu. Urządzono stół w drugim pokoju i zasiedli wszyscy prócz gospodarza, który cichym krokiem przechadzał się z pokoju do pokoju; a mimochodem poglądał czasem przez ulicę ku oknu z otwartą zaluzją.

Milczenie panuje głębokie; rzadko słyseć można skąpe graczków słowa: jedynym głosem jest dzwonienie pieniędzy i szelest poruszanych banknotów. Najciszej przy stoliku dwóch graczków. Nie mógł prawdziwie graf Skatyniew lepszego dobrać gracza, aby się sam dobitniej mógł wydać; bo nie dosyć, że pan Józef ładny mężczyzna, graf zaś szkaradnie brzydki, ale szczegółowo rozebrawszy obudwóch, panuje między nimi rażąca sprzeczność: jakkolwiek Dolski wysoki, graf Skatyniew przewyższa go o całą głowę, a chudemi, kościstemi, niestósownemi do siebie członkami, żartować się zdaje z harmonijnie zaokrąglonej postawy pana Józefa. Na długiej żyrafiej szyi stoi głowa o tyle długa, o ile partnera głowa jest szeroka; a kątów i zmarszczków ma tak wiele, że łysiną ogromną świecąc, śnieżnym puchem skąpych włosów, gęstych brwi i rzęsytych wąsów osypana, stercząca nosem olbrzymim, w bezzębną pieczarę szeroko rozwartych ust strojna, wydaje się prawdziwie jakby ułam skały raczej, niżeli twarz człowieka: wyraz tylko oczu niekiedy strzelających i uśmiech złowrogi przykuty do ust dowodzą, że ta skała żyje, ale życiem zaraźliwem i zarażeniem.

Różne były gry przemiany, przy jednym, jak i przy drugim stole; obojętniejsi z początku gracze w coraz większą wpadają zaciekłość i zapomnienie o wszystkim, co nie jest grą . . . Szcześnie gry, to kapryśne, niewidome, tyłą modłami i przekłecwy czczone bóstwo, ulatywało po nad oba stoły i przesypywało złoto kolejnie z dłoni do dłoni! . . . Nagle zmieniła się postać rzeczy; przy jednym stole zaczął ciągle przegrywać hrabia Matelski, a przy drugim dwaj zapaśnicy walczą z ciągle niezwalczoną pułą, która za każdym rzutem kart rośnie bez miary. Oczywiście ściągają wszelkie ruchy złota i banknotów; chciałyby wyra-

zem chciwości wczarować je w ręce Doleskiego, którego twarz przy grze nawet, cechy szlachetności nie postradała: zdaje się nim powodować czystsza część tej namiętności, gdy tymczasem na drugich twarzach widoczne jej brudne fusy. Z twarzy grafa Skatyniewa nic nie wycyzasz, jak otomat do gry wyrobiony, rzuca, tasuje, zbiera karty, sypie złotem, bez głosu i wyrazu; chyba czasem łysnie wzrokiem, gwizdnie usmiechem tak przenikliwym, aż mimowolnie zadrzy przeciwnik jego.

Po dniu gorącym sierpniowym chłodniejszy powiał wiatr południowy; przy zamkniętych firankach otworzono okna, i wietrzyk świeży, porwawszy tu i owdzie woń z ogrodów po oknach rozstawionych, wleciał do pokoju; nadaremnie muskał twarz graczków świeżością a wonią łagodzący ciężki zapach cygarów i lulek; nie zrobił na graczach wrażenia; nie zdołał nawet zwiąć z twarzy tego potu natężenia, którym błyszczą.

I milczenie trwa ciągle, jedynym głosem krótkie graczków wykrzykniki, dzwonienie złota i szelest banknotów. Oczy graczków, jakby oczy owych węzów południa, urokiem spojrzeń pożądliwycie chcieliby wszystko przyciągnąć złoto! . Od czasu do czasu odezwie się jednostajnie piskliwy głos hrabiego Matelskiego, jakby głos czajki po nad ciszą ulatującej stepową! .

I z łona cichości ozwał się głos muzyki powolny z początku, coraz potem głośniejszy; głos muzyki wojskowej na wałach rozchodzi się w tysiącznych przegięciach harmonijnych. Kapryśny wiaterek to głośniejsze, to cichsze przynosi tony; darmo dźwiękiem przemawia do uszu, wonią i świeżością ożywia i czaruje! darmo . . . gracze mają tylko uszy dla wdzięku złota; wszystkimi zmysłami zdają się smakować złoto w puli skupione, do której jak do fortecy niezdobytej strzelają krwią drgającą po żyłach, chciwością oczu, ządzą wyteżonych palców, namiętnością duszy! . . .

I coraz cichszy gwar dochodzi z ulicy, nikną tony muzyczne, nową świeżością wieczorną, nową wonią po przedmiejskich ogrodach skradzioną przesiąkły wietrzyk coraz silniej porusza czerwonymi firankami, coraz żywszym podmucha powiewem po twarzach graczków, swawolny igra dymem, który wznosząc się z lulek i cygarów dziwaczniemi falami sinych obłoczków przesuwa się po nad graczków głowy! . . darmo! . . łyszczą potem natężone twarze, strzelają oczy, drgają palce, a cichość coraz większa, oddechu prawie brakuje graczom, bo bula na obu stolikach rośnie coraz większa w złoto coraz czarowniejsze! . .

Już zmrok zapada! nie dla graczków! widzialne dla nich karty i złoto! . to ich świat, to ich życie! . to ich przyszłość cała. . .

I w tej chwili cichęj, swobodnej, marzeń roje rodzącej zmroku chwili ozwał się głos niedaleki, głos dźwięczny niewieści, przez okno śnać wybiegł otwarte kołysie się na skrzydłach wietrzyka i ulatuje do pokoju harmonijny jakby arfy eolskiej brzmienie, jakby śpiew aniołów z góry; dźwiękiem, czystym niewinnym i tęsknym razem chce oczyścić pokój zapowietrzony brudną namiętnością; darmo! . . ucieka nazad i znowu wraca! . coraz cichszy jakby śpiew słowika, jak mruczenie strumyka, szmer liścia! . . to głośniejszy, jak dźwięk dzwonka samotnej kaplicy, echem gór utworowany! . darmo! . . nieporuszeni grają! w puli ucho, oko, duch! .

Głos niewieści śpiewa:

Wypłyn, wypłyn z za obłoku! . . .

Dla graczków płynie pieniądz żółtą falą po pieniącój się złotem puli!
I tęskny głos śpiewającym zadzwonił wołaniem.

Ja kochanka wzywam ciebie! . . .

Wzniesione w tój chwili światła mocniejsze zrobiły na graczach wra-
żenie nad śpiew i myśl tęsknej pieśni.

Ja kochanka wzywam ciebie! . . .

powtórzył głos tęskniój i smutniój! . . ból mocny, rozpacz nawet czud-
w drżącym głosie.

Jeden pan Józef zdrzał; dostrzegł zapewne to drzenie graf Skaty-
niew i łysnął okiem szyderstwo! gwiznął uśmiechem szyderstwo! . .

— To zawzięta śpiewaczka, mruknął.

A pan Józef Doleski machinalnie tasując karty, odbiegł myślą da-
leko za zielony stolik i zamarzył
. . . . ogród wonny, wieczór wiosenny w cichem wioski ustroniu, dzie-
wicę czarnookę w gołębiój szacie i z gołębią duszą! . Dziewica śpiewa
głosem natchnionym, w którym drzy dźwięk pierwszego uczucia.

Ja kochanka wzywam ciebie! . . .

— Mnie? zapytał młodzieniec, w którego łonie zawrzały wszystkie
rozbudzone namiętności.

— Ciebie! wdzięczniejszym od śpiewu głosem odrzekła dziewczyna.
Młodzieniec w niebo spojrzął, raj uczuł w duszy.

— Banko! zawołał głuchym głosem graf Skatyniew.

Wionęło pana Józefa marzenie przed strasznój rzeczywistości bo-
jaźnią. —

Darmo głosowi towarzyszą dźwięczne fortepianu klawisze czarują-
cemi tony! . pula się podwoiła; pan Józef drzy żądzą i drzy bojaźnią,
nadzieją i rozpaczą szarpany na przemiany. W czasie śpiewu znikł Szeł
Szuleski; firanką ostonięty słuchał śpiewu, spojrzął przez ulicę ku od-
słoniętemu oknu i podobny rannemu wystąpił wyraz na twarz jego; usta
obrzydliwem obwisły skrzywieniem, czy całować, czy smoktać jaki
przysmaczek żadne.

Uciekajmy z zatrutego pokoju; przez ulicę tylko, a odetchniemy
choć na chwilę w cichem, zmrokiem, muzyką i poezją pięknej kobiety
napelnioném pomieszkaniu.

4.

W pokoju ubranym skromnie raczój, niżeli wytwornie, w którym
miarkując po niektórych sprzętach klucących się z sobą różnorodném po-
chodzeniem, brak zbytku pochodzi widocznie z niemożności, siedzi przed
forteplanem kobieta, możnaby powiedzieć dziewczyna, tak czysto, tak har-
monijnie zaokrąglone rysy twarzy białej, ocienionój więcój jasnemi pu-
klami włosów i w dół spuszczoneimi rysami, niżeli zmrokiem, który je-
dnakże coraz wieczerniejszych nabiera barw, gdyby rys jakiś głębiój
koło ust wciśnięty nei dawał poznawać kobietę.

Jest to rys pierwszém uczuciem dziewczicy wyciśnięty, a pierwszém ko-
biety cierpieniem wkopany na wieki, jest tam koniec marzeń i początek
życia istnego, nie smutek jeszcze, ale i nie uśmiech! . . Jedną ręką przy-
ciskała jeszcze klawisze, których ostatnie brzmienie drżało w pokoju,
druga bezwładnie spoczywała na śnieżnój sukni; twarzą zaś i okiem po-
gląda ku znanemu już nam oknu. Oczy czasne, błyszczące może iza

tajemną, wypatrzyła, jakby się dziwiła, że na tak czarujące wezwanie kochanki oczekiwany dotąd nie przybył! . Kto wie, jakich to myśli, jakich to uczuć w głębi serca chowanych był wypływem ten śpiew tęskny, który słyszeliśmy.

Długa to była chwila! . . gdy w tem z lekka otworzyły się drzwi, usłyszało ten łoskot, jakkolwiek cichy, ucho równie nateżone i wszedł pan Szuleski; wytworknie ufrakowany, odświeżony na nowo, a cały w niejający jak sklep galanteryjny, z uśmiechem, który Szeł całą siłą mocznej woli swojej wyczarował z dawno upłynionych lat młodszych.

Skoczyła kobieta z siedzenia swego, ale nadto była jeszcze młoda, nadto niedoświadczona, aby uśmiech, którym przywitała niespodziewanego gościa, wydał się zupełnie szczery. Stare Szeła doświadczenie zrozumiało to przywitanie, a chociaż rzucone przelotne spojrzenie na zwierciadło, dzięki zmrokowi, zadowolniło go niepomału, ze skromnością dziwną w tym wieku rzekł głosem, któremu starał się dodawać wyrazistości uczuciowej.

— Nie mnie spodziewałaś się pani! . . po chwili milczenia mówił dalej. Jeżeli śpiewnym wołaniem wezwany nie przybył, czyliż szczery przyjaciel mniej pożądanym! .

— Tak źle nie myśl pan o mnie; umiem, umiem ja cenić przyjaźń, której winnam tyle w coraz częstszej samotności mojej . . i wdzięczność!

— Przyjaźń nie jest wymagająca, a wdzięczność to lichwa; tej przyjaźni prawdziwa nie żąda, dodał z wzrastającym zapałem, któremu jakby ulegając mimowolnie przycisnął z uszanowaniem witającą rękę: »Na samotność zdajesz się skarżyć pani? . w stolicy, wśród zabaw, w szczęśliwym wieku pani! trzeba chcieć koniecznie samotności.

— Czy mniemasz pan, że nie można być samotnym wśród najbliższego towarzystwa? zabawa nie wkoło nas ale w nas samych . . we własnym usposobieniu . . .

— Wielka prawda! temu to usposobieniu, które mnie wypędziło z pośrodku towarzystwa zebranego u mnie, winien jestem tę przyjemną chwilę, którą pani z sobą spędzić pozwolisz.

— Pan nie czekasz na niego! z pół roztargnieniem rzekła.

— Wię lepiej nie mieć na kogo czekać, nie mieć istoty, którejby było miło przebaczać długie i daremne oczekiwanie.

— Pan ma towarzystwo u siebie, jak zwykle . . . liczne zapewne? . tu zatrzymała się spojrzawszy z uwagą na pana Szuleskiego, jakby czekała odpowiedzi; i jak zwykle porzuca je, by samotną odwiedzić przyjaciółkę . . W pierwszych chwilach przybycia mego do stolicy wieśniaczka omamiona, cieszyłam się, jak dziecko nowem cackiem, byłam wesoła, śmiałam się, skakałam jak dawniej; lecz pomału . . .

— Cacko znudziło! . . .

— Bom zestarzała! . Panie! ty mnie rozumiesz! . gdzie mąż mój? gdzie on dnie i nocy przepędza? darmo pytam, darmo błagam; milczy! spogląda na mnie czasem, jak dawniej, ale milczenie to jego spada kamieniem na serce moje . . . cały go dzień znowu nie widziałam . . I pan . . i przyjaciel nie ma dla mnie odpowiedzi? .

— Odpowiedzieć łatwiej, niżeli pocieszyć . . .

— Oh nie! . on mnie kocha, jak dawniej, ja znam go . . rozumiem jego spojrzenia . . dla czegoż mówisz pan o potrzebie pociechy! . on cierpi! ale co cierpi? co? jaż niemam tego wiedzieć?

— Miałabyś pani być zazdrosną? .

— Żle mnie pan znasz i jego! . on mnie jedną kocha i żadnej innej. .
 — Czy tylko miłość do kobiety jest namiętnością? . Są inne, okropniejsze, które pomalą zdołają wszelkie dawne najgłębiej wkorzone zniszczyć uczucia . . .

— Panie, zlituj się! mów wyraźniej! .

— Pani! Matyldo! pozwól niech cię tak nazwie szczery i prawdziwy twój przyjaciel . . . smutny to przyjaciel obowiązek; ale święta musi odkryć prawdę, oczy otworzyć, póki czas . . . Tak jest, piękna Matyldo, przyjaciółko! jest namiętność straszna, która, boję się, by jego nie pochłonęła, a osobliwie nie zniszczyła twojego tak drogiego dla mnie szczęścia . . twój spokój, który życiembych chciał okupić mojem . . . ta uamiętność jest gra! .

— Gra! tegom się zawsze obawiała . . . i dla tego rodzice moi przeciwni byli . . on mi przysiągł, że nigdy grać nie będzie.

— A gra przecie! .

— O ja nieszczęśliwa! i przycisnęła białe dłonie do oczu, z których gwałtem wstrzymywane dobywały się łzy.

— Gra jest grób wszelkiego uczucia! . gra zabija w duszy człowieka wszelką szlachetność . .

— On nie przestanie być szlachetnym! .

— Gracz każdy oszukany najprzód, w końcu sam . . .

— On nie przestanie mnie kochać, wszak on wie, że jego miłość, to moje wszystko na ziemi; dom rodzinny, który dla niego porzuciłam, zamknięty dla mnie i ja nikogo, nikogo nie potrzebuję tylko jego . . on mnie tak kochał . . taki zapał nie tak łatwo przejdzie . . .

— On jest namiętny! zapał to jego żywioł . . wczoraj ciebie, dzisiaj karty! . .

— Przystań Szefie, błagam cię . . . cóż robić? jak go ratować od tej namiętności? . radź, zlituj się! . .

— Radyj moje, a szczerze były, bóg widzi, odrzucił ze wzgardą; jeżeli mu ta miłość, którą go ty otaczasz, Matyldo, nie stała się bóstwem opiekuńczym, cóż zimne rady przyjaciela pomogą! . Ciebie pani ratować, to jest zadanie moje! .

— Mnie bez niego to daremnie! .

— Słuchaj pani, za grą postępuje krok w krok lichwa . . ja wiem, że ma długi.

— A ja nieszczęśliwa przyjmuję od niego dary, którymi mnie obsypuje . . . powiadał, że odebrał dług jakiś dawny i wczoraj jeszcze dał mi pierścień . . i czułam słowy . .

— Dary miały zastępować uczucie! .

— Nie wierzę! nie chcę wierzyć! on mnie kocha! . . .

— Przysięgał, a gra! .

— Prawda, okropna prawda! .

— Kredyt jego upaść musi, a jak lichwa przestanie mu dostarczać pieniędzy do gry? co będzie robił? . co z tobą pani stanie się? . Ja przyszedłem dziś do pani i musiałem to powiedzieć, bo wiem, że się zgrał, wiem, że jutro wypłata długu lichwiarskiego.

— Przedam wszystko! .

— To nie wystarczy!

— Błagać będę o poczekanie! .

— Lchwiarza? . a gdyby i poczekał! . jak przegra wszystko, co pani posiadasz? .

— To przestanie może! a ja chętnie porzucę miasto . . służyć, pracować dla niego, to będzie rozkosz moja!

— Gracz nie przestaje nigdy . . w końcu przegra jeden ostatni najdroższy skarb swój . . przegra ciebie, pani!

— Szefie żartować w takim razie nie godzi się.

— Bodajby to był żart! ale znam cię, pani! znam cię dobrze, Matyldo, tybys dla niego poświęciła się, gdyby zażądał tego, a dawnym do ciebie przemówił głosem! . Czy mniemasz pani, że w tak zepsutem miejscu, jak każda jest stolica, mąż pani nie znajdzie takich, którzy mu tę myśl poddadzą, będzie z nią walczyć zapewne, ale w końcu gnany namiętnością nową ulegnie! Czy mniemasz pani, że ten młokos w ciemnym paletocie, który cię ściga od niejakiego czasu po spacerach, teatrach, sklepach!

— Ten! z lekkim rumieńcem wyrzekła, znam go?

— To kuzyn mego przyjaciela, sławny z bogactw, ale sławniejszy z rozpusty; zdybał mię raz u swego krewnego, ale odtąd łażąc tędy postrzegł mnie wchodzącego do tego domu, spotkał na przechadźce z panią . . mierzy mnie za każdym nowem zdybaniem wściekłym wzrokiem zazdrości! .

— Zazdrości? . odrzekła z wyrazem podziwienia nie bardzo podchlebnego dla Szefa.

— Tacy ludzie nie wierzą w przyjaźni czyste uczucie . . nie dla nich świętego . . . wiem, że się już poznał z mężem twoim pani . . .

— Nie bój się pan o mnie! grób pierwój!

— Grób tobie Matyldo? o nie! . a cóżby twój stary przyjaciel zrobił bez ciebie, która jesteś jego jedyną pociechą na świecie, jedném zajęciem! . Prędzej on . . znam go, pełen niepokromionych namiętności; w chwili rozpacz . . .

— Boże mój! boże! cóż ja zawiniłam . . ja bez niego żyć nie będę . . panie Szefie pamiętaj słowa moje . . ja jego nie przeżyję . . jeżeli to prawda, że ci droga jestem, ratuj go; . .

— Nie rozpaczaj pani! . i pozwól, niech skończę; by cię ratować przyszedłem; znasz moję przyjaźń i bezinteresowność . . oto są pieniądze; ale na Boga, na przyjaźń moję zaklinam cię pani, nie mów mi ani słowa o tém, bo inaczej nie mógłbym ci być przydatnym; fałszywą dumą wiedziony, mógłby pomóc moję odrzucić: jutru zapłać sama weksel, ale pieniądze nie oddawaj w ręce; najważniejsza rzecz, by się pozbyć długu lichwiarskiego . . potem . . może . . kto wie! . ja mam myśl jedną . . może go oddalimy na czas jaki dając zatrudnienie . . jedném słowem miej pani zupełną ufność we mnie; ale jemu ani słowa! . o pieniądzech powiedz pani, żeś co sprzedała; lub, że dostałaś od rodziny . . wszakże ta familia, jakkolwiek zagniewana, odda kiedyś zatrzymywany dotąd posąg pani . . ja nie jestem bogaty, ale co mam . . i mniejsza o pieniądze . . życie moje nawet na twe usługi . .

— Słów mi brakuje! . . Szefie! przyjacielu! . nigdy ten dzień nie wyjdzie z pamięci mojej; ale powiedz jaki środek zamysłasz, by go wyratować.

— Czy nie chciał wyraźniej wytłumaczyć tego, co jemu samemu jasnym jeszcze nie było i miało być dopiero wynikiłością przyszłych zdarzeń, czy może głos jakiś i stuknienie słyszeć się dało, a zdawało się z przeciwległego pochodzić domu, przynaglały go do pospiechu; dosyć, że spieszniej niż może myślał, wyrzekłszy na prędce: »później pani opowiem, bąc spokojna!« pożegnał piękną Matyldę.

— Pamiętaj Szefie słowa moje! zawołała za odchodzącym . . . Ja go nie przeżyje! —

Szef idąc po schodach mrucał sam do siebie: »To mnie djable kosztuje; wlażę w coraz nowe wydatki . . . ale ona moją być musi! . . . taki szalony zapaleniak! utopi się albo zastrzeli! . . . a ona, młoda kobieta przeżyje go oczywiście . . . i będzie moja! . . . Czegoż mi teraz życzyć wypada . . . czyby wygrał, czyby przegrał? . . . Złoto piękne rosyjskie tego moskala złoto . . . i kobieta jak łania, pełna życia i temperamentu! . . .

5.

Dylemma to zdawał się tymczasem los sam rozstrzygać w niebytności Szefa, albowiem pan Józef zgrywał się ciągle; jego to ręki niecierpliwe uderzenie usłyszał Szuleski u Matyldy. Graf Skatyniew siedział ciągle nieruchomy; szczęście nie zdawało się robić na nim wrażenia; przeciwnie zaś na twarzy pana Józefa nieustannym ruchem zmieniały wszystkie namiętności widocznie, jakie tylko wrzały w nim w czasie gry: to bledniał, to czerwieniał. Szef nowych pożyczkał mu pieniędzy raz i drugi, lecz i te szczęście nieubłagane przeniosło do grafu Skatyniewa; przyszła nareszcie chwila, w której straszna rzeczywistość stanęła przed oczyma Doleskiego; nie rzeczywistość wielkiej przegranej; o tej nie myślał nawet, ale niemożność wygrania, bo Szef, czy nie miał, czy nie chciał dać więcej, rzekł mu z cicha: »Nie należę już do współki; dosyć już przegrałem z własnego głupstwa.«

— Nową pulę stawiamy! . . . szydyczko zagadł graf Skatyniew.

— Niemam pieniędzy przy sobie! drżącym głosem odrzucił pan Józef.

— Nic to nie szkodzi! gramy na kredkę! . . . może się pan odegra! . . . wygrać tak mało nie warto! lepiej przegrać.

Była chwila, w której resztki szlachetności pana Józefa poruszyły się i wystąpiły na twarz jego rumieńcem, który go odmłodził o lat dziesięć . . . grać na kredkę: to uczciwość stawiać na los karty, to oszukiwanie, niemając, czém przegranej zapłacić! . . . Ale to mnóstwo złota i banknotów, które skupione widział przed grafem, wywierały na nim czarodziejskie wrażenie; jakby naumyślnie szydzący moskał przerzucał dukatami; dźwięk złota stał mu się głosem syreny.

— Przegrasz! szeptał mu złośliwie Szef.

— Co panu do tego.

— Czém zapłacisz?

— Ma to być przymówka? . . .

— Rada, mój przyjacielu!

— Rada? rada! zazgrzytał pan Józef; dla tego właśnie grać będzie. I wszczeła się gra na nowo. Odszedł Szef, a z ukosa spojrzawszy ku oknu, wyraz podłej radości zaczerwienił mu twarz zjadliwym grybem: zbliżył się do drugiej gry; tam oczywiście gwałtem przykute szczęście sprzyjało przeciwnikom hrabiego Matelskiego, który na cygarach, lulkach, winie ciągle podawanem i własnem czole niemilosiernie tłuczonym szeroką pięścią odgrywał się jak mógł. Okiem znawcy rzucił Szef po rozrzuconych koło graczy pieniądzech, a hrabiego zapytał: »Hrabia znowu w nieszczęściu? . . . «

— Głupi! głupi jestem! zapiszczał, że gram; już tysiąc reńskich przegrałem gotówką, a pięćset na kredkę.

— Wątpię; by tak wiele; odrzekł Żyraski, który ciągle składał i przekładał banknoty przed sobą.

— Porachuj pan to, coś schował do kieszeni.

— Ja? ja nigdy nie chowam . . wyjąknął zaczepiony.

— Pan hrabia zawsze porządnie rachunek gry utrzymuje, łagodzącym głosem przerwał Szeź.

— Od dwóch godzin żadnego nie mam przejścia; wszystkie plije sprzyjają panu Żyraskiemu . . to przekłeta gra!

— Ja też jej nigdy nie gram.

— Postawszy chwilę przy tym stoliku zwrócił się Szeź bez myśli ku drugiemu, natężając oczy! wierzyć własnym oczom nie chce. Jakby czarem jakim przenoszą się pieniądze wszystkie do Doleskiego. Stała na progu, spogląda bliżej, to nie żarty, pan Józef wpadł w szalone szczęście. Ukąsił się Szeź w usta i zbliżył do szczęśliwego gracza; graf spojrział nań szyderczym wzrokiem. »Widzi pan! szczęście się zmieniło, nie trzeba było od spółki odstępować! .

— Czy jesteście dalej w spółce? . zaszeptał Szeź.

— Niechciałeś pan sam, teraz gram za siebie.

— To pięknie, szczególnie pięknie! .

— Racz pan nie przeszkadzać nam, zagadł graf, ja lubię cichość.

Skoczył Szeź; rad był odpowiedzieć, ale, by prawdę wyznać, mimo tytułu wojskowego podstarzały Szeź tchurzem podszyty. Wrzawa w drugim pokoju. »Nie gram! nie gram! . piszczał hrabia, dwa tysiące reńskich to nadto i same plije, to obrzydliwie!« powstał gracz, wniesiono puncz; wziął się do niego hrabia pałający zemstą; wzięli się i drudy.

— I cóż, zgrał się grubas? .

— Wygrywa teraz ciągle teraz i nie chce teraz spółki.

— Patrz! patrz! nową kupę banknotów pociągnął.

— Trzeba przerwać grę koniecznie.

— Złoto, jak szalone, sypie się do niego.

— Zapoić go! . nie wiele też mu brakuje . . a potem . . potem! . . popatrzyli po sobie wzrokiem prawdy . . Okropna, obrzydliwa ta ich prawda! . Zaniesiono puncz do nich.

— Ha! czaj! . . zaśmiał się graf Skatyniew; lubię czaj! . pij pan na wiwat szczęściu swemu! Jakoż piją wszyscy, jedni z rozpachy, drudzy ze śmiechu, panowie koledzy ze złości, która się im wyszczerza z dobrze porumienionych twarzy. Niknie szklanka po szklance, trunek dodaje zapału wzbudzonym namiętnościom, jeden graf Skatyniew ciągle nieruchomy zdaje się blednieć jeszcze; gdy tymczasem pan Józef nabiera coraz ciemniejszych barw na twarzy; szczęście służy mu bez ustanku.

— On go zgra! . . a nam? .

— To niegodziwie! . co tu robić? .

— To łotr! nam, nam to należało.

— Wydarł nam go z garła.

Pan Józef za każdym szczęśliwem pociągnięciem traci rys po rysie, wszystkie zarysy szlachetne, które go odróżniały od reszty towarzystwa; zbrzydł, spodłał w tym szalonym szczęściu, łakomą ręką przysuwa złoto, składa piramidy dukatów, warstwy banknotów, ale mu jeszcze nie dosyć, gwałtem chciałby przyciągnąć pieniądze, których przeciwnik dobywa bez końca.

— Więc bez spółki! szepcze Szeź, to jest postępek niegodziwy.

Nie neodpowiada; bo czucie honoru w nim zamilkło; czucie do złota zagłusza wszystkie inne.

— Pan nieszczęśliwy! szepnął baron do grafa; lepiej przestać, lub gracza przemienić.

— Bez uwag i rad! proszę bardzo; ja lubię przegrywać, odpowiedział i zaśmiał się po swojemu.

— Ale bo hrabia daruje, że prawdę powiem: dużo się piło, a za-
tém nie wiele zwraca się uwagi na grę . . . szepnął pan Pikowski.

— Powiem panu nasze ruskie przysłowie: »Pijanica prespita
sia; durak nikagda!.

— Jednakże radziłbym hrabiemu uważać na grę przeciwnika, do-
dał swoje pan Woltyński, nienaturalne jest jego szczęście.

Odwrócił się graw Skatyniew, do brzęczących mu jak muchy nad
uchem, i zmierzyl ich wzrokiem szyderczym i wzgardliwym, zaśmiał
się potężnie i rzekł: »Moi panowie! . . . z tym tylko może panem grać
mogę zupełnie bezpiecznie . . . znam i rozumiem grę, a gram nie od dzia-
siał . . . Niech panowie idą do swego gracza.«

Wściekają się koledzy, ledwie nie pękają ze złości; szczęśliwego
gracza chcieliby w łyżce wody utopić, odstąpili się wprawdzie, ale nie-
ruchomi, o kilka kroków oddalwszy się patrzą na ten stolik.

Pan Józef Doleski słyszał może i rozumiał wszystko, ale co jemu
świat cały; tu sunie się do niego ślepego szczęścia dłońią sypane złoto,
a z nim świat tylekroć wymarzony, świat pełnego życia, dotąd zamknięty
dla niego, a ciekawy i czarujący jak zasłoniiony posąg w Sais. Za każdą
kupą złota śmieje się doń nowe uroczyste marzenie. I rzecz dziwna! graf
Skatyniew, jakkolwiek zimny i nieruchomy, zda się rozumieć, co się
dzieje w duszy jego przeciwnika.

— Przegrałam! powiada, pierwsza aktorka z opery byłaby za tę je-
dnę stawkę . . . pierwsza taniecznica za tę pakę banknotów . . . niepra-
wdaż panie? .

Pan Józef omamiony szczęściem, rozgrzany winem, rozpalony na-
miętnościami, siłą lepszej chęci dotąd usypnami, bez myśli rzuca karty,
które ciągle na jego padają stronę . . . chciwości okiem gra tylko, a du-
szą zamarzył

. . . podróż, która dawno mu słą uśmiechała urokiem scen najrozmai-
tszych; ta kupa imperialów; to Paryż z całym życiem wykwiśnięm, ży-
ciem opery, kulis, śpiewów włoskich, bajaderek laskonogich i lekko-
strojnych, rozmów, książek; wszystkie powieści z swemi barwami najka-
pryśniejszymi tańczą mu w migotnym złota blasku, jak Elfy przy księ-
życa świetle . . . Ta plija! . . . to góry szwajcarskie z dzwonkiem trzód pa-
sących się, śpiewem góralskim i echem skał siwogłowych! . . . Banko! wy-
grał; to niebo włoskie! słońce południa! posągi i obrazy! arcydzieła sztuki!
! . . . Wezuwiusz i bezgraniczne morza zwierciadło, arcydzieła natury!

I gracje równie omamieni pomilkli; widok szczęścia, jakiego niewi-
dzieli dotąd, zagłuszył nawet kipiącą w nich zazdrość; siebie samych za-
pomnieli oczarowani widokiem tego złota, za którym gonić ich rzemio-
stłem całym, a którego na ich zielonostolikowym świecie nigdy tyle nie
widzieli; to dla nich widok cudowniejszy nad wszystkie widoki natury
i sztuki! . . . Nawet hrabia Matelski, który dotąd podnosem wciągał zapo-
mnienie przegranej, a kłębam dymu wypuszczać się zdawał jej pamięć,
stał w rzędzie drugich; zadziwionym, od trunku zgłupiałym wzrokiem,
patrzą na tych dwóch graczy, których zarzysy w coraz fantastyczniej-
szych okazują się przemianach.

Jakoż w rzeczy samej coraz ciekawszy widok tych dwóch twarzy tyle różnych od siebie, za każdą wygraną pan Józef Doleski wydaje się czerwieńszy, pan graf bledszy! Za prawdę zdaje się, że grubiej jeden od szczęścia, gdy drugi chudnie od nieszczęścia; chwytając złoto i papiery, pan Józef już granatowy na twarzy, zdaje się ciągnąć w siebie to prawdziwe dzisiejsze życie — życie złota! . a graf Skatyniew niknie prawie, jakby mu ubywało cząstek życia za każdym dobytciem nowych pieniędzy, których tyle już na stole, iż ledwie oczom swoim chcą wierzyć nieodstępni widzowie. Życie Don Juona wymarzone i spodziewane drga na twarzy i w całej postawie pana Józefa; w grafa zaś postawie całej nieruchomość posągu Komandora! . I całą tę scenę ubiera dym lulek i cygarów w fantastyczne pół świata, pół cienia, a otacza milczenie prawie grobowe!

I grają przecie dalej, bo gra jest pragnienie nienasycone, złoto, trunk niegaszący pragnienia! . pan Józef ledwie wydała pochować wygranę; graf Skatyniew ledwie wystarczy dobywać ciągle nową przegranę; a prócz tego rosną na stole stosy złota, góry banknotów, wznoszą się i piętrzą z szybkością cudu, już prawie miejsca na karty brakuje! . . . Senli to, czy mara? . . myślał widzowie, a z coraz większym uszanowaniem patrzają na ten skarb, jakby z tysiąca nocy wyczarowany.

I brakło miejsca na stole; runęła góra złota i dukat po dukacie, imperiał pe imperiale, leje się ze stołu rzeka złota, toczy się skłnięciami falami, pieni się banknotami, które złożone na wierzchu, towarzyszą szeleszczącym głosem dzwinkowi złota, patrzają na to zjawisko odurzony widzowie; oczami, jak łyskawicami, ścigają ten potok, który pomału, poważnie, czarująco, dzwicznie postępuje ku nim! . . Już pod ich nogami! . kropłą dukata dotknął się nogi barona; pianą banknota stopy Szefa . . Zadrzeli oba dotknięci ruchem iskry elektrycznej; krew zawrzała szalonym wirem i bije w oczy, które ledwie nie wyskoczą, w palce, które mimowolnie krzywią się i wyteżają gadzin ruchem. Jeszcze stoją nieruchomi, choć ich ciągnie ku ziemi — głowa zapewne pijana! . . Lecz coraz grubszy bałwanami pędzi złoty potok od stolika; coraz czystsze, coraz większe uderzają w ich stopy krople!

To już nadto! to nad siły człowiecze, nad siły światowego poloru, który niknie przez wezbraną naturę! . . . pierwszy baron uległ jako najmłodszy, a zatem najżywszy; i padł na posadzkę jak długi. Na ten widok jeden po drugim rzucili się wszyscy na ziemię; ostatni po dłuższej walce z lepszym usposobieniem, mniejszymi złota potrzebami i za wielkim do tej ekspedycji brzuchem, rzucił się hrabia Matelski.

I nuż nurzać ręce w złoty potok . . kto prędnij! . kto więcej! . na tym sztuka! Potok się leje, pieni, ale i ręce nie próżnują: czerpią nad ludzkim natężeniem, ile tylko w dłonie pomieścić mogą! . A gdy potoku braknąć zaczęło, zdziczeli chucią złota, pijani, zapamiętali zaczęli zagładać jeden drugiemu w przepelnione garście; jednemu drugiego garść wydaje się większa — nuż wydierać!

Zaczęła się scena okropna i śmieszna razem . . . Na posadzce woskowanej bujka salonowców o złoto; jakby tych z grubiaństwa wyśmianych chłopów w karczmie! . Na nic wychowanie, stosunki przyjacielskie, uwaga na świat, na przyzwoitość, nawet na suknie wyltwerne i opięte! . Złota! złota więcej! oddaj, bo wydrę! . I wydierają sobie taką walka jest okropna! . A śmieszna stronę tej bójki któż nie pojmie, gdy sobie wyobrazi, włosy, kawałki sukien, rękawiczki wonie-

jące, łańcuszki, pierścienie padające trupem na pobojuwisku; a nad tem wszystkiem peruka Szefa Szuleskiego, arcydzieło weneckiego włosomistrza, rozczochrana, jak głowa Nemezys! godło téj wojny godne! .

Rzucamy zasłonę na tę scenę! .

I nastało milczenie głuche! . okropne! . nieprzerwane ani głosem człowieka, ani dźwiękiem złota, ani szelestem kart i papierów banknotowych! . . milczenie długie, kilkogodzinne! . .

6.

Pierwszy brzask dnia przebijał się dalekim lunem przez pąsowe firanki, walczył z blaskiem dogorywających świec, które długimi knotami więcej dawały cienia, niżeli światła . . .

Łysnęło coś wzdłuż posadzki; to Szef się podniósł z ziemi pozbawiony peruki; głowa bez włosów, pościerane smugami po twarzy rozbiegłe malowidła, wypadłe zębów rzędy, zmarszczki występujące z po za malowidła, a nadewszystko wyraz przejścia i uczuć gwałtownych, z któremi zasnęły, okazały go po raz pierwszy może w całej prawdzie starości zgrzybiałej i podłego usposobienia. A gdy pamięć pomału powróciła, ciekawem i chciwem rzucił okiem na stolik zielony — pusty! . cyframi kredą pisanemi zamazany! Niema grafa, niema złota! . znikło jak sennie widziadło! pan Józef Doleski z głową zwieszoną rozwalony leży na fotelu przy stoliku; cichym złodzieja lub kochanka krokiem zbliżył się Szef, wyciągnął szyję, patrzy: znikła czerwoność z twarzy pana Józefa; błąd bładością niemą i zimną; drząc bierze go za rękę, zimna! porusza go z lekka, nieruchomy, jak posąg, skamieniały, umarły! .

Zadrzał stary grzesznik! . ku oknu spojrzął! . ale wnet ogładnąwszy się na leżących kolegów, wpuścił ukradkiem długie swe palce w kieszenie nieboszczyka; snąc szuka wygranej od grafa; snąc mu jeszcze spółka w głowie! . kieszenie jedna po drugiej okazały się puste; potracił ciałem; padło na ziemię! . własne przeszkukał kieszenie z ruchym niepokojnym i niecierpliwym — puste! . Na ziemi, na miejscu wczorajszej walki — pusto! karty pomięte leżą tu i owdzie na posadzce, drugie podarte wciśnięte w pokurzone śpiących pięście; u drugich kawałki cygarów, fidibusy! . a złoto! . złoto! . pusto i próżno! . .

Klasnął w dłonie z rozpaczny! . »Gdzie pieniądze tego niedźwiedzia? gdzie jego ogromna wygrana? . Umarł! . Klasnął w dłonie z radości Matyllda moja! . «

Zbudziło się zacne towarzystwo. »Co to było? . Sen! długi sen!

— Mnie się śniło, żeś wygrał stotysięcy!

— O mnie skarb! ogromny skarb! ale szatan nad nim, podobnie teńki do tego Skatyniewa.

— Pfe! pfe! upoiłeś nas Szefie, to nieładnie . . zgrałem się i głowa mnie boli.

— To wino z nowego sklepu korzennego musi być ipsymowane.

— Ależ ten grubas śpi, kontent, że wygrał, leży jak nie żywy.

— Bo nieżywy! .

— Co mówisz Szefie! .

— Patrzenie sami! . umarł! . .

— Umarł! tam do djabła! . Chwilą krótką pomieszania uczcili pamięć nieboszczyka.

— A pieniądze wygrane? I wszyscy spojrzeli nagle na kolegę Szefa a baron z gorzkim rzekł uśmiechem. »Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje.«

— Słowo honoru! musiał się zgrać, potem . . . ja nie mam . . .

— Pfe! to głupstwo! aż to? apopleksya! . . . to fatalnie! jeszcze jakaś kommissya będzie! świadectwo! . . . bodajże cię Szeffie z twoim objadem, winem, tym głupim djabelkim i apopleksją! . . . Taki zdrów! . . . proszę kogo!

— Krótka szyja zwyczajnie! . . . szyderczo zagadł Żyraski do hrabiego.

— Moja dłuższa! zapiszczał i wyciągnął biedak krótką szyję, jak mógł.

W kilka chwil niesiono trupa przez ulicę. W oknie otwartém siedziała Matylida; wzrok jój bezsennością i oczekiwaniem zmęczony dostrzegł zarazem ciało męża i młodzieńca w paletonie, na którego młodziej szczerzej, otwartej, a doradnej twarzy częste współczucie w czystej skłniło się łzie. Krzyk preraźliwy doszedł do uszu Szefa siedzącego przy toalecie.

— Moja Matylida! moja! mruknął, ale też mnie kosztuje! . . . ten Skatyniew i jego bajeczne pieniądze nie mogą mi wyjść z głowy . . . Ubierajże mnie czém prędzej! nie mam czasu! . . .

Do dnia graf Skatyniew wyjechał do Londynu, czy do Paryża, i przepadł bez wieści! . . .

Matyldę Szeff przed pogrzebem męża nie odwiedził, czekał bowiem na wezwanie tej biednej, opuszczonej w nieznanym mieście kobiety; czekał; sądząc po sobie, aż mu sama w ręce wpadnie, jak mucha w dawno rozstawione sidła obrzydliwego pajaka; a po pogrzebie Matylida wyjechała . . . gdzie? nie wiadomo! . . . i przepadła bez wieści! . . .

We dni kilka siedział Szeff samotny i smutny, chociaż i peruka odnowiona i strój odświeżony; spoglądał przez ulicę ku oknu przeciwnego domu — pusto w nim? . . . niekoniecznie! . . . Same stare kobiece twarze — jak na złość, wyszczerzają mu się z tamtąd . . . Zamarzył Szeff; po raz pierwszy od dawna pomyślał szczerze nad sobą . . . Długi wszędzie; poszły miednica, kubek i cybuchy i tabakiery! . . . trudno ostać na posadzce dotychczasowej, a wygrana coraz cięższa, bo świat codziennie mądrejszy . . . Graf Skatyniew czmychnął, jak majk jaki; z grubym Doleckim poszły pieniądze do djabła . . . a Matylida, ta piękna Matylida, co to miała umrzeć po mężu? . . . kto wie, może i umarła? . . . lecz gdzie i jak? . . . Pojechałby Szeff na zwiady, ale ta przekłeta pedogra, niepomna na to, że serce nie starzeje, usadowiła mu się w nogę, a do tego codzienny budżet, wymaga codziennej jego bytności! . . . Biedny Szeff pomyślał sobie: inaczej to szło za młodu.

We dwa lata! . . . Szeff zawsze młody z wierzchu, płynie, jak może z wodą i przeciw wodzie, niezmordowany i niezbadany; siedzi znowu ze wzrokiem wlepionym w owe okno, którym tyle obojętnych i tyle brzydkich odtań wyglądało twarzy, gdy nagle Abramko zamiast gorąco oczekiwanych pieniędzy wniósł list . . .

— Jakieś państwo! . . . grafowie! . . . pojechali do Karlsbadu i zostawili list do jaśniego pana.

Szeff otworzył, kilka banknotów wyleciało . . . czyta . . .

»Dług winny z ściśle wyrachowanym procentem odsyłam z wdzięcznością, jaka się należy za jego dla mnie chęci, o których objaśnił mi należycie kuzyn pańskiego przyjaciela, rozwiozły młodzieniec w ciemnym paletonie — mą Matyldy . . .

— Długo myślał! . . . »Dobrze i to! wyrzekł w końcu, starszy i zi-
mniejszy o dwa lata Szeł Szuleski chowając banknoty.

Więc nie umarła po pierwszym mężu? . . . dla czego? . . . jak? . . . którądy?
Niewiem, bo niezbadane bywają czasem tajemnice w życiu ludzkim.



— Któżby mógłby powiedzieć, czyżby nie było to...
— Moja dziewczyna...
W kilka chwil nieszono trupa przez ulicę. W oknie otwartym do-
wno, widać było bezsensowność i ockiwaniem zmęczony do-
tęgi narazem cała męka i młodość w palenisku, na które młodej
krawędzi otwartą, a dotychczasową czołową współzawodniczą w czystej skłibo-
nie, która przetrwała, w ten sposób...
— Moja dziewczyna...
Koturnów i jego bajki...
Dobrze, więc...
— Moja dziewczyna...
W dwa dni siedział Szeł samotny i smutny, rzucając i bierząc od-
powiedzi i strój odwieczony: spoglądał przez ulicę ku oknu przyciśnię-
tego domu — puła w nim, niekonkretnie! . . . Same stare kłopoty, ten
że jest na chłob, wyzwalając mu się z tamtych . . . Namiar Szeł: po raz
drugi od czasu pomysłu swego nad sobą . . . Długo wzdychał
i wylądował, kłopot i ciekawość i tabele . . . trudno orzec na pozór
nie dotychczasowy, a w tym czasie ciężko, do światu codziennie mu-
rowany . . . Gwałtownie wybuchł, jak maść żółta, z ciekawym bole-
m położył pięciomętrowe do diabła . . . a Malyba, to piękna Malyba, co
i miała umrzeć po nocnym, kto wie, może i umarła, lecz gdzie i jak?
opiekałby Szeł na zimno, ale ta przetrwała pogodnie, niepomna na to, że
głównie nie starczy, niechwała mu się w noc, a do tego codzienny pod-
ręcznik wymaga codziennie jego pilności! . . . Młody Szeł powstał z sobą
i poszedł do domu.
W dwa lata! . . . Szeł zawsze młody z wierzchu, płynie, jak młody
wół i przegrywa wódki, niezmordowany i niezdany; siedzi znowu
o wyłożeniu wpiętnym w owe okno, które tyle objawiało i tyle
wykładało, kiedy wyślizgało towarzysz, gdy nagle Adamko zamieszł gorzko
czekających pięćdziesiąt minut...
— Jakże powstał, gwałtownie! . . . pojechał do Kalsztadu i zostawił
złoty do jasnego pana.
Szeł otworzył, kilka banknotów wyjechało . . . czyta . . .
»Płak winny z bólem wytychającym poceniem objawian z wzdę-
ciem, jak się należy za jego dla mnie chęć, o którejś objawia-
nie należyście kuzyn pańskiego przyjaciela, rozłożył młodość
i kłopotem paleniskiem — na ścianie...

na wyższego zaś chudszych i ciemniejszych licach zdrowie duszy; w błękitnych oczach tamtego spojrzenia jasne, spokojne, jakby połysk drzemiący morza fali; a tego ciemnych oczu wzrok żywy, połamany, jakby blask fali, połuszczonej lekkim podmuchem rannego wiatru; tamtego czoło otwarte i szerokie choć niskie, wyrazem dobroduszości, zda się patrzeć na okalający go świat; gdy drugiego czoło wyniosłe, zdaje się sięgać w górę niebo!.. Z poza wysokości poręczy krzesła starościny wygląda twarzyczka okrągła, biała i piękna, zdawałoby się, że to głowa marmurowego aniołka ze rzeźby kominowej wystająca, gdyby nie blask oczu ciemnobłękitnych, które rzucają spojrzenia żywe i niespokojne prawie, to do okna ku młodzieńcom, to do siedzącej staruszki; gdyby ta białość lica ukraszona rumieńcem życia; gdyby nie usta w półotwarte czy do uśmiechu, czy do westchnienia.

Milczenie panuje głębokie w sali: żadnym słowem nie śmieją przytomni przerywać pacierza staruszki, który miarkując po ruchu ust i po powolnym przesuwaniu bursztynowego różańca zmawia w tej chwili. Skończyła pacierz i oczy pobożnie ku górze wzniesione spuściła pomału w dół, starościna mimo ośmdziesiąciu lat, miała rysy przyjemne jeszcze, a w tej chwili dziwnie je uślachetniał wyraz prawdziwej pobożności, który jakkolwiek nieraz lepiej nam się podoba na twarzyczce młodej i pięknej, jednakże najprawdziwiej wydaje się na twarzy sędziwej, jeżeli tylko ta wolna jest od wyrazu brudnych namiętności. Powaga twarzy wiekowej lepiej godzi się z modlitwą, która powinna być wolna od wszelkiego młodzieńczego roztrzepania; i starego modlitwa lepiej jest zrozumiana, bo rozpamiętywaniem zimnem, nie chwilowego zapалу popędem, wywołana, a skuteczniejsza być musi, bo o tyle szczerza, o ile starzec czuje się bliższym rozwiązaniu tej ostatniej życia zagadki. Z wyrazem niewymownie słodkim spoczęła na otaczających, jakby radość i pociechę z góry czerpane chciała podzieli między nich, po chwili uśmiechnęła się z lekka.

— I za was modliłam się, moje dzieci, zanadto bowiem roztrągnięte myśli wasze.

— Chyba Władzia, przerwała dziewczyna, i pana Zygmunta, który marzy już o tem słońcu południowym, za którym mu tęskno w ojczyźnie; bo moje przeciwnie...

— Ty modliłaś się? Wawrzynko! zapytała starościna rumieniącej się dziewczyny.

— Ja nie babciu! bo mi żal serce ścisła.

— Żal! jakby echo odpowiedział głos wyższego młodzieńca.

— Czyżto na wieki! dodał niższy z wyrazem, któremu darmo dodawał naturalnej swój wesołości, przebijają się w nim odcienia smutniejsze.

— Dzisiaj się mniej modlą; mówiła staruszka dalej, jakby idąc za popędem pierwszej myśli: nie mówię ja, by trzeba ciągle klepać pacierze; dobre uczynki to najmiłsza Bogu modlitwa; ale przecież nie odzwyczajajcie się dzieci moje od niej... krótko, ale szczerze!.. w dobrej doli modlitwa jest powinnością, a w złej pociechą!

— Wierzyć i modlić się!.. wyrzekł wyższy młodzieniec z zapalem; są chwile, w których wiara i modlitwa są koniecznością!

— Byle nie zapalonej wyobraźni, przerwała staruszka; modlitwa z czystego źródła pochodzić powinna: wam młodym modlitwa jest poezją!

— Najszczytniejszą!

— Nie rozumiałeś staruszki mój młody Zygmuncie! kiedyś, jeżeli takim dotrwasz, jakim jesteś dzisiaj, zrozumiesz różnicę pobożności twojej i mojej! . bąc tylko dobry, a nauką wieku nie wypędzaj uczuć młodeńca; tamte do głowy, a te bierz do serca! Władzia mego kochaj i pilnuj jak brata! . wart jesteś być bratem memu Władziowi! . .

— Bratem Władzia! powtórzyła dziewczyna, kochającym bratem . . mego brata, dodała ciszej . . będziesz nim panie Zygmuncie? nieprawdaż? . wszak prawdziwy przyjaciel, to więcej, jak brat . . .

— Więcej! więcej! z pełnym uczuciem odrzekł Zygmunta.

— Dobry Zygmuncie! rozczulony dodał Władysław.

— Ty nawzajem Władziu bąc bratem panu Zygmunтови, ciągnęła starościna poważnie i nie bez znaków rozczulenia, masz listy rekomendacyjne, które ci matka przysłała, te ci otworzą najpierwsze domy za granicą i tam nie zapomnij przyjaciela, który godzien ze wszechmiar, by z tobą wszędzie bywał, a z tobą spodziewam się, że pan Zygmunta Orlecki wszędzie dobrze przyjętym być powinien . . .

Spuścił Zygmunta oczy, a usta ścisnął, jakby ból jaki uczuł.

— Co też babcia powiada? . czyż pan Zygmunta potrzebuje być przez kogokolwiek wprowadzonym?

— Wawrzyńko! Wawrzyńko! . . chłopcem powinnaś się była urodzić, tak mi żywością, a roztrzepaniem przypominasz mego Kazia, ojca twego . . Na to wspomnienie spuściła oczy w dół i zamarzyła staruszka.

A spojrzenie, jakie rzucił Zygmunta na Wawrzyńkę, było tak wymowne wdzięcznością, aż zadrzała piętnastoletnia dziewczyna.

— Prawda! prawda! . . inaczej dziś rzeczy bierzecie, jak je brano dawniej; czy lepiej, nie chcę ja staruszka sądzić, urodzenie poszło dziś w poniewierkę; chcieć urodzeniem tylko błyszczyć, jest śmiesznością zapewne; ale wiercie mi moje dzieci, trudniej zbłądzić, gdy się ma przodków imienia i cnoty niepokolanej. Daruj kochany Zygmuncie! tobie przykrość wyrządzam, nie w zły to myśli powiedziałam, bo wiesz, ile cię cenię; ale szczerą jestem, co w myśli, to i na ustach, a potem . . może lepiej być pierwszym swojego rodu, niżeli ostatnim; lepiej nieznanie nazwisko sławą ochrzcić, niżeli znane obryzgiwać hańbą lub głupstwem! . Tobie Zygmuncie rokuję sławę; i kto wie, może kiedyś Staroliscy szczyścić się będą, że z ich domu wyleciał Orlecki, by wrócić do ojczyzny orłem . . .

— Babcia choć o dawnych czasach mówi, a przecie, jak powie czasem, to jakby słowami naszych poetów . . .

— Pani! dzięki ci za życzenia, dzięki za opiekę, jakięj doznałem; jeżeli talentem moim użyżyszę jaką sławę, tobie pani winien ją będę, ciebie pani czcić zawsze będę . . .

— Pamięć moję, chyba, dobry Zygmuncie! . moje jutro niepewne.

— Ja niechcę babciu, ja niechcę tego! . .

— Przy pożegnaniu możemy to sobie powiedzieć; wszakże zawsze do widzenia się dzieci moje.

— To ja nie pojedę! nie pojedę! ja nie chcę babci porzucac.

— Pojedziesz Wawrzyńko, bo tak żąda matka twoja, a rodziców słuchać uczy boskie przykazanie i ja ciebie uczyłam . .

— Ależ babcia to więcej, niż matka.

— W stolicy lepiej się bawić będziesz, niżeli u staręj babki; otoczona przepychem nowożytnym modnego świata, zapomnisz starą babkę

wraz ze starym jój domem i staroświeckimi gratami, jak dziś nazywają starych moich przyjaciół.

— Nie zapomnę do śmierci!

— Byleś nie zapomniała tych nauk, które, chociaż czerpałaś ze starych ust moich, równie są dobre, jak gdybyś je z welinowej wyczytała książki; i równie się dziś przydadzą, jak się dawniej przydawały, bo cnota jedna być powinna i przy naszych wyśmianych robronach i przy waszych fontaziach.

— Ja nie chcę babciu jechać; niech babcia do mamy napisze . . .

— Jedź moje dziecko! tobie potrzebne towarzystwo; wolałabym może o parę lat później; więcejbyś była ustalona w zasadach dobrych i więcej uzbrojona do walki: wasze bowiem życie stołeczne to ciągła walka; pamiętaj o tém, nieufaj temu, co ci będzie przychodzić z przyjemnością i łatwością, wybieraj to, co ci będzie trudniejszym a przykrzejszym, z resztą Bóg czuwać będzie nad tobą, jeżeli Bogu oddasz się szczerze.

— Boże! mój Boże! ja się nigdy nie przyzwyczaję do miasta.

— Przyzwyczaisz! i prędko nawet; z uśmiechem odpowiedziała starościna.

— Przyzwyczaisz się Wawrzynko! dodał Władysław, chcąc namięlnie przerwać smutek, który wszystkich ogarnął: bale, teatr, muzyka, a nareszcie młodzi i przystojni kawalerowie jak zaczęła zapraszać do mazura i prawie grzeczności, kto wie, co od dziś za rok . . .

— Pfe Władziu! mniemałam, że lepiej znasz siostrę; odpowiedziała i wyprostowawszy się stanęła w całej okazałości swojej giętkiej, zgrabnej, dziewiczo zaokrąglającej się postawy, a z oczu strzelił wyraz tak pewny, szczery i dumny razem, że w tej chwili wydała się o lat kilka starszą. Pojadę, bo tak żąda matka moja, bo tak każe droga babcia; ale potrafię poznać się na błachych grzecznościach i ocenić wedle wartości . . . za to zaręczam . . . i podniosłszy rękę z uroczystym wyrazem rzuciła ku oknu spojrzenie, którego, czy przypadkiem, czy naumyślnie, najlepsza i najwymowniejsza część padła na Zygmunta.

— Starościna zwróciła się ku niej i z wyrazem niewymownej niepokojności patrzała na nią. Wawrzynko! Wawrzynko! pamiętaj na to, com ci nieraz mówiła: kobieta mniej dumy mieć powinna, a więcej pokory . . . nie bądź tak pewna siebie!

— Daruj pani, że się sprzeciwić muszę jój zdaniu, ale sama chwyląc otwartość przebaczysz mi; wiara w siebie jest najmocniejszą tarczą kobiety! . . .

— To poezya! mój młody Zyguncie! biada kobiecie, któraby inną tarczy nie miała, prócz wiary w siebie; za ciężka to tarcza w chwili walki: nie słuchaj go, nie słuchaj Wawrzynko! a jak przyjdzie dzień walki, rzuć ją od siebie i złóż ręce do kornej modlitwy . . . Mężczyźnie duma i wiara w siebie przystoją, osobliwie tobie, Zyguncie Orlecki; ale tobie, moja Wawrzynko, sieroto bez ojca, tobie wnuko moja! . . . Tu uderzyła staruszka dłoń o dłoń, przerwała nagle i z bolesnym wyrazem rzuciła oczy na przeciwległą ścianę, z której poglądał ku niej portret mężczyzny w żelaznej zbroi: było portret nieboszczyka starosty, którego każde wspomnienie, choć po latach tyłu, poruszało boleśnie niepocieszoną wdowę.

Nastąpiła chwila milczenia, w której wszyscy przytomni zamarzyli stósownie do swoich usposobień. Korzystając z tej chwili, wypada mi

czytelników moich bliżej oznajmić z działającymi osobami. Starościna owdowiawszy, trudniła się wychowaniem dzieci, a gdy te dorosły i po mału oddaliły się z domu rodzicielskiego, najdłużej został przy niej najmłodszy syn Kazimierz, którego, właśnie może dla tego, że najmłodszy, lub dla wielkiego podobieństwa do zmarłego starosty, najwięcej kochać się zdawała; chcąc to ostatnie dziecko swoje zachować przy sobie, ożeniła go wkrótce z panną dobrego rodu, majątną i, jak się zdawało, dobrego wychowania. Omyliła ta rachuba starościny; synowa po ślubie odkryła usposobienie zupełnie niezgodne z usposobieniem męża i matki mężowskiej; roztrzepana, zalotna, lubiąca stroje i zabawy, zozrzućna, a przytém niezgodna i kłótliva, zamieszalał spokój domowy starościny; pan Kazimierz, choć prędko i gwałtowny, długo znosił przez wzgląd na matkę, później zaczął z domu wyjeżdżać, a w końcu nie mogąc znieść ciągłych niepokoїв domowych, wiedziony przytém uludną nadzieją, która tylu wówczas Polaków ogarnęła umysły, w napoleońskie zaciągnął się szeregi. Kilka lat wojaczki odbywszy, mocno ranny pod Dreznem powrócił do Lipowa; tam walcząc codziennie z domowym niesmakiem umarł po kilku latach, czy w skutek ran, czy, co podobniej, w skutek zniszczonego przez żonę szczęścia domowego i zdrowia; opiece matki polecił dzieci swoje: Władysława i Wawrynę, których wychowanie poruczył jej ostatnią wolą swoją. Co uczyła starościna, Bóg to jeden widział, bo jemu tylko jednemu w samotnych zwierzała się modlitwach: synowa szczęśliwa, iż się mogła pozbyć dzieci, jako niepotrzebnych dla niej ciężaru wyjechała do stolicy, by tam trwonić czas, zdrowie i majątek. Wawryzna wolno wychowana pod okiem namiętnie ją kochającej starościny, nabrała tego niepodległego usposobienia, z jakim ją widzimy, przytém dobra, otwarta i szczerą była rozkoszą babki, która z rzadkiem w wieku swoim rozsądkiem dawała jej nauki, na jakie nie jedna dzisiejsza guwernantka z profesyji zdobyćby się nie potrafiła. Tak doszła do roku piętnastego, gdy nagle matka zdająca się dotąd zapominać o dzieciach swoich, przysłała po córkę, którą chciała wprowadzić w salony stołeczne; nie chciała się starościna sprzeciwiać woli synowej, chociaż w głębi duszy bolała na to rozdzielenie, a osobliwie okropne przewidywała skutki z powodu nieugruntowanych jeszcze zasad wnuczki, które tak łatwo zniszczyć mogły matczyne przykłady.

Zygmunt Orlecki, był to syn mieszczanina ze stolicy; poznał się w szkołach z młodym Starolskim i zawiązała się między nimi przyjaźń szkólna tak łatwa zwykle, choć trwalsza nieraz nad inne; a że babce trudno przychodziło odmawiać Władziowi, nie rozdzielni przyjaciele przyjeżdżali co roku na wakacje do Lipowa. Zygmunt miał wrodzony talent do malarstwa, jakoż skoro starościna dostrzegła pierwsze młodego chłopca po ścianach i papierach bazgrane próby, kosztem swoim kazała go uczyć w stolicy przez najlepszych mistrzów; talent Zygmunta rozwijał się coraz więcej i coraz więcej przyzwyczajala się starościna do tego młodzieńca piętnem wyższości nacechowanego; Wawryzna żywa i namiętna, od dzieciństwa przyzwyczała się wierzyć w Zygmunta, jakby w wyższą jaką istotę, a kochając Władzia, przywiązała się i do przyjaciela jego. Ostatni rok przepędzili obadwaj młodzi ludzie cały prawie w Lipowie, albowiem starościna chcąc dogodzić obudwom, postanowiła wyprawić ich razem za granicę. Było rok szczęścia dla młodych ludzi, rok marzeń szczytnych, rok, w którym młode umysły, czy w swobodnej rozmowie, czy w samotnem dumaniu, czy w wspólnym czytaniu

dzień najnowszych, poili się tą najpiękniejszą i najprawdziwszą poezją; poezją wiosny życia, niesklóconego, ani skwarem lata, ani mgłą jesieni, ani lodem zimy. Lecz ponieważ wszystko przejść musi, przeszedł i ten rok niepowrotny i przyszedł dzień rozstania: pożegnanie to musiało być smutne dla młodych ludzi, lecz oni mieli jeszcze nadzieje, któremi barwili przyszłość swoją; jakże okropne być musiało dla starościny, ośm-dziesiątletniej kobiety, której wszystkie już nadzieje dawno zasypane mogiłami pamiętek, gdy przyszło żegnać tych dwoje ostatnich najmilszych wnucząt . . . może na zawsze! . . .

— Tout est pret! . . . ozwał się głos od drzwi wchodowych i weszła do sali przysłana przez matkę Francuzica jakaś otyła i stara, ale tak dziwadnie strojem, rużem i przedrzyżnieniem mody odmłodzona, że wydawała się jeszcze śmieszniejsza, niżeli nią była w istocie; najokropniej odbijała od starego dworu i poważnej starościny; wiekiem tak podobna, a strojem tak różna, wydawała się paszkwilem wysłanym przez świat dzisiejszej mody, do świata mumii zachowanego w Lipowie.

— Tak! już czas dzieci moje! chodźcie tu wszyscy! niech was błogosławię na drogę! Stanisławie, dodała i spojrzała raz jeszcze na obraz męża; to twoje wnuki pobłogosław je także i módl się za niemi! . . . Chodźcie tu dzieci moje! . . . klękły rozczulone wnuki, a Zygmunt o pare kroków dalej stał z oczami łyskającymi od wewnętrznego poruszenia. I ty chodź Zygmuncie! przed błogosławieństwem, jak w kościele wszyscy są równi! . . .

— Błogosław! wykrzyknął klękający Zygmunt; błogosław mnie, tko mojej przyszłości! . . .

— Bądź szczęśliwy Zygmuncie Orlecki, kochaj moje wnuki i nigdy im tego nie zapominaj, żem ja ciebie kochała . . . Złożyła ręce staruszka nad głowami klęczących i krótką zmówiła modlitwę . . . »Bogu was oddaję! . . .

A gdy powstali, Zygmunt tak szczęśliwy, jakby po odebraniu korony, podał rękę Wawrzynie; jęj ręka zadrzała przyciśnięta silnie, a z oczu strzelił wyraz nie tak zasępiiony pożegnaniem, jak raczej ożywiony przywitaniem niby nowej czy myśli, czy uczucia, czy nadziei! . . . Jeszcze raz pewne rzuciła spojrzenie na Zygmunta, potem przcisnąwszy ręce do wzruszonych piersi, dobitnym i prawie męzkim wyrzekła głosem: »To błogosławieństwo przyniesie nam szczęście! . . .

— Amen! powtórzyli drudzy.

— Comme c'est tendre! odezwał się paszkwil, przewracając oczyma na węższe boki . . .

— Żegnajcie się dzieci moje, żegnajcie mnie i jedźcie w imie boże!

Jeszcze pare spojrzeń, pare uściśnień, łez nawet kilka, wyrazów wpółurwanych, które uczucie z piersi wyrzucało i uczucie w piersiach zatrzymywało; jeszcze staruszka obwinęła szyję wnuczki z troskliwością codzienną, jakby na przedhadzkie wyprawiała — i cicho zrobiło się w sali, cicho jak w kościele, bo staruszka z wzrokiem wlepionym w obraz męża, modli się; cicho jak w grobie, bo staruszka została już tylko z pamiętką a modlitwą.

Na brukowanym dziedzińcu dwa stały powozy śniegiem opruszone; śnać długo czekają, a w sieniach nieme i wymowne pożegnanie: brata, siostry, przyjaciela; pożegnanie miejsc, w których tak lubo przeszły godziny szczęścia i spokoju; pożegnanie przedmiotów, z którymi zaprzyjaźnili się od dziecka. Tu się kończy przedmowa ich życia, w dzieło ży-

cia kroczyć musi młodzież! . wiosna, igraszki dziecinne, marzenia młodzieńcze zostają w tyle; napród dziewico, naprzód młodzieńce w życie! . Jest to chwila niewymowna; trudna do opisania; każdy ją przeżył, lecz nie każdy świadomie! . .

I podał Zygmunt rękę Wawrzynie siadającej do powozu, w którym znudzona Francuzica mruzczała nie bardzo eleganckie, choć francuzkie przekleństwa . . Drzał młodzieniec, jak liść wiatrem poruszony; dziewica ścisnęła go silnie za trzymającą rękę i w tej chwili uczuł zdziwiony i odurzony Zygmunt papier wsuwający mu się do ręki; nad twarzą powiał oddech młodej dziewczyny, a w ucho wcisnęły mu się słowa:

— Przeczytasz Zygmuncie w Rzymie dopiero! .

— Zaskrzyphiały sanie jedne i drugie; a za bramą dwa śniegu tumany popędziły w dwie przeciwne strony.

W jednym powozie obok drzemiącej Francuzki siedziała Wawrzyna smutna, ale bez łzy w oku: wstydzila by się płakać! bo dzieckiem wyszedłszy z domu babki, czuje, że dziewczicą mężną i silną jedzie w świat nowy . .

A w powozie drugim milczenie długie i smutne; wiatr tylko słychać, który znajomym świstem zda się żegnać młodzieńców jadących z zimnej ojczyzny ku cieplejszemu południowi. I bezmyślnie prawie wyrzekł Zygmunt w półgłosno:

A ja tęsknię z wieczora
Z rana tęsknię i płaczę,
Bom pożegnał nie wczora,
I nie jutro zobaczę.

2.

Przywitanie.

Było to jednakże szczególne wydarzenie w salonie lipowskim, które się przytrafiło w lecie roku 1841.; bo proszę tylko posłuchać

Jak to było zwyczajem od kilku miesięcy, siedziała w godzinach popołudniowych gospodyni tego salonu, pani hrabina Rowoska, dama dobrze w stolicy znana z dobrego tonu, którego jest nieomylną ochmistrzynią; oparta o kanapę rzuciła książkę, a zadarty swój nos do góry wzniosłszy, zdaje się nie tak marzyć o myśli jakiej, jak raczej wietrzyć za nią: tuż koło niej siedzi jej córka zajęta przerzucaniem świeżo nadeszłych ze stolicy żurnalów . .

Dalej nieco siedzi przy oknie mężczyzna ciekawej ze wszech miar postawy; twarz jego brzydka, stara i zgrzybiała nawet, policzki zapadłe żółtością starego pergaminu powleczone, usta sine, oczy zaś bez wyrazu prawie, jak dwa gasnące węgle popiołem starości zasypane, ledwie świeciły się przez zgrabne okulary złote; więc to starzec! ale strój jego jakby z ostatniego żurnalu wyjęty, pełen wytwornosci i lekkiej świeżosci, barwy sukien żywe, wiosniane, jaskrawa chusteczka skrzydlatym węzłem spięta na wyschłej, stwardniałemi żyłami, jakby sękami sterczącej szyi, bogactwo włosów na głowie ciemnych, choć się czerwienieją przeciw światłu, młodzieńcem go być wydają: siedzi nawet na taboreciku tak filigranowym i tak się lekko o niego opiera, iż prawdziwie dziwić się wypada, jakim sposobem na tak małym miejscu może pomieścić i lata swoje i ociężałość zgrzybiałego ciała i pedogryczne napady. Gdyby nie wyraz chciwości i namiętności źle wygaszonych, który się wyszczerza z obwisłych ust jego, zrobiłbym mu zaszczyt porównania go do na-

szego pocziwego starego zamku krakowskiego, którego sędziwe zarysy ubrało dzisiejsze pokolenie tak zabawnie, za pięknym, za zielonym i za świeżym młodych szkarpów strojem. I siedział młody ów starzec głęboko zajęty czytaniem olbrzymich prześcieradłowych dzienników zagranicznych.

Owoż dotąd nic nadzwyczajnego w salnie lipowskim, który od roku już przyzwyczaił się do téj trójki nierozdzielnej . . . proszę jeno słuchać dalej!. Nagle cichość poobiednią przerwało stąpanie mocne męzkie i gwałtowne; które nie zdawało się zwiastować gościa godnego salonu pani hrabiny; drzwi się otwały z łoskotem godnym karczmy, a przynajmniej parafiańskich sąsiadów Lipowa — i wszedł!. wszedł!.. proszę uważać.. nie anonsowany jakiś jegomość w paletocie podróżnym. Wietrzący nos hrabiny wyciągnął się naprzód; poszły za nim oczy trójki zdziwionej, bo nowo weszły żadnemu z nich nie był znajomy, a co gorzej, stanął we drzwiach otwartych z wyrazem tak szczególnym, iż trudno odgadnąć, co w nim przewało, zdziwienie, radość czy smutek? . Stoi, jakby przykuty, czyli raczej przyklepiony do zielonego sukna, którym, dla większej wytworności, wybito posadzkę salonu; ogląda się w koło tak niezgrabnie, jakby w lesie drogi szukał, ani myśli witać siedzącej i zapyrzonyj gospodyni, która jednakże rzutem oka doświadczonogę dostrzegła pod podróżnym paletotem przystojnego, pełnego życia i ognia czarnookiego młodzieńca z bródką na twarzy świadczącą lepiej o obywatelstwie wielkoświatowém, niżeli tego dowodził nieprzyzwoitém wstąpieniem swoim do salonu.

— C'est inoui! rzekła córeczka.

— Et on laisse entrer! dodała mamunia.

Temi słowy zbudzony młodzieniec, szybkim krokiem przyskoczył do kanapy, rzucił damom przelotny ukłon, w którym więcej było istotnej znajomości świata, niżeli chęci brylowania i wyrzekł głosem nadzwyczajnie dźwięcznym: »Panie darują memu roztargnieniu, ale wszedłszy w to miejsce, tyle myśli i przypomnień tłoczyło mi się do głowy, iż prawdziwie odszedłem od siebie, już tak dawno nie byłem tutaj . . . tak dawno!« dodał po chwili, rzucił się na krzesło i uderzył w głowę, jakby chciał odegnąć przykre myśli swoje

Pojrzały damy po sobie z zadziwieniem trudném do opisania i posunięciem aż do pół przestrawu; stary elegant zaczął pomalu zbliżać się do kanapy z przezornością kota.

— To bardzo pięknie! przemówiła hrabina; mais . . .

— Mais . . . powtórzyła córka.

— Qui êtes vous; dodała matka.

— Przebaczcie panie, ale mniemałem być im znajomy, mniemałem, że mnie panie poznają choć lat tylko minęło . .

— Zaręczam . . . zapewniam pana . . . odpowiedziała hrabina, która prawdziwie, mimo całej światowości swojej, nie wiedziała, co jej mówić wypada, mając bowiem wzgląd na ułożenie nieznanogę mogacę zwiastować ważniejszą nad pozór osobę, bała się, by się nie nadto wymówić. »Je suis très charmée, ale je n'ai pas l'avantage; Mariette vous connaissez monsieur?

— Mnie się zdaje, żeś my na komedyi, odrzekła dowcipnie Marysia.

— Jestem . . .

— Bon jour ma tante! ozwał się głos od drzwi wchodowych.

— Vous êtes bien aimable ma niece, żeś o nas nie zapomniała.

Na ten głos młody niewieści, jakby elektryczną iskrą poruszony skoczył młodzieniec z siedzenia swego; chciał pobiedz ku wchodzącej; lecz postrzegłszy wyraz zimny, obojętny i prawie zadziwiony na pięknej twarzy, stanął nagle i z widocznym rzekł przymusem. »Te panie mnie nie poznały; panna Wawrzyna zechce łaskawie.

— Wawrzyna! z uśmiechem pełnym złościwości powtórzyła córka pani hrabiny; cóż to Wawrzyna? . .

— To po polsku, odrzekła matka pogardliwie; zamiast Laury, dobre słowo w botanice.

— Zechce łaskawie przedstawić mnie tym panion, ciągnął młodzieniec dalej.

— Nowo przybyła rzuciła wzrok długi i przeciągły na mówiącego; z twarzy nie zrozumieć, czy go poznała, z ciąglą bowiem obojętnością zrzuciwszy kapelusz podróżny, przystąpiła bliżej i rzekła: »Tak jest w rzeczy saméj, nie myślę się, to pan Zygmunt Orlecki, towarzysz podróży biednego Władzia, que je vous presente ma tante.

— Pan Orlecki! przeciągnęła matka.

— Pan Orlecki! powtórzyła córka.

— A przypominam sobie, de vous avoir vu au feu starościny matki mojej; pan z zagranicy powraca? słyszeliśmy wiele o jego talencie malarzkim.

Zygmunt nie nieodpowiedział, nie wiem, czy słyszał nawet słowa, których tylko głos niewyraźny dochodził uszu jego; on patrzył w lica pięknej Wawrzyny, która stała o pare kroków od niego, w całej okazałości rozkwitłej urody dziewiczej, patrzył w lica białe jak marmur i jak marmur nieruchome: żaden rys przelotny nie zdradza jej myśli wewnętrznych, bo tam na czole jakby wieńca królewskiego brylanty świecą: duma, obojętność i wiara w siebie. Piękniejszego posągu nie widział Zygmunt w całej podróży swojej.

Przez usta niepięknej i dawno przekwitłej Marysi, przeleciał uśmiech szyderczy. »Ja nawet widziałam jeden obraz tego pana, podobno trzy parki snujące nic życia bardzo naturalnie; osobliwie udały się panu nożyce . . . te nożyce . . . i swiszczącym uśmiechem zakończyła koncept, którego by dowcip zrozumieć, trzeba było wiedzieć, że ojciec Zygmunta był krawcem.

— Soyez le bien venu! przerwała matka; mój salon otwarty dla wszystkich talentów; grace á Dieu, minęły czasy, w których uważano na urodzenie, za feu starościny matki mojej, to jeszcze z herbarzem w rękę przyjmowano gości do tego samego salonu.

— Pani starościny arystokracja, odpowiedział Zygmunt, była arystokracją aniołów: o znam ja ten salon! . . I jeszcze raz obejrzał się, lecz tylko w pamięci mógł go poznać, tak przez jeden rok potrafiła hrabina zmienić dom lipowski, który po śmierci starościny działem spadł na nią. Obrazy poszły precz, na strych zapewne; ich miejsce zastąpiły obicia w świecące szerokie kwieciste pasy, a meble u hrabiny rokoko; a przecież to rokoko, co niby ma być powrotem do starożytności, jakże się różni od prawdziwego dawnego przystrojenia, rzeźbami i kształtem niezgrabnie naśladowanym zdaje się przedrzyżnić owe dawne sprząty, których najlepszą ozdobą był istotny pożytek i trwałość: zdaje się, że jędrne i mocne wyroby dawnych rzemieśników jakiś naśladowca nieudolny rozdarł, rozdzielił, rozszkutował, wiatrem nadął,

by starczyły na te tysiączne rznięte, dęte i krajane meble, na których niebezpiecznie siadać ku pełnej wygodzie.

— Dział te arystokratyczne przemieniły się czasy, my iniego jesteś-
my zdania; najlepszy tego dowód w naszej pan widzisz familii; ma lilla
a epousee pana Widmot, który był un des premiers medecins w Lon-
dynie, que je vous presente ici.

Zygmunt darmo słuchał, on nie rozumiał, bo nie mógł rozumieć wy-
razu na twarzy pięknej Wawrzyny, którą słyszeć i widzieć tyle dni,
miesiące i lat żądał, on nic nie widział choć się w koło oglądał, bo nie-
mógł dostrzedz na twarzy pięknej Wawrzyny tego wyrazu, o którym
jadąc do ojczyzny marzył dnie i noce. Jemu się zdawało, jakby był
w pół obudzony; co sen, co rzeczywistość, pojąć jeszcze nie może,
w głowie mu się mąci, serce bije namiętnie, oczy rzucają tak ogniste,
tak gorące spojrzenia, a przecież posągowa oziębłość pięknej Wawrzy-
ny nie topnieje przed tym ogniem, przed pigmalionowemi spojrzeniami
jego piękna nieożywia się Galatea; i chce obudzić się, domyśla się, że
w tym salonie Wawrzyna inną być nie może, ale w samotnej chwili! . .
o tak on zdybie dawną niewinną Wawrzynkę; wszak jeżeli się nie myli,
tylko co rzuciła choć przelotne, ale naumyślnie ku niemu zwrócone
spojrzenie . . . Czy co było w tém spojrzeniu czy nie? . on malarz,
poeta, młody, marzony swój raj w nim widział i uspokoił się na chwilę,
a postanowił mężką wolą zrzucić z siebie ten pozór niezgrabności tak nie-
przyzwoity w salonie zacnej hrabiny.

— Pan zapewne osiedlić się zamysła w ojczyźnie, zagadł pan Wid-
mot zdejmując złote okulary; i sprawiedliwie, talentem zarabiać, to
bardzo pięknie, a jeszcze piękniej do ojczyzny przywieść zarobiony ka-
pitał, aby nim rozsądnie działając . . .

— Teraz jest wiele dóbr do przedania; ciągnęła pani domu.

— W tej chwili, kiedy Zygmunt myślał właśnie nad odpowiedzią
stosowną i ku hrabinie się zwrócił, spojrzała na niego Wawrzyna z uwa-
gą niezwykłą.

— Ja myślę, że nie talent bogaci, ale raczej usposobienie osobiste,
które nie zawsze bywa skłonne do składania kapitałów; wielu znalazłem
artystów za granicą, którzy więcej dla sławy, niż dla złota pracowali . .

— Mais c'est tres beau; ale pan jesteś zapewne pour l'utile! . .

— Ja mniemam, że w tej mierze najlepiej byłoby połączyć pożyte-
czne z przyjemnem . . . Ale nadto już długo trwa roztargnienie moje,
które mi pozwoliło wejść w stroju tak zaniedbanym . . .

— Będziemy mieli dzisiaj wieczorem une petite reunion, tak sobie
po wiejsku . . nous vous attendons monsieur, dodała z ukłonem pra-
wie żegnającym: a gdy odszedł Zygmunt, hrabina obróciła się do bra-
tanki i rzekła z wyrazem pogardy: „Ten twój malarz jest obrzydliwie
goły, jak uważam.

— Szkoda, bo wcale nie brzydki; nie prawdaż ma cousine? .

— Dla czegoż tak jesteś milcząca dzisiaj, czyś nie słaba Lorko? .

— Myślałam w tej chwili o Władziu, którego mnie pan Orlecki
żywo przypomniał . . .

— Jakkolwiek zdaje się być goły, wypada go zatrzymać, dodał
Widmot idąc do swojego stolika: niech nam prznajmniej kilka obrazów
wymaluje; czytałem w Konstytucjonalu rozbiór jednego obrazu histo-
rycznego, który był na wystawie w Paryżu i wielce się podobał; Kon-

stytucjonal całe dwie kolumny zapisał o młodym Orleckim; Anglik jeden kupił u niego ten obraz za 20,000 franków.

— Vous avez raison monsieur Widmot, il faut exploiter ce talent, a ty kuzynko pomożesz nam do tego . . .

— Ja? . . . zapytała i po raz pierwszy od czasu wejścia do salonu twarz jej ożywiła się lekkim ledwie dostrzeżonym rumieńcem: żartujesz sobie Marysiu, ale czas uchodzi, trzeba pomyśleć o tualecie . . .

— Warto nawet moja Lorko; będziemy mieli kilka panów, ale jakich? . . . nie powiem, bo to siurpryza dla ciebie.

— Une pauvre surprise assurancement . . .

— Au contraire ma cousine, une bien riche . . .

— By zrozumieć uczucia, jakie miałyby Zygmuntem przez czas strojenia się na bal, trzeba by się wcielić w to usposobienie jego namiętne i burzliwe; wejrzeć w to życie artystyczne, jakiemu się oddawał przez sześć lat niebytności w ojczyźnie; to życie podróże pełne, poezyi istotnej i wymarzonej, całe tygodnie poświęcone pracy pożytecznej, pożerającej wszystkie siły żywotne młodzieńcze, a w nagrodę całe miesiące oddane marzeniom poetycznym, nieba włoskiego, gór szwajcarskich, najpiękniejszych dzieł sztuki, które pojąć i zrozumieć Zygmuntem umiał doskonale. I przez ten cały czas jedna myśl towarzyszyła mu do pracowni, wlewała mu się w pęzel, w doborze barw jaśniała, w wyborze przedmiotów przewodniczyła, do pracy nagliła i pracy była najmiłszą nagrodą; i przez ten cały czas jedno uczucie grało w piersi młodej, żadnym fałszywym oddźwiękiem niezepsutej, jedno na fali morza adriatyckiego, jedno na szczycie Alp, jedno i niezmienione w towarzystwach żyjących, i ponętniejszych dla niego towarzystwach posągów i obrazów!. A dziś czemuż przyczepić tę nie złotą myśl do rzeczywistości; jakiemu uczuciem spoić wczoraj i dzisiaj!. Nie opisać zinnemi słowy tego stanu, którego on sam nie jest dokładnie świadomy.

Zjeżdżali się goście i zaczął się bal; wszedł w towarzystwo młody Zygmuntem. Zgroza go przejęła, na salę balową, przemienioną galerię wychodzącą na ogród, rodzaj staroświeckiego krużganku, w którym za starościny pozawieszane były stare zbroje i obrazy rodowe i historyczne razem, bo dzieje przodków starosty ściśle wplątane były w dzieje ojczyste. Znikły zbroje, znikły stare obrazy; ich miejsce zastąpiły nowożytnie malowidła, sztychy, litografie! . . . Jeszcze więcej cudzym ujrzał się Zygmuntem w tym domu, który mu tak długo zastępował miejsce gniazda ojczystego; tu w tej galerii gonił pierwsze swe myśli, bańki mydlane; tu widok zbroi dawnych uszlachetniał duszę jego; widok obrazów rozszerzał pierwszą iskrę talentu: tu on przeżył tyle chwil swobodnych bogatych w rojoną przyszłość, a niepowrotnych!. Towarzystwo mu nieznanę; wśród ludzi jak w pustyni szuka twarzy człowieczej! . . . Są stroje, kwiaty, brylanty, jakby w pierwszym salonie ukształconego świata, ale rozmowa . . . Zimno biednemu poecie, malarzowi! . . .

Długo szukał, zdybał nareszcie, nieśmiały stanął przed nią, chciałby uklęknąć, jak przed królową, chciałby uściśnąć, jak siostrę lat młodszych; ucałować jak towarzyszkę podróży, marzeń i pracy. Snać grzeczna Wawrzyna zlitowała się nad nieśmiałością jego i przemówiła do niego głosem, głosem owym, który mu ciągle z ojczyzny przez góry i przestrzenie dolatywał zawsze żywy, zawsze dźwięczny, zawsze miły. »Pan Orlecki daruje moje przywitanie; byłam zmieszana tyłą razem pałkami przeszłości . . .

Więc nie zgasły te pamiętki! . . . wykrzyknął.

Czyż przyjaciel brata mego może wątpić? . . . w tém rój młodzieży, który z dala okalał piękną Wawrzynę, zbliżył się do mówiących. »Spodziewam się, że pan się na mnie nie gniewasz, a na dowód tego nie odmówisz pierwszego kontrandansu . . . i znikła, jak widziało w chmurze czarno strojnej młodzieży . . .

Po chwili zagrała muzyka; z trudnością przepychał się Zygmunt przez cudze sobie tłumy, które go ciekawemi mierzyły oczyma. Ułamki słów w koło niego mówionych ledwie go dochodziły; a szkoda! z nich bowiem byłby się dowiedział, jak ważną dla wielu ciekawych jest figurą.

Kto to taki? pytają, jedna i druga, matki, obciążone córkami wisząciami u ich boku, jak pełne, prześcigłe, upadkiem grożące grona obok wysychającego drzewa rodzinnego.

To cudzoziemiec!

Coś ma szlachetnego w sobie!

Jakoś mu zle patrzy z oczu.

To bogacz! wrzeszczy do ucha jeden nowiniarz żartobliwy.

To hołysz! szepece głosem trąbki drugi złowieszczy nowiniarz.

To śpiewak włoski!

Mamo! mamó! niech on zemną śpiewa, »Idolo mio« z Tan-kreda, która przed dwudziestu jeszcze laty bywała w stolicy.

To poeta! . . .

Brawo! będzie nam deklamował.

To książę inkognito!

O mój Boże, jakiż on ładny, jak ten Apollo, co tu wisi. Bym zaś nie zapomniał, muszę tu nadmienić, że go hrabina powiesiła w miejscu naszej dzielnej Chrzanowskiéj.

Przepchał się nareszcie, i pociągnął odważnie jak po swoją, po rękę ślicznej Wawrzyny. . . .

Je dans avec monsieur . . . rzekła mu głośno, a ciszej: nie mogłam temu panu odmówić . . . i poszła do figury z owym jegomością, którego część najważniejszą stanowił kulowaty, choć obciśnięty strojem brzuszek usadowiony na dwóch cienkich nóżeczkach.

Kto jest ten pan? . . . zapytał Zygmunt ze zgrzytnieniem stojących dwóch młodzików z długimi utrefionemi włosami na głowach, jakby u dzieci małych.

To pan Bożycki, nowa spadła na niego sukcesja po jakimś tam wujaszku. Mówią, że będzie miał teraz ze dwanaście tysięcy czerwonych złotych dochodu. . . .

A ojciec jego goił brody! . . .

Szczęśliwy! . . . westchnęli obydwa. Jeden z mówiących był hrabia goły, drugi książę jeszcze golszy; usłyszał ich nazwiska Zygmunt, i zadrzał . . . Ból czuje jeszcze większy w sercu, ale głowa zaczyna już lepiej rozumieć! Ucieka. Zatrzymuje go w drodze nowy ścisk. Kilku parafiańskich sąsiadów hrabiny, co poznać po kroju fraków nie tegorocznym, a minach rześistych i rubasznych, rozmawia między sobą.

Głupstwo królu! niewarto polować; skura lisia po niczemu, o zajęczą nikt nie pyta nawet. . . .

A jak posłać do miasteczka zająca lub dubelta, nikt kupić nie chce.

Mówią nawet dobrodzieju, że już za wilki płacić nie będą.

Włosy na głowie Zygmunta powstały; i tu pieniądze! Goni dalej

po sali szukając spoczynku, i natrafił na grono nietańczących dziewcząt stojących razem, jakby klomb kwiatów.

Uwierz mi, moja Stasiu, mówi jedna, ja to słyszałam od papy: zadłużony po uszy . . .

Ależ powóz, konie, pierścienie! . . .

To pożyczone na lichwę; zagadła gruba, do ściśniętego przez pół worka podobna dziewczoja głosem basu . . .

Wolę ja Terelskiego; konie w starych chomontach, koczyc, jak ciotunia powiada, dangłowski jeszcze, ale ma dukaciki w szkatule.

I wiesz Zosiu, gdzie je chowa? . . .

Gdzie? . . . gdzie? gdzie? . . .

Nie mogę głośno powiedzieć, i zaszepiała do drugiej . . .

— Pfe, to nie może być! . . . Śmiech powstał wesoly, a Zygmunt drzał widząc, jak daleko przez czas jego niebytności posunęło się wykształcenie w jego ojczyźnie; skoczył, jakby od gadziny ukąszony, aż się wszyscy obejrzel za nim.

To aktor pierwszy z Paryża! szeptał nowiniarz żartobliwy.

Strzeżcie się panie, to warjat, uciekł z Pijarów, mrucał nowiniarz złowieszczy.

Oparł się Zygmunt w ostatniem oknie galeryi: same pamiątki, same odczarowania . . . Tu, z tego okna ileż to razy patrzył tam na staw, na ogród; ile razy czarujący ten widok pokazywał Władziowi, Wawrzynie; tu nieraz śpiewali razem; tu poezje pamiętane dodawali do poezji widoku, do poezji księżycy, wody i młodego wieku! . . . Gdzie ta przeszłość? . . . gdzie nadzieje rojone? gdzie te dawne obrazy? i żywo obrócił się do ściany, bo tu na niej naprzeciw tego okna wisiał ulubiony młodego Zygmunta obraz, przedstawiający księcia Józefa Poniatowskiego, skaczącego w rzekę . . . Patrzy, i ściana to samo mu odpowiedziała, co mu od czasu przyjazdu do Lipowa mówi ciągle całe towarzystwo — pieniądze! . . . zamiast dawnego obrazu widzi portret sztychowany mężczyzny w czarnym fraku z wyrazem zimnym, choć dowcipnym, na twarzy; a podpisano wielkimi literami: »James Rothschild.« Różnica przeszłości i terażniejszości żywo mu stanęła przed oczy; różnica starościny i hrabiny, towarzystw dawniejszych i dzisiejszych, nadziei i rzeczywistości . . . książę Józef Poniatowski! i James Rothschild! . . .

Zbiegł schodami do ogrodu, i znanemi sobie ścieżkami pogonił ku pawilonowi, który niegdyś wystawił pan Kazimierz, najmłodszy syn starościny, a w którym przed swym wyjazdem za granicę mieszkał sam z Władysławem Staroliskim; przeszedł kilka pokoi, raptem stanął; rozrzuconych parę strojów kobiecych, gotownia pełna fraszek ładnych, lekkich i wonnych zdawały się świadczyć, że tu niewiasta jakaś mieszka: od wchodu dał się słyszeć szelest, i wbiegła Wawrzyna trzymając w ręku girlandę z kwiatów, która się odpięła od głowy w czasie tańca . . . Zdziwieni stanęli naprzeciw siebie . . .

Przeznaczenie nas tu przywiódło, wyrzekł głosem pewnym Zygmunt. Przed tą chwilą stanowczą tak długo wymarzoną drzał nieraz Zygmunt, jak mała dziewczynka przed spowiedzią pierwszą, ale teraz miotany niepewnością i przeczuciem złego, gorszem nad najgorszą pewność, stał się śmiały. Tak jest przeznaczenie! . . . Wawrzyno! Wawrzyno! wszak tyś się nie zmieniła, gdy się tak okropnie w całym domu wszystko przemieniło.

Prócz twojej, panie Zygmuncie, porywczosci namiętnej. odpowiedziała z zimnym, choć słodkim uśmiechem.

Wawrzyno! mów do mnie jak dawniej, pamiętasz tu w ogrodzie, w zamku, ach! wszędzie są pamiątki naszych rozmów dawniejszych, pamiętasz chwilę przy stawie, kiedy, niepomnę, jakim, czy słowem, czy wzrokiem twoim, do rozpacz przywiedzion chciałem się rzucić w wodę! mówiłem: albo ciebie, albo grób!.. a tyś, Wawrzyno, głosem tym samym, co dzisiaj, powiedziała, zatrzymując za rękę: Mnie!.. mnie!.. powtórzyłaś. Bóg to słyszał, a Władzio nas uściśkał..

Panie Orlecki! ja to pamiętam, żeś był przyjacielem mego brata, biednego Władzia mego!.. żegnając go, czyż mogłam przewidzieć, że już go nigdy nie zobaczę.

Na moich rękach skonał!.. O boże! ty widzisz, co ja cierpiałem.

Śmierć jego przyspieszyła zgon babki naszej.. wkrótce potem i matka moja..

On mi był bratem do ostatniej chwili... i czy wiesz, Wawrzyno, jakie były ostatnie słowa jego.. Bracie! rzekł, Wawrzynki szczęście tobie polecam... i przysiągłem twoje szczęście okupić własnym. Powiedz, Wawrzyno! chceszli, bym cię porzucił, chcesz, bym zginął? bo zawsze, zawsze powtarzać będę.. ciebie! lub grób!. Powiedz! powiedz, słowo, jedno słowo, Wawrzynko moich marzeń, powiedz!..

Wtenczas byłam Wawrzynką i wolno mi było myśleć i czuć jak Wawrzynka.

A tenże list pamiętasz! list przy pożegnaniu mi dany; na sercu'm go trzymał przez całą drogę; biciem tego serca chciałem przyspieszyć podróż, by prędzej stanąć w Rzymie.. Otworzyłem! gdybyś widziałarozkosz, jaka mnie przebiegła; ja, w tej chwili wolność moję tobie na wieki zaprzedał.. Tu! tu jest ten sam list!.. Wawrzyno, słuchaj!.. »Zygmuncie! ja ciebie kocham, kocham nad życie; pierwsza ci to mówię, bo taka miłość, jak moja, dziecinny nie powinna się kalać wstydem. Chcę, byś list ten w Rzymie przeczytał; tym bowiem sposobem pierwsza może myśl twoja nie będzie poświęcona dziełom sztuki, do których się spieszysz; a za sześć lat, kiedy już tak długo macie zabawić, jak wrócisz, zastaniesz niezmienioną i wierną do śmierci oblubienicę, twoję Wawrzynkę...

Wawrzynkę! powtórzyła głosem tak zimnym, aż dreszcz przebiegła przez kości Zygmunta. Panie Orlecki, sześć lat doświadczenia powinny cię były nauczyć, że, co przystawało Wawrzynie i Zygmuntowni, dzieciom, to nie przystoi Wawrzynie Staroliskiej i Zygmuntowni Orleckiemu, dziewicy i mężowi.

A jeżeli to doświadczenie nic mnie nie nauczyło?.. Wawrzyno, zastanów się, co mówisz; sześć lat minęło, powiadasz!.. a wieszże o tém, że przez całe te sześć lat pracowałem dla ciebie tylko, ja marzyłem o tobie tylko, tobą żyłem, nadzieją widzenia ciebie.. Słuchaj, jeżeli mój pedzel uzyskał nieco sławy, to dla tego, że rysy twoje, uczucia moje i nadzieje rzucił ognistemi barwami na płótno!. Zobacz jeno!.. najpiękniejsze obrazy moje są te, w których ty! zawsze ty, Wawrzyno, czy z piany morskiej występująca! zawsze ty!.. czy w koronie książęcej, czy w szacie pastuszej, czy w wieńcu męczeńskim; i te obrazy wszystkie są moim skarbem!. Garście podłego złota odrzucałem, bo to moja własność... i dla tego, Wawrzyno, ja nie mam kapitałów, ja nie mam za co kupować majątku, ani w ojczyźnie, ani w cudzyźnie, ale mam serce!..

takie serce, które sześć lat przetrwało wiary niezłomnej, nie jestże droższém nad złoto, nad urodzenie?

Panie Zygmuncie! ty byłeś i jesteś poetą; całe twoje uczucie jest poezją, jest piękném zapewne cackiem twojej wyobraźni, ale kruchém cackiem zawsze; rzeczywistość innemi przemawia do ciebie słowy. Dla ciebie, panie Zygmuncie, życie przeskakujące ze zbytku do nędzy, z pałacu do lepianki, z opery włoskiej do puszczy odludnej; dla ciebie, ponieważ tak sobie wybrałeś życie pełne poezyi, życie pełne uludy; dla mnie kobiety w zimnej Polsce urodzonej, kobiety zwyczajnej, codziennej, dla mnie życie spokojne i wygodne. Smutno to powiedzieć i przykrém ci się wydać może, ale tak jest w istocie, dla ciebie sława, dla mnie majątek. Ty bez sławy żyć nie możesz, a ja ci powiem szczerze, bez majątku nie obejdę się.

Wawrzyno, nie chciej, bym się tobą brzydził, tobą, którą ubóstwiałem . . .

Przesady poetyckie, mój panie Orlecki, z jednej ostateczności przeskakujesz do drugiej; bądźmy rozsadni! Wierz mi, mój Zygmuncie, ja ci szczerze sprzyjam i pamiętam naszą przeszłość dziecinną, jak sen piękny, najpiękniejszy może, piękniejszy od tego wszystkiego, co mi dotąd dało życie rzeczywiste, ale zawsze sen tylko! a jużciż musimy żyć na jawie. Chcę twego szczęścia, i dla tego właśnie nie chcę do twego życia podróznego lekkiego pakunku wymagającego przyczepiać ciężar żony wziętej z salonu miejskiego; ja się, mój przyjacielu, nie pomieszczę w austeryi kalabryjskiej tak bogatej dla ciebie w dziką poezyją, a tak ubogiej dla mnie w konieczne wygody: w twojem życiu inny jest rachunek, a w naszym zupełnie inny; waszą monetą są chwile, naszym pieniądzem po prostu złoto i banknoty. Patrzysz na mnie zdziwiony, nie pojmujesz mnie, ja ci jednakże szczerze mówię i fałszu nie używam naprzeciw przyjaciela méj młodości, mam piętnaście czerwonych złotych majątku, to wiele na kilka chwil waszych, to mało na moje życie strojów, salonów, powozów, koni i brylantów; przez chwilę jedną pędzłem zarobisz, przez drugą chwilę wyrzucisz za okno i będziesz przecie szczęśliwy; a ja do szczęścia mego potrzebuję koniecznie męża, któryby miał czystego i pewnego dochodu najmniej dziesięć tysięcy dukatów.

Wawrzyno, ty jesteś okropna! . . .

Ja jestem szczerą i nie poetką! Zygmuncie, masz rękę moję, uściśnij ją po przyjacielsku.

Precz! precz z nią!.. a po chwili, w której wszystkie żyły jego drgały, jakby pęknąć miały, dodał: »bodaj, czego się dotkniesz, zmieni się w złoto!...«

Dziękuję za życzenie, byłabym wówczas szczęśliwa, rzekła z uśmiechem i przypiąwszy szybko girlandę do głowy, znikła.

A gdy bal się skończył, nie było już Zygmunta w Lipowie.

W rok potem siedziała trójka w salonie: Wawrzyna nadjechała, jak przed rokiem; panna dotąd, chociaż miała starających się po pięć, sześć, nawet ośm tysięcy dukatów dochodu, nie poszła przecież za mąż; zawsze zimna i obojętna, ni uczucia bólu, ni rozkoszy nie widać na obumartej twarzy.

Jeszcze rok! mówiła do ciotki, a spuszcze wyrachowanie moje na ośm tysięcy dukatów.

Śłuchajcie! słuchajcie! krzyknął pan Widmot. Wiadomość z Algieru. Dnia 7. Maja na forpocztach zginął słynny z talentu malarskiego Polak

nazwiskiem Zygmunt Orlecki. Twierdzą, że umyślnie narażał życie, które mu się sprzykrzyło z przyczyny nieszczęśliwej miłości. Powiadają nawet, że jakiś list kobięcą ręką pisany znaleźli przy nim.

To nasz przeszloroczny Jegomość w paletocie, ozwała się ciocia.

Szkoda go, *c'etait un bel homme, n'est-ce pas cousine?*...

Wawrzyna nic nie odpowiedziała, twarz pozostała zimna i obojętna jak dawniej, ale złośliwa pani Widmot mówiła później przed matką, że widziała łzę w jej oku!...



Rezydent.

Obraz z życia domowego.

Rezydent.

Opis z życia domowego

p
w
sw
ja
o
V
se
sp
zi
te
c
u
j
T
n
o
s
t
p
C
a
s
k
r
P

REZYDENT.

Jaki pan, taki kram! mówi przysłowie dziwnie stosujące się do przedmiotu, o którym pisać zamysłam. Niestalo u nas panów prawdziwych, niestalo też i rezydentów prawdziwych, którym tak lubo, tak swobodnie było błogie pędzić życie w owych starych zamczyskach, jakimi zewnątrz i wewnątrz, jakby sercem i piersią ze stali, broniona ojczyzna nasza zasłużyła na nazwę chrześcijańskiego przedmurza. W owych obszernych budowlach, w które zlewały się dochody stu wiossek okolicznych, miło było, a przestrono dla rezydenta. Tam on mógł spędzić żywot szczęśliwy od kolebki, chrestnym darem wojewody oznaczonej, aż do trumny, uświetnionej lżą wojewodzica, jakby klejnotem orderowym za wierność danym. Pies, powiadają, jest przyjacielem człowieka, a kot przyjacielem domu; dawny rezydent łączył oba te uczucia w sercu swoim, i wierny bywał w tój podwójnej przyjaźni; jedno bowiem, a stałe pomieszkание należy koniecznie do idei rezydenta. To też w owych tylko czasach, kiedy życie, jakkolwiek rozmaitsze może od naszego, było więcej odosobnione, odgraniczone, i tyle różne od gmatwanin arabskowych dzisiejszego życia, które z krzyżujących się drożyn ludzkich tworzą labirynt, Arjadny nicią niezbadany; w owych tylko czasach mógł żyć rezydent, jakby w żywiole swoim. Nie trzeba przeto myśleć, że rezydent był wiecznie gnuśnym domu stróżem!... O nie! ależ bo dawniej całym domem odbywały się podróże panów; a choć mury zostawały, całym domem bankietowano u krewniaka kasztelana, całym domem harcowano po stepie ukraińskim, po borach wołoskich; i wszędzie jednaki były wystawy, jednaki wygodki, bez których rezydent obejść się nie może; a jeżeli gdzie na czatach zabrakło przypadkiem szafranu lub imbiru do skromnej strawy, z pryncypałem

wojewodzicem umiał rezydent znieść i niedostatek. Złotyto był wiek dla rezydentów! *)

Lecz czasy olbrzymy zgarbiały pomału w karłów; w środku ruin zamkowych za obszernych dla nowego pokolenia, ciaśniejsze już wznosiły się pałace, w których uzbrojeniu tak zewnętrzném jak i wewnętrzném przodkował coraz więcej gust francuzki; i tam jeszcze znalazła się skromna izdebka dla rezydenta, którą musiał się nieraz dzielić z kamerdynerem Francuzem. Choć mozolne mu było nauczenie się manieri francuskiej, choć mu ciaśniej było w haftowanym stasklejdzie, aniżeli w szerokim żupanie, a nawet niżeli w zbroi stalowej, swobodnie pędził jeszcze chwile; do kuchni francuskiej przyzwyczaił się pomału, a żyłastą dłonią, która mu z dawien dawna pozostała, nie mogąc dźwigać oręża, puścił się tymczasem z kielichem. Lecz i pałac roznieśli pomału na dwory i dworki okolicznych wiosek; ciasne z gankiem, i bez ganka, ciasne z wystawą kolumnadową i bez niej, ledwie starczyły na nowe do życia potrzebne sprzęty, które przerabiając się rozmaicie ze srebrnych niegdyś roztruchanów, z jakich nie dzisiejszym haustem pijali dziadowie nasi, zasypali ciasne kąty domów naszych mnóstwem drobnych, dętych, krajanych, wyrzynanych świecidełek, o których słusznie powiedzić można, że nie stanie skórka za wyprawę. W takim stanie rzeczy nikł powoli stary rezydent, jedrnego życia dawnego i korzennych potraw pozbawiony, prawdziwie jak kanfora bez pieprzu!.. Jeszcze czas jakiś zdybywać można było po dworkach polskich rodzaj podobny do dawnych rezydentów, ale się ten nie umył do nich; bylito przybysze szukający dachu. Obdarzyła nas nimi rewolucya francuska; i znaleźli schronienie; lecz prócz mogił, tu i owdzie rozsypanych po ziemi naszej, przeszli bez pamiętki!..

Złe dziś czasy dla rezydenta! gdzież bowiem pomieścić człowieka, lubiącego szerokie a wygodne miejsca; ciasno w domu, ciaśniej w podróży, gdzie się ledwie znajdzie miejsce w nowożytnym powoziku dla kamerdynera, rzadko dla sekretarza; a przy *table d'hote* któżby płacił za dwóch? dosyć dla nas, jeżeli mecenasujem małym kosztem na ulicy!.. I nie tak łatwo być dzisiaj rezydentem. Dawniej rezydent pełnił doskonale powinność dworską, jeżeli podpierał orężem sławę domu, językiem splendor rodu pańskiego, a żołądkiem doskonałość kuchni pańskiej. Dziś niech kto będzie mądry i dogodzi zmieniającym się widzinisim, które jak grzyby po deszczu wyrastają niespodzianie: rezydent dworak nie tylko potakiwać, ale zgadywać powinien; zgadniejże czarny pasibrzuchu, że twój pryncypał, wczorajszy urzędnik spokojny, rozum biurowy przemienił dzisiaj na rozum autora; chwaliłeś referaty, chwalić będziesz uczone rozprawy! Mniejsza o to!.. lecz czyżto strawności biednego rezy-

*) Rezydentów w właściwém tego słowa znaczeniu nie było za naszych dawnych czasów. ale za to zamki i dwory napelnione były służbą dworską, szlachtą starą i młodą, to na respekcie, to na wychowaniu bawiącą u możniejszych panów naszych. Z téjto licznój do wygodnego życia na cudzym ehlebie przyzwyczajonej rzeszy, mniemam, że się musi wywodzić ród Rezydentów, który tak rześcieje pojawia się za czasów późniejszych. Spokojne, próżniackie i pijaackie Sasów czasy musiały zapewne przerabiać pomału dworzanina zbrojnego, bitnego i rzutkiego w rezydenta ponczoszkowego, słodziutkiego i kanapowego, jakim się pojawił w końcu minionego wieku. Dla tych więc powodów mówiąc o rezydentach, pozwoliłem sobie, sięgnąć dawniej, niż to nazwisko sięga.

agenta nie przeszkodzi, a psując żołądek nie zabija pomału, o prawdzie czego, proszę się spytać każdego lekarza, jeżeli będzie musiał przepisywać długie, a nudne ramoty!.. Ba, raptem będą gorzelnikiem; by pasterz jaki, chódz za merynosami; goń za rymem, bo się pryncypał kocha; śmieję się, bo pryncypał zdowcipniał, choć wczoraj płakałeś nad czarną melankolią jego! Trudno więc, ostać się na funkcyi rezydenta.

W takiej ciągłej przemianie trudno schwytać rysy ogólne, po którychby poznać można było całą istotę rezydenta prawdziwego. Są jeszcze zapewne tu i owdzie zabytki starych rezydentów, których rysy chwytac i opisywać należy, jakby zarysy starego szyszaka, dla tej prostej przyczyny, że stare rezydenty, jak te stare zbroje, są nasze, dla tego, że rezydent u nas jest najsilniejszym dowodem chwalonej gościnności naszej: z wrotami na oścież otwartemi, ze stołem suto zastawionym, gościnność, która, gdy się wrota powaliły, stoły zabrakło czém zastawiać, uciekła, jakby do świątyni, do serc naszych; a tam chowana oczywiście jak bóstwo dawne w świątyniach bałwochwalczych, czasem tylko przy wielkiej okazuje się uroczystości!..

Przed laty trzydziestu albo dwudziestu części, jak dzisiaj, zdybać można było po domach obywatelskich w Litwie i na Wołyniu rodzaj Wojskiego, o którym nie wiele już po Mickiewiczu powiedzieć można. Był to zwykle jakiś wielmożny krewniaczek jasnie wielmożnego gospodarza domu; dawniej bowiem wiedziano o najdalszym pokrewieństwie i szanowano je; dziś pokrewieństwo bogactwa zabiło pokrewieństwo krwi, tak jak arystokracja pieniężna zabiła arystorakcyę rodową!.. Któż dziś dalszych swych zna krewnych, a dopiero powinowatych; gołych się unika, bogatych tylko szanuje.

Owoż przypominam sobie, wszedłszy na pokoje pana prezesa sądu głównego, zdybywałeś zawsze na wchodzie pana Skarbnika, który w zimie, czy w lecie, w pogodę, czy w ulewę witał cię w ganku prezesowskiego dworu; instynktem dworaka zgadywał on godność przybyłego; ledwie badawczym wzrokiem z ogromnych błękitnych, na wierzchu osadzonych oczu wychodzącym obejrzał konie, powóz i przyjeźdnego, już cię zmiarkował, jak nisko miał schylić łysinę. Ujrawszy ją każdy, stanął mimowolnie i z większym, niż zwykle, ukłonił się uszanowaniem; bo na téj łysinie mnogich lat i mnogich zdarzeń świadku, przez sam środek, głęboka na ukos ciągnęła się krysa; z przodu oczywiście, bo skarbnik żył w czasach, w których zazierało się nieprzyjacielowi w oczy, a taktyczna Xenofonta rejterada nie wielu miała zwolenników. Gdzie i jak dostał, niewiadomo było; on pamięta zapewne, lecz milczy, a rówienniki jego, dawno w grobie.

Propria laus sordet! mawiał skarbnik do młodzieży, rozprawiającej o pojedynkach do pierwszej krwi, jakby o wyprawie na smoka; ja wasciom powiem, że byłem na pojedynku dawnym już, sekundowałem rotmistrzowi Cieńskiemu; miał karabelę szwedzką, dwa razy ledwie się złożyli, *Ave Maria* nie trwało, a przeciwnika głowa z lewą ręką leżały o trzy kroki od reszty tułowu.

Coup d'écharpe?.. powiedział młody uczeń Marego.

A tak, mój mospanie, szarpnął go tego!

Więc ta krysa.

To dawniej jeszcze! mój mój panie, wojowało się za młodu. Chodźmy do izby. Pan prezes wyjdzie zaraz, siedzi, jak zwykle w bibliotece, i drabuje po woluminach.

Cóż to za *volumes*?

A jużciż *volumina legum*!

Nie wiele rozmowny był skarbnik, bo miał ważniejsze zatrudnienia około przyzwoitego usadowienia i przyjmowania gości; to też u prezesa, wyznać trzeba, że u stołu osobliwie doskonały był porządek, zastosowany do godności siedzących gości: nie było dzisiejszego nieporządku, który potrzebnego bankiera sadowi wyżej nad szlachcica wywodzącego się prosto z *gniazda Paprockiego*: w tym względzie skarbnik był nieublagany, a rodowody okolicznej szlachty znał przewybornie; istny herbarz chodzący!. zasługi zaś, tak na wojnie, jak i w pokoju samych gości, ich ojców i dziadów wiedział na palcach; istna kronika chodząca!. Przy tém zrzedził na domowych, których lenistwo oburzało go, chociaż sam nie wiele lubił pracować; lecz pańskie oko tuczy konia! mawiał skarbnik, a okiem, przez które prezes patrzył na gospodarstwo swoje, był skarbnik. Przy tylu rozlicznych zajściach nie wiele miał czasu do próżnej pogadanki, a osobliwie, kóżby gadał o sobie?. Skarbnik, jako prawdziwy rezydent, jeżeli rozprawia, to tylko o prezecie; nie ma prezesa! skarbnik opiewa pochwały prezesa; wszedł prezes! skarbnik milcząc, admiruje prezesa.

Jadło się u prezesa wyśmienicie i często, bo skarbnik, który głównie dyrygował kuchnią, piwnicą i spiżarnią, był tego zdania, że gościa trzeba nakarmić; sam zaś jadł, ale jadł potężnie! Trzeba było widzieć w święta lub niedziele. Ledwie skończyło się nabożeństwo w kaplicy, jużciż gładnie z kapelanem pod pachą skarbnik ustrojony w żupan ponsowy, kontusz tabaczkowy z wigoniem, pas słucki lity, czapkę ponsową z białym barankiem i czerwone buty, prosto do pokoju biliarowego; przetrącił na śniadanie półtora kółka kielbasy, bigosu hultajskiego dwie farfury olbrzymie; pardonował kotletom, których się prezes nauczył jadać między francuzkami emigrantami w Dubnie; ale za to na dokończenie, na furę kaszy wpakował piramidę zrazów, aż strach patrzeć było; podał to należycie starką żółtą jak wino, przed każdym półmiskiem i po nim; podniósł się do góry, wyprostował, jakby mu ośm krzyżyków ubyło; pasa poprawił na brzuchu sporym, by zostało jeszcze miejsca na obiad, jadany codzień z równym apetytem, i obtarł wasy długie, zawiesiste, które się śniegiem rozsypywały po policzkach pełnych i rumianych. Nie byli gości u prezesa? grał z nim skarbnik w maryasza; a jeżeli kto do ówika się znalazł, gotów był skarbnik zagrać się aż do dziesiątej godziny, chociaż o dziewiątej już zaczynał zwykle całonocną muzykę chrapliwą, która trwała bez ustanku aż do piątej z rana.

Nie wiele chodził po gospodarstwie, a przecież szło u prezesa wszystko, jak z płatka wywinał, bo skarbnik mniej dbały o nowe systemata filantropiczne, wierzył w nahajkę, jak żyd w przykazanie; z gospodarczych zatrudnień najwięcej lubił rybołówstwo i pasiekę; przy łowieniu ryb, a podcinaniu miodu, skarbnik znajdował się *in persona*, dyrygował ze znajomością rzeczy rybakami i pasiecznikami, a w końcu najpiękniejszego szczupaka i najlepsze plasty miodu zabierał do siebie, gdyż marynatą ze szczupaka pieczonego, a miodem z orzechami, lubił skarbnik bawić się w godzinę wolne od innych zatrudnień.

Umarł skarbnik we dwa miesiące po prezesie, po części, jak mówili, z żalu za pryncypałem, którego szczerze kochał, a po części z oburzenia na widok, jak na pogrzebie nieboszczyka, siostrzeniec, którego ojciec z koniuszego, wyszedł na podpanka, a o którego nazwisku żaden herbarz nie wspomina, niósł na poduszce gwiazdę S. Stanisława, którą prezes był obdarzony; wtenczas kiedy był rodzony bratunek niezawodny szlachcic i tyłu innych godnych obywateli, kiedy nareszcie był sam skarbnik. Tak twierdzili ludzie, a nikt nie wspominał nawet, że po śmierci jego znalazła się metryka okopertowana i opieczętowana, o której nie wspominał nigdy skarbnik, a z niej dowiedziano się dopiero, że miał dziewięćdziesiąt i siedm lat.

W nowszych czasach różne zmiany zaszły w życiu rezydenta; najgłówniejsza, że stósując się do okoliczności, zaczął życie koczownicze. Dawniejszy rezydent z rodziny już rezydentów jednego domu pochodzący, jeżeli długo pożył, pochował dziada i wnuka z rodu swoich pryncypałów. Dziś z domu do domu przenosząc wędrowny tłumaczek ledwie gdzie miejsce zagrzeje, a już go zawistny los pędzi dalej; to też ów dawny rezydent, ów skarbnik, zawsze otyły, zawsze rumiany i rubaszny, schudł niepomału i zesmutniał; dzisiejszy rezydent jest ledwie cieniem dawnego, a ile tu trzeba głowy sobie nałamać, aby się choć na krótkie podzimowanie wświdrować do wymyślnego obywatela naszych czasów. Ile tu trzeba przybierać postaci!.. Jakoż przebiegłszy domy nasze znajdziesz tu i owdzie figury, które się nie zlewają naturalnie w całość domu, ale wydają się przyczepione, jakby naroście jakie, których każdy pozbyć się pragnie. Są to potomki rezydentów dawnych, bez wąsów, z wąsami, z brodą, z faworytami, we fraku, w czamarze, w surducie. Tu grają w wiska, tam ślęczą nad Kasperowskim; tu smolą lulkę, tam tabaczkę zażywają; tu skrzypek, tam poeta, u koniarza dłubie zęby końskie, to znowu przez zadłużonego rozrzutnika na zastaw w miasteczku zostawiony ledwie się wymknął, by u skąpca pościć, jak Anachoreta. Zgoła tyle różnych przybierać musi co kilka dni postaci, iż doskonale rezydenta opisanie o wiele przechodzi obręb obrazku mojego.

Zarysy dawne, szeroko zakrojone, starły się. Dawniej dosyć było dla rezydenta, być duszą i ciałem Gwelfem, a Gibelinów, jakby własnych wrogów nie nawidzieć; dziś i Gwelfy i Gibeliny roztrzaskali się na milionowe odcienia. Schwytajże je biedny, chudy rezydencie z próżną kieszenią i głodnym żołądkiem; dawniej dosyć było, być białym albo czarnym; dzisiaj namnożyło się więcej barw szarych, niżeli ich jest w przechodzie z dnia do nocy, ale za to rezydent dzisiejszy, co stracił z ciała, to zyskał w rozumie. Proteusz niez mordowany w wiecznej gonitwie za chlebem powszednim, czepia się łapą raka, pyskiem pijawki wpija się, czołgającym wciska się robakiem... Jak ziele pasorzytne, gdy straci piorunem zgruchotane lub wiekiem powalone drzewo wiekowe, które zielonemi otaczało wieńcami, czołga się poźółkłe i znędźniałe po ziemi szeroko i daleko, coraz cieńsze rozściela gałązki, do uginającej się przyczepi trawki, o karłowaty krzak owinięte wyskoczy ostatniem wysileniem do góry, aż gdzieś daleko, od rodzimnej oddalonej ziemi, zniknie, suchych liści przywalone ciężarem.

Nigdy mi tak żywo smutny los rezydenta nie stanął przed oczy, jak kiedy po raz pierwszy, przyjechawszy na szerokie Podola łany, poznałem pana rotmistrza. Po okolicznych bywając dworach i dworakach, z ust niemal wszystkich, w każdej rozmowie słyszałem o panu rotmistrzu:

wczoraj był rotmistrz! przed godziną wyjechał rotmistrz! powiadał mi rotmistrz! umnie był na obiedzie! córce naszej winszował urodzin! it. d.; głośno piękne usta wdów, mężatek i pańien, powtarzali mężowie, kochankowie i przyjaciele; nasłuchawszy się do woli o rotmistrzu, którego nigdzie schwytać nie mogłem, zaczynałem już wierzyć, że w tej okolicy grają w rotmistrza, jak gdzie indziej w zielone; ale gdy mi pani Chrzyszczowa, najprawdziwsza bajka w okolicy, powiedziała i zaręczyła: jakem żywa!.. a trzeba wiedzieć, że żywa już od lat przeszło pięćdziesiąt, chociaż zapewnia, że się rodziła w sam dzień bitwy pod Dreznem, gdzie jej ojciec miał zaszczyt zginąć; gdy mi tedy ta zacna pani zaręczyła, że rotmistrz żyje istotnie, różne zacząłem w myśli mej wyrabiać o nim obrazki...

Aż nareszcie, było dzień wielki dla mnie, bo byłem zaproszony na obiad do pana Dyzmy Płateckiego, największego w okolicy polityka, literata, a co więcej, posiadacza czystej wioski. Przyjechałem pełen nadziei widzenia rotmistrza, który zwykle pilnował imienia, zastałem znajome już towarzystwo; wszystko było na miejscu, i nos nad nosy gospodarza, i garb nad garby pani Płateckiej, i pani z pod Drezna. Szukam pomiędzy frakami; nie ma rotmistrza, bo już cię w dzień tak uroczysty, wyznajcie łaskawi czytelnicy, że spodziewacie się widzieć dolman huzarski, kurtkę ulańską, a przynajmniej pół fraczek lekkiej jazdy; stanąłem, trzeba bowiem w salonie gdzieś stanąć, między panią Tarnicką, wdową pełną zaszanowanych wdzięków, a panną Pelagią Irzecką, pełną wdzięków spodziewanych; żalowałem tylko, że gdy tamtych już nie widzę, tych dostrzedz jeszcze nie mogę: w tém ozwał się elegijny dyszkancik panny Peluni: rotmistrz jedzie!..; z całą układnością, godną zacnego towarzystwa, w jakim się znajdowałem, czekałem z oczami w drzwi wlepionemi, choć niecierpliwie nogi na ganek mnie pędziły.

Głuchy łoskot po podłodze wchodowego ozwał się pokoiku, i wszedł... Na dwóch kulach oparty, starzec siwy, łysy, połamany, w białym żupanie i niebieskim kontuszu; a przez plecy zawieszona była czerwona wstęga orderu Ś. Stanisława; stuknął kulami, brzęknął karabelą w wytarty jaszczur oprawną, i stanął, nie witał ukłonem, bo mu trudno już było niżej się pochylić, ale ręką pozdrowił towarzystwo, które na różne grona rozłamane przywitało go nawzajem uprzejmymi wyrazami po wierzchu, a chychotami wiejskiemi po kryjomu. Posztuchulał rotmistrz do kobiet prosto; nuż całować piękne rączki, a zwijając się pomiędzy panny i mężatki, jakby śniegiem, swym włosom, posypał po parterze kwiatów....

Jak się masz rotmistrzu?.. Zapomniałeś o nas!.. Niestały z ciebie kochanek!.. Mnieto, mnieto sprzeniewierzyłeś się! zagadały wiosna, lato, a nawet i jesień.

Ha! co zaś? odpowiedziała zima; co zaś powiadasz?..

A one mu w ucho krzyczą: kochany rotmistrzu! stęskniłyśmy za tobą; a po za ucho do siebie: Jaki nudziarz stary!..

Biedny rotmistrz jest głuchy!..

Jaka ty piękna dziś! jak róża! wszystkieście świeże, jak kwiatki, a postrojone zaś, gadał do nich w dobrej wierze. Peluniu, pocałuj mnie!...

Fi! rotmistrzu! fi! gadać takie rzeczy.

Co? figi, gdzie zaś figi?.. Śmieją się coraz głośnieji i weselej.

Chyba rotmistrz Peluni zapisze, jak Karolci, za jeden calus dwa tysiące.

Jakto zaś! zające w lesie?..

Nudny głuchman! rzekła basem wdowa.

Comme une taupe! zawdocipkowała Pelunia.

Kto się zaś utopił?..

Pan Misiurski z miłości! krzyknęła głosem trąby ostatecznej garbata gospodyni.

Có zaś! ten dziad! starszy odemnie, i kiedy?

Przedwczoraj! dodała wdowa, śmiejąc się z dowcipnej mistyfikacji.

A któż był powodem?

Oczywiście pani Ściżewska; znasz przecie rotmistrzowi jej zalotność?.

No! no! jakże się zdziwi pani Łykowska; będę zaś jutro u niej, bo mi mówił ksiądz gwardjan, że strasznie zaś chora na oczy; bo to zaś jej ojciec miał za sobą Witowską, ją zaś rodzi Liczyńska, która była *primo voto* za stryjem nieboszczyka Misiurskiego; byliśmy zaś w kuzynostwie, bo matka jego była pierwój za ojcem mojej bratowej, marszałkowej Przeorelskiej; mam zaś od niej list z Owrucza, pisany wykwiutnym stylem i z prawdziwym afektem kuzynowskim.

Śmieją się do rozpuku!.. Czego śmiejecie się?..

Żal mi się starca zrobiło, i serce mi się ścisnęło, patrząc na te siwe włosy w poniewierce; poszedłem do grona mężczyzn. Biedny starzec! odezwał się do pana Czubickiego, który miał zawsze łzawe oko, gdy rozpowiadano o tkliwym zdarzeniu jakim.

Głupi, nudny starzec! powiedz pan! jak można żyć tak długo. Pan go nie zna, to plotka okoliczna; roznosi domo do domu bajki; nie dośłysz, nie dowidzi, a więc tworzy dziwolągi.

A ciekawy! dodał młody Dubiewski; ciekawszy od naszej Chrzaszczowej!..

Przytém niebezpieczny gość! przerwał pan Czułkowski, sławny brudnym skąpstwem, jak zwykle parweniusz, mówią herbowni sąsiedzi; »rozbójnik na otwarte cukierniczki, puzderka z herbatą, puszki z tytuniem, stambułki.

Przeżył się! zagadł poważnie gospodarz, zażywając tabaki; czy godziło się, żyć przeszło sto lat już, mając obie nogi i jedną rękę połamane.

Rozgniewany porzuciłem mężczyzn i wpadłem na niezmordowaną Chrzaszczową. Cóż rotmistrz?..

Ale, dla czegoż żartujecie panie tak nielitościwie z biednego staruszka.

Cóż z nim robić? inaczej znudziliby na śmierć, a wszędzie go pełno; w kalendarzu ma zapisane wszystkie urodziny i imieniny, jeździ za kuzynym kominem; objada, okrada, obmawia!.. nie godzi się wypchnąć starca za drzwi, ale jakim żywa, pożartować się godzi.

Po obiedzie, na którym rotmistrz przypomniał mi pocziwego skarbnika apetytem, zazdrości godnym; po obiedzie, o którym, jak o Ryczywole zamilzczyć wolę, a który przecie rotmistrz co chwila wynosił pod niebiosy: »zaś wyborna! jaki zaś twój kucharz doskonały!.. to mi zaś artysta! nastąpiła kawa, balsamiczna, podług rotmistrza, i zapewne miała gęstość i woń balsamu dobrego do smarowania, ale nie czystość burstynu, a gęstość miodowego płynu; a po kawie zaprezentowałem się rotmistrzowi, pełen uszanowania dla jego wieku i siwych

włosów, pełen politowania nad stanem jego. Niestety! czemuż nie partrzałem nań z dala przez szkło własnych marzeń, wzbudzonych na widok tej stariej połamaniej kolumny! myślą byłbym wynalazł brakujące jej rzeźby, ozdoby, kapitel i ustawił w świątyni, gdzie leżą pamiątki nasze, ciche, jak groby, i wymowne jak groby!...

Znudzili mnie, jakbym się najadł lukrecii, nawąchał asafety. Znał mnie już doskonale, znał mnie lepiej, niż się sam znać mogłem, lepiej, niż mnie wrogi moje znają, znał moją rodzinę, z ojcem gdzieś tam jadał, z matką tańcował, do ciotek się umizgał, kogoś tam z moich krewnych żenił, ochrzcił innego, a pochował tych wszystkich, którzy tylko byli już pochowani, przytęm chwalił ród mój, urodę, rozum, dowcip, kadził, jak gdybym już leżał na marach. Czulem obrzydzenie, jakbym się przepił; i nic w tej rozmowie, by jedna łyskawica, któraby złotą nitką odświeżyła jednostajność ciemnej chmury; by jedna anegdota, jedna z tylu lat, które przeżył, z tylu chrztów, ślubów i pogrzebów. Dotknąłem sam tej struny, czekałem nadaremnie oddźwięku; czy niezgrabna ręka, czy instrument sfałszowany!.. zamiast nuty dawniej, tęsknej, nuty barskiej, usłyszałem pisk codzienniej, ulicznej nuty sprzedającego precle; a ten człowiek rotmistrzował z Puławskim przecie, z rąk ostatniego króla odebrał czerwoną wstęgę; pamięć młodzieńczą chował na plotki, które po okolicy sprzedawał za obiady, cukier, herbatę, krupki i mąkę, zdoływane kwestą lub przemysłem.

Schwycił mnie, jak w kleszcze, w pytania, któremi cisnął mnie nielitościwie; napróżno wywijalem się połapaną tu i owdzie znajomością świata: czy kocham, i kogo kocham? czemu się nie żenię? że ma partyę dla mnie!.. i t. d. Uciekłem, a ochłonawszy przy wisku, którego na wsi grają tanio, szkaradnie i krzykliwie, wróciłem do sali bawialnej.

W gronie kobiet siedział stary, jak lodowiec nieruchomy; zbliżając się, myślałem, że patrzy na mnie; lecz jakież było zdziwienie moje, gdym dosłyszał, jak wymieniwszy nazwisko moje, przemówił do wdowy.

Znam go z reputacyi, ma romans z mężatką.

Otoż nadchodzi! szepnęła mu wdowa.

Tak! tak! nie godzi się zaś, odpowiedział.. I ślepy, i głuchy!..

Poszliśmy na herbatę do drugiego pokoju, tam na ścianie wisiał portret pana Suliskiego, przyjaciela naszego Amfitriona, w mundurze; byłato pierwsza i nieśmiała próba córki, nie zła nawet; naadmirowaliśmy się do woli, nagadali ogólników aż strach.

Cóż to zaś za mundur? zapytał rotmistrz Suliskiego.

Polski! mundur, który nosilem; odpowiedział pan Suliski, człowiek w sile wieku.

Jakto zaś polski? a to chyba przedemną służyłeś!.. parsknęli wszyscy ze śmiechu, on sam pozostał nieruchomy, i powtarzał ciągle: »bo ze mną zaś nie służyłeś!...«

Rozjechaliśmy się. Mimo niesmaku, jaki wzbudził rotmistrz we mnie, zapuszczałem się nieraz z nim w rozmowę, nie żałując trudu, chciałem coś ciekawego wysłabizować z tej stariej kroniki, lecz zadanie nie było łatwe, bo sięłatswych, jak grzechu, wstydził, o przeszłości dalekiej nie wspominał nigdy; czasem tylko zgrabnemi zawikłany pytaniami, przemówił datami, ale datami tak dawnymi, że aż zadrzałem, bo się zarówno drzy przed zwrokiem przeszłości, jak i przed zorzą przyszłości. Jam mniemał, że ta przeszłość, o której wspominał, dawno już popiołem roz-

sypana, a ona wyszczerzyła mi się żywa, jak widmo jakie z oczu zapadłych tego dziada; znowu mimowolnie szanować mi się go chciało.

Później dopiero ochłonawszy i z gorączki marzeń i dreszczy odczarowania, gdym zebrał wszystkie ulamki przez niego i drugich opowiedane, chociaż dawny jego żywot pozostał tajemnicą, poznałem w nim typ rezydenta. Rezydentem był on i dawniej, *par fas et nefas* zebrał mająteczek. Szkoda, że rezydenci nie piszą pamiętników; wszak dotąd ulubione są pamiętniki, dzięki którym, nie jedna uczona utrzymuje się rozmowa; byłoby to źródło dla powieściopisarzy dzisiejszych, którzy domowe obrabiają zdarzenia: nie jedną genealogię czystą jak stary pergamin, przekrzyżował romans rezydenta, zaczęty w cichej zamkowej komnacie, skończony może w tajniach podzamkowych, albo w jasyrze pogańskim. Rotmistrz musiał być przystojny, tak przynajmniej z uśmiechem wiele znaczącym sam mówi o sobie. Gdzie był rezydentem? skąd kapitałiki, które posiadał? nie dowiedziałem się nigdy. Przyzwyczajony do życia rezydenta, przechodził wszystkie stany tego koleje; pił po sasku, bił się po polsku, szwargotał po francusku, aż na końcu tracąc barwę po barwie, z barwy rodzinnej zabierając odcień po odcieniu potrzebne mu zarysy, dzisiejszemu rezydentowi właściwe, stał się z rezydenta dawnego, rezydentem koczowniczym, roznoszącym plotki, chwiałącym to dzisiaj, co jutro o milę dalej ganić będzie.

Nie potępiajmy go! nie on się zepsuł, ale w koło niego wszystko się popsulo. Wierny namtowarzysz dziś zbyt czyny; wnet go wykurzym kwaśną miną, przytykiem, złym humorem; chwilowej plotce damy obiad za uncię kadzidła, gdyby nawet kadzielnicą w nos dostać kilka dni popasu.

Nigdy, powtarzam, nie uczulem tak mocno upadku stanu rezydenta, jak gdym głębiej zajrzał w tajnie życia rotmistrzowskiego; i śmiało powiedzieć mogę, że to jeszcze ostatni rezydent na ziemi naszój!.. Może przed śmiercią zagada dawnym językiem? Będzie to pierwszy zgubiony tom żywota będącego przy tomie ostatnim!...

I gdzież dzisiejszy mieszka rezydent? Wszędzie i nigdzie, na dyszlu, jak powiadają. Stary rotmistrz rozposażyłszy nie najlepiej kapitały swoje, ostatni fundusz oddał wnukowi swego przyjaciela *à fonds perdu*, ma za to chatę, ordynaryę i procent w tranzakcyi zapewniony, ale nigdy nie wypłacany, bo wnuk przyjaciela od marca do marca czeka na śmierć dożywotnika; lecz rotmistrz ani myśli umierać; jeździ ciągle, ledwie zajrzy do chaty, w której prócz ścian lepionych, nie wiele znajdziesz sprzętów. Są godziny, w których siedzi samotny, trzyma nogę na szkatułce, w której leżą korespondencye dawne i sto karbowanych, na po-grzeb schowanych, i duma, smutnemi oczyma patrząc na wiszące po ścianach sylwetek parę i cyfer kilka własnych i cudzych jedwabiem i włosami haftowanych. Gdyby te marzenia po dymie lulki ulatujące stanęły raptem żywe i przemówiły, napisałbym państwu ciekawe pamiętniki ostatniego rezydenta.

Kilka dni temu byłem u pana Płateckiego.

A wiesz też pan, rzekł do mnie, że nasz rotmistrz żeni się.

Czy podobna!

Oświadczył się uroczyście pani Parnickiej, którą kochał, jak twierdzi, nim jeszcze poszła za nieboszczyka męża, i pewien swego, prosił ją tylko, aby to zostało w sekrecie, bo w takich rzeczach ludzie zwykle robią intrygi.

Kiedyż wesele?...

Jedzie wprzód do Pryśnica, bo jak mówi: mnie zaś nic nie brakuje, tylko te nogi nie statkują.

Wyznam państwu na dokończenie, że ciekawa byłaby to rzecz widzieć, jak będzie wyglądał towarzysz starego Puławskiego, pocący się w kocach pryśnicowskich.

Czy też powróci?...

I czy też się ożeni?

I czy będzie miał dzieci? naiwnie dodała piękna Telunia.....



Stary Leśniczy.

Obraz z życia domowego.

Blair & Co.

Blair & Co.

STARY LEŚNICZY.

Stan leśniczego dzieli się zwyczajnie na trzy klasy. Arystokrację stanowi nadleśniczy, demokrację zaś pobereźnik i gajowy, a stan średni, stan najliczniejszy, składają leśniczowie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Oświata, która gładząc wszystko pomалу i naszą ojczyznę ogładza codziennie więcej z owych wiekowych borów, którymi zarosnięta była, wyrwała powoli nadleśniczego od zatrudnień kniejowych, usadowiła w wygodnym pomieszkaniu i dała mu książkę w rękę, z której czerpie naukę lasową w systemat ułożoną; ledwie czasem zajrzy do lasu w stroju, którego by się i miasto nie powstydzilo, wyda rozkazy, okiem zimnym przebiegnie nieme dla siebie młodych gajów pokolenia, i czem prędzej ucieka na wieczornego wiska do pana rządzącego. W tej klasie nie szukać typu. Nadleśniczy podobieństwem rodzinnym łączącym dzisiaj wszystkich, zbliża się do innych władz wiejskich. Między pobereźnikami są typy zapewne, ale ich fizjonomja zlewa się w ogólną fizjonomję chłopów, z których pochodzą. W średnim więc tylko stanie leśniczych można zdybać czasem owego starego leśniczego, którego przedrzeźniają nam w komedjach, ale go oddać w zupełnej całości nie potrafią; bo nie dosyć wpakować nań lisją kurtkę, czapkę futrzaną wsadzić na głowę, torbę z borsuczej skóry i rusznicę długą, niezgrabną przewiesić przez plecy. To nie jest jeszcze leśniczy! Stary leśniczy urodził się z ojca leśniczego, ojczyzną jego jest las, wzrósł i wychował się między drzewami, braćmi; jakoż wzrostem wyższym nad mierny, barkami szerokimi, a piersią wypukłą, w której grają organy, echem rozchodzące się po borach i kniejach na wysokości z wiatrem huczającym, z grzmiącą trąbą myśliwską, leśniczy jest bez wątpienia pokrewny owych drzew starych, które kolebkę jego otaczają. Nieugięty, jak one, pokrył się tylko mchem siwizny, lecz ciało jędrne jeszcze, zdrowym borów powietrzem karmione, policzki

rumiane, nogi niezmordowane, któremi codzień przebiega najskrytsze państwa swego zakątki, żartują z lat. Wypadki rozmaite, zdarzenia ciekawe dały mu doświadczenie okwite, ale zdrowia nie potyrały. Takiego człowieka ubierz, czy w kurtę lisami podbitą, czy w spencer zielony, czy w wilczurę, czyli téż w krótki surducik z grubej bai, który dzisiejszym leśniczym więcej do smaku przypadł, do razu poznasz po ruchu, postawie i głosie, że to leśniczy, prawdziwego leśniczowskiego kroju, który przepadł już wraz z krojem dawnych kapot. Na nim pokaże ci się prawdziwem przysłowie: że człowieka suknia nie robi.

Dla leśniczego rok ma tylko dwie pory. Pierwsza zaczyna się w jesieni, a kończy na wiosnę: jestto pora polowania; w drugiej; letniej, leśniczy nie żyje, ale wegetuje tylko. Na przekór naturze, odartej z zieloności, niemiej, zima dla leśniczego jest porą najpożądanszą; dla niego najmiłszym śpiewem trąba myśliwska i huk stazała, a mróz przyjemniejszy dla jego ruchawości nad palące słońca promienie; dzień choć krótki, ale zapełniony przygodami rozmaitemi, a wieczór, jeżeli się nie czatuje przy wilczej jamie, jak błogo mu przechodzi przy opowiadaniu, którego ciekawiej, jakby świat modny Balzaka, słuchają koło płonącego komina, żona, dzieci i wtórujące mu poberezniki. A ponowa, ponowa, to rozkosz niezrozumiana dla większej połowy świata, skupionej w ciasnych miejskich ulicach; ponowa to rozkosz najwyższa dla leśniczego. Gdyby który z młodzi miejskiej chciał w jakiej chwili odczarowania porzucić cygaro, operę i piękne kawiarki lub aktórki oblicze, proszę z sobą. Jedziemy w las, mijamy rzadziej porozrzucane gaje brzoźowej olszowe, jakby kłomby ogrodowe. Dalej nam potrzeba: las coraz ciemniejszy, dęby coraz grubsze, buki coraz rozłożystsze. W gruby las wjeżdżamy. Kręta droga ciągnie się długim wąwozem, to się spuszcza, jakby w otchłań w głąbią ciemnej kniei, to się znów wznosi w górę, między rzadsze sosny i smereki, które samotnie stojąc, wydają się, jakby kolumny utrzymujące ciemne izachmurzone niebios sklepienie; bo to koniec listopada, lub początek grudnia. Wiatr jesienny zdziera resztę zeschniętych liści i niesie je przed sobą, niesie, jak powiada wiersz tyle ulubiony przez sławnego ziomka naszego, tam gdzie idzie listek róży i listek wawrzynu. Już się las przerzedza, już się pewnie kończy, o nie! to polanka! a na jej końcu, o ścianę jeszcze gęstszego i ciemniejszego boru oparte, stoi samotne, jakby chata pustelnicza, mieszkanie leśniczego. Skromne obejściem, nierównym z dębowych kołów ułożonym płotem otoczone, wrota na oścież otwarte, bo jedna połowa drzwi leży na ziemię powalona, a druga na jednym już tylko trzymając się haku jęczy pod przemocą wiatru, jak dusza w czyszczu; na prawo chlewek tak przezroczysty, jakby chrustu w lesie brakowało, szopy rodzaju niewyśmienity, a w niej skład różnych materiałów lasowych i stożków parę, w których więcej siana i owsiku, niżeli zboża, na lewo zaś, pomieszkanie samego leśniczego niepozorne, więcej tam gliny niż tarcie, więcej dziur przypadkowych, niżeli okien. Lecz na cóż opisywać? Wszędzie się u nas potwierdza przysłowie o szewcu w dziurawych bótach chodzącym, i dom leśniczego lepionemi bokami przedrzeźnia się zdrowym dębom, które go otaczają. Chwała Bogu, żeśmy zajechali, bo téż śnieżek, który z początku lekkimi płatkami, jakby pierzem rozsypany ulatywał po powietrzu, coraz większemi i gęściejszemi padać zaczyna; radość w domu niepospolita, bo to pierwszy śnieg. Pan leśniczy, który tylko co z najdalszej i najlepszej powrócił kniei, tłumaczy żonie długo

a szeroko, że od rana czuł już śnieg w powietrzu, albowiem w czarnym borze wierzchołki buków w mgłę tonęły od świta. Leśniczyna potakuje i chwali faworyta koguta z pstrym czubem, który od wschodu słońca piał na przemianę. A w tém wpada Semen, niski, krępy, barczysty, do starego pniaka podobny podbereźnik, i zwiastuje przybycie samego pana z gośćmi na polowanie.

O świcie przybędą, zachrypiętym rzekł głosem.

Czy oni wiedzą, co to świt! odpowiedział leśniczy i ziewnął, bo już słońce zaszło; wkrótce się położył, ale czy spał? bardzo wątpię. Pierwsza w roku ponowa dla leśniczego, to pierwszy bal dla piętnastoletniej dziewczyny. Piękne czytelniczki! spałyżście przed takim balem?

Dobrze było ciemno, kiedy wyszedł leśniczy w nocnym jeszcze stroju na podwórze, stanął, a wielkim, garbatym, zaczerwienionym nieco w końcu nosem długo wietrzył na około. Śniegu napadało na łokieć, a tak cicho w ciemnym borze, jakby drzewa usnęły. Wesół wrócił do izby, u drzwi trzykroć kichnął: dobra wróżba! mruknął i łyknął w końcu spory kieliszek kontuszówki. Panowie lubiący dobrą gorzałkę, jedźcie do starego leśniczego. Tam piołunkówka zielona, jak pierwszy listek w maju, tam nalewka jeżynowa czerwieni się rumieńcem dziewczyny przy pierwszym pocałunku, tam brzoźówka, co to dobrze i w środek pałać i z wierzchu posmarować, a prócz tego spirytus mrówczany na lec wyśmienity, tłustość z borsuka, która tak dobroczynnie działa z dobrą wódką zmieszana, kwasek z soku brzoźowego wyrobiony tak miły i wonny. Już nasz leśniczy ranne pacierze głośno pozmawiał, rusznicę dwa razy dłuższą od zwyczajnej przeczyścił, ładunki porobił, o kłaki, których mu żona poskapiła, pokłócił się i pogniewał, pobereźników i gajowych na różne porozysłał stanowiska, a nawet już raporta o różnych tropach w lesie od nich podbierał, a nie było jeszcze ani dnia, ani panów myśliwych.

Przybyli nareszcie pan kapitan z dawnym kolegą pułkownikiem, panem hrabią sąsiadem najbliższym i młodym dandysem ze stolicy, który się wściekle nudził na wsi, ale dobijał się o piękne lica i piękny posag kapitańskiej córki. Leśniczy przyjął panów z należytą submisją, a miał na sobie kurtkę futrzaną pokrytą sukmem, jakiego już dziś nie zdybać: sieraczkowem w płomyki, kartusz z psiej skóry na brzuchu, torbę borsukową z różkiem od prochu, podwójnym workiem do strótu, trąbkę myśliwską, rękawice z futrem na wierzch i rajtuzy zawiesziste. Powysadzał gości z bryczek, i obejrzał okiem znawcy najprzód psy, a potem oblicza gości przybyłych: na psy uśmiechnął się, a na myśliwych zmarszczył brwi najeżone, jakby dwa krzaki szronem pokryte, a nawet Walenty faworyt i strzelec kapitana twierdził, że splunął po za siebie, co było u niego dowodem pogardy niepospolitej. Ależ bo co za stroje! Hrabia w długim surducie, młodzik w rajtroku; no! pułkownik w barankach, a kapitan w bajowym paletocie; to jeszcze ujdzie. Długo spoglądał na nich z pod oka, a stary leśniczy jestto zwykle stary wyjadacz, jakto powiadają humański dureń; niby czterech nie zliczy, a przez skórę zwietrzy myśliwego, zwącha tchurzem podszytego.

Było tam wiele gadania, jak weszli do izby. Kapitan zapytał leśniczego, czy też wie, gdzie najwięcej zwierza.

Mam trzy dziki, wyrzekł i uśmiechnął się, czy się z dzików radował, czy sztydził z myśliwych. Mam trzy dziki, powtórzył, ogromne bestie! a kły panie!...

Jeden pułkownik spojrzął przed się wesoło; hrabia, który dotąd z pogardliwem patrzył uśmiechem na Bogarodzicę pobożnie w kącie chaty zawieszoną, z lampą w piątce gorejącą, palmową różgą i gromnicą, spuścił oczy w dół, jakby się chciał naśmiać jeszcze z kilimka, którym był pokryty wielki zielono polakierowany kufer. A dandys stał w oknie i przewracał niby bibliotekę leśniczego tamże złożoną, składającą się z trzech albo czterech ksiązek nabożnych, a pod nimi prócz kart marjażowych należycie zbrudzonych znajdowały się poobdzierane, i widać, że obczytane dwa dzieła, które już dziś chyba u leśniczego zdybać można: Henryk szósty na łowach, komedia dziwnie interesująca i żywot Rynaldiniego wielkiego bandyty włoskiego, powieść nad powieści. Rzucił je z pogardą bruxelskiej literatury zwolennik; tego mu leśniczy darować nie mógł, wszakże on je rok rocznie przez całe lato czyta.

Pana hrabiego postawisz w dobrém miejscu!

Dobrze, dzik jeden dla hrabiego.

A drugi dla kapitana, odrzekł hrabia i spojrzeli po sobie sąsiedzi; nie lubili się, ale się znali doskonale.

Dla mnie trzeci! zagadł żywo pułkownik. Odetchnął młody Juliusz, którego cienkie nóżki z zimna zapewne drzeć zaczynały. I poszli w las.

Mnie z boku gdzie postawisz, powiedział kapitan, który ponieważ porucznikował za lat młodszych, chodził dla przyzwoitości na polowanie. Owoż leśniczy rozstawiał gości i strzelców, jednego po drugim zostawiał za sobą; w samym dole, jakby w kotle, na około gęsto i krzaczysto głęboka ciągnęła się knieja, na małej polance trzy ścieżki się schodziły.

Tu pan dobrodziej zostanie, rzekł do pana Juliusza; tu dzik niezawodny.

Jakto! czwarty? tu może hrabia.

Asan dobrodziej młodsze i wprawniejsze masz oko, a wreszcie będzie to dodatek do wczorajszej powieści o polowaniu na niedźwiedzia, która tak zainteresowała pannę Albine.

Tu niech pan stanie; tedy, widzi pan tę ścieżkę, dzik wyjdzie na szych.

Gdy już odeszli, opuszczony Juliusz zaczął się krzątać, szukać i szperać schronienia; i wynalazł już między krzakami z utratą poły od pięknego rajtroka kłodę ogromną, za którą wpychał się powoli, aż tu raptem wracający nazad leśniczy, krzyknął potężnym głosem: Nie tam panie! bo to właśnie dzika legowisko. Skoczył młodzieniec, a błąd był, bledszy od mankietów na rajtroku.

Nie będę opowiadał całego polowania. Dosyć na tém, że psy stropiły dzika: rozległ się w kniei głos echem roznoszony, aż dusza leśniczego zadrzała z radości, bo sam stanął na najlepszym przesmyku o kilkanaście kroków od hrabiego; na dwoje zwierza on tam polował: na dzika i na tchurza. Gonią psy coraz zajadłej. Juliusz drzy, przysięga w duszy, że i Albiny i posagu i dzika się wyrzeka. Hrabia słucha nie bez drzenia, ale doświadczeńszy, bo jużciż bywał na polowaniach, stoi nieruchomy, a leśniczy zgięty nad rurą rusznicy, oko i ucho wyleżył, dech w piersi zatrzymał, a przecie mimowolnie zecknie czasem okiem ku hrabiemu. Uciął psy przez chwilę, by z większą jeszcze ozwać się zajadłością, śnać postrzegli już dzika. Już... już tylko, co Juliusz nie zdezerterował, bo prosto ku niemu zbliżają się głosy, lecz dzik zwrócił w bok i wyleciał z zajuszony, ziajany wprost między hrabiego

i leśniczego. Wypadł strzał podwójny, jakby jeden, a odynieć w łeb trafiony po kilku wściekłych skokach zarył kłami w ziemię. Przyskoczył tryumfujący hrabia. Co tu waspan robisz? krzyknął do zbliżającego się leśniczego.

Strzeliłem sobie do tego buka.

To waspan strzeliłeś?

Tak, ale pan hrabia lepiej, bo dzik już nie żyje; odpowiedział stary dworak.

Dziękuję waspanu, żeś mnie tak dobrze postawił. Przyjedź kiedy do mnie, dam ci parę korcy zboża. Rozśmiał się leśniczy i przemknął, jak strzała, poprzód pana Juliusza. Dzik tu! dzik! krzyczał. Gdzie? jęczał dandys.

Wnet się skończyło polowanie. Dwa dziki padły, drugiego zabił pułkownik na serio i kilkanaście zajęcy i lisów. A na waletę zagrał stary leśniczy na swojej trąbce długiej, krętej i wązkiej; zagrał tak pełno, czysto, donośnie i potężnie, jakby mu Wojski swojej trąby i piersi pozyczyl.

Dobrato była zima. Było wprawdzie pracy nie mało, bo transporta z drzewem po sannęj drodze szły bez ustanku, ale były polowania, bo pułkownik polubił starego leśniczego i dobrze zachowane knieje jego; to też jak sen przemknęła mu długa zima.

W letniej porze stary leśniczy inną przybiera postać, wraz z kurtką myśliwską zrzuca swobodne i wesołe zimowe usposobienie. Darmo czarny bór, jakby szpaler olbrzymiego ogrodu zieloną zajaśniał barwą, zaśpiewał muzyką ptaków, strumieni i szumu liści, darmo ziemia cieniem drzew od skwarnych słońca promieni osłonią najpiękniejsze motylami barwami tkane rozesała kobierce. Sposepniat stary leśniczy, przeciągał jak długo mógł, minioną porę wiosennem polowaniem na słomki. Jeszcze tu i owdzie pojedyncze padły strzały i cicho w lesie, głucho, a smutno w duszy starego leśniczego. Dla leśniczego jestto pora rozpamiętywać samotnych i próżnowania. W samotnem rozpamiętywaniu człowieka przyzwyczajonego do ruchawego życia kupią się zwykle same smutne myśli i przykre pamiętki. Któż jest bez nich? i leśniczy je ma, choć żyje na ustroniu, bo rozmaite życia stosunki i w las idą za człowiekiem. W dreliszkowej katance lub kurtce, słomianym kapeluszu lub skórzanym kaszkiecie, z fuzją na plecach dla zwyczajui i powagi błąka się po samotnych ścieżkach, bo jak pijaka korci do karczmy, tak stary leśniczy codzień przebiegnąć musi najdalsze lasu zakątki. Leniwym idzie krokiem, jakby mu lat przybyło, a ubyło zdrowia. Idzie gniewny, najsroźszy w lecie na pokątne chłopskie kradzieże, śledzi po rosie rannęj stóp ludzkich lub końskich, niezmordowany idzie za zdybanym śladem. Biada wówczas chłopkowi z sąsiedniej wioski, który przy niedzieli z pękiem pręcia na ogrodzenie zmyka tajnymi ścieżkami, bo leśniczy dawnych czasów i dawnęj sprawiedliwości świadek z tęgim kańczukiem na takowe wychodzi wyprawy. Leśniczy w lecie najwięcej ziewa, najdłużej się modli, najgłośnieję zrzędzi w domu, a często gęsto w sąsiedniem upaja się miasteczku. A w miasteczku na jarmarku stary leśniczy niech się przejdzie jeno pomiędzy fury chłopskie, a zdybie furkę drzewa, wnet odgadnie, z czyjego lasu, a kradzione drzewo zwietrzy niezrozumianym dla nas instynktem. Jednem słowem leśniczy nudzi się w lecie, bo próżnuje. I nie darmo mówią, że próżnowanie jest matką złego. Najłatwiej w lecie pokusa przemawia do czystej duszy starego

leśniczego. Patrzmy jeno. W piękny dzień letni wybiegł z rana nakrzy-
czawszy się w domu do woli. Idzie zasumowany, wzrok i wąsy w dół
opuścił. Był na zrębie, rachował i przerachował stopy, których regestr
na kiju zakarbowany w domu stoi, potem ścieżką wiodącą do kraglaka
żywszym pomknął krokiem. Mimowolnie zatrzymał się koło kniei na
zarwie, wzrokiem przyjaźni przywitał ulubionego buka, który stał sam
jeden opodal od drugih, jak żołnierz na warcie: ależ bo to buk nad buki,
najgrubszy w lesie i najwyższy, dawny to jego przyjaciel. Tu najlepsze
stanowisko, tu zawsze zając goniony obraca ku większemu lasowi, tędy
przezorny lis wymyka najczęściej. Ile on tam ich trupem położył! Stary
leśniczy, jakkolwiek nieczuły z natury, ze łzami prawie w oczach błagał
kapitana, któremu się raz tego buka zachciało, i wyprosił. Byłto dzień
wielki w życiu leśniczego! wielki cierpieniem! wielki radością! Stał
na samym wierzchołku góry, spojrzął w dół i huknął: ho hop! ho hop!
rozległ się głos pełny dalej i dalej po rosie, aż gdzieś daleko na granicy
czarnego boru przepadł bez echa. Na znajome to zawołanie po krótkiej
chwili odezwały się odpowiednie hukania, a gdy je trzykroć powtórzył,
zbiegli się pobereźniki. Krótkimi słowy i surowym głosem kazał im
pójść wszystkim na granicę od zaścianka szlacheckiego, gdzie największe
trafiają się kradzieże; a gdy odeszli, słuchał przez chwilę ich stapania,
łamania się krzaków, pomiędzy które przechodzili, i zbiegłszy w dół,
znikł w tajniach zarwy. Słysząc tam było różne głosy, nawet huki rą-
biących siekier, ku wieczorowi uciechło wszystko. Jedną stroną wracał
ku domowi smutniejszy, niż zwykle, stary leśniczy, a drugą stroną kilka
furek różnego drzewa wymknęło się na trakt wiodący do wioski sąsiedz-
kiego państwa. Fukał na żonę w domu, ale rzucił jej garść srebrnej
monety na kapelusz, o który od pół roku leśniczyna dobijała się sposoby
słodkimi i gorzkimi. Bo djabeł pali w starym piecu, sam mówił o so-
bie. Umarła mu nieboszczka pierwsza żona, pocziwe kobiecisko.
w domu miała głowę chustką obwiązaną, a za domem czepiec perkalo-
wy z szeroką wstęgą zieloną. Leśniczy choć stary ale jary ożenił się po-
wótnie, a zbytek, który się milczkiem, jak lis do kurnika, wkłada i do
lasu nawet, nasunął leśniczynie myśl o kapeluszu, w jakim widziała
ekonomową w cerkwi. Cóż robić, i słońce ma plany!

Leśniczy wydaje się na pozór małowowny, bo i do kogoż ma gadać
w lesie? Ni dąb, ni sosna mowy ludzkiej nie rozumieją. W domu już
mówniejszy, bo rozpowiadać a kłamać, to rozkosz starego leśniczego,
byle tylko nie sprzeciwiano mu się, sam bowiem święcie wierzy w
wszelkie dykteryjki, których jest najczęściej improwizatorem. Miła mu
pogadanka taka przy kominie, miłsza na jarmarku, ale najmiłsza na pra-
żniku, i to sam prażnik nic nie wart, to jakby bal u dworu, zgiełk,
wrzawa, ceregiele, ale najlepsze poprażnicze. Na niémto stary leśniczy
rej wiedzie u parocha i dziekana, który jest wujaszkiem drugiej żony
jego. Bywa tam gracjałista, niegdyś ekonom hrabioskiego życia, dosko-
nały, bo milczący słuchacz dykteryjek leśniczego. Tu miejsce powie-
dzieć, że stary leśniczy, choć całe życie w lesie przepędził, prócz jednej
podróży ze splawami do Gdańska, rozprawia o wszystkim, jak z ksią-
żki, powiadają sąsiedzi i kumowie, a słuchają jak wyroczeni. Bywa tam
także pan Doręba szlachcic z zaścianka, dawny wiarus i kum leśniczego.
Siedzą przyjaciele i kumowie, a maderkę dziekana ciągną powoli i ze
smakiem, stary bowiem leśniczy po nalewkach najlepiej lubi miodek.
Wino, to nowy wymysł, a co nowe, to djabła warte, powtarzał zawsze.

Nie pierwszato już była butelka. Leśniczy peroruje, aż miło słuchać. Inny człowiek, aby choć cokolwiek modzie dogodzić i pokazać, że się grosza nie żałuje, ustroił się w surdut długi, obwisły, zielony, z małemi guzickami świecącemi, kamizelę w szerokie pasy po biodra, rajtuzy tylko zostawił ze zwykłego stroju, a na palec gruby i czerwony wpa-kował sygnet z olbrzymim krwawnikiem, bo stary leśniczy jest szlachci-cem herbu prus podobno.

Hej! hej! dobrodzieju, mówił zwrócony do dziekana. Gdzieto te dawne czasy! pamiętasz dobrodzieju dawnego pana mego, to mi był człowiek prawdziwego szczepu pańskiego, prawdziwy starosta! a myśli-wy, a szanował lasy aż miło!

Dobre panisko i bogobojne.

A rębacz od stu djabłów! oddaj się Bogu, jak dobył karabeli.

I cóż z tego, kiedy stracił majątek i umarł w długach.

Hej! hej! umarł! a jak go już pochowali, pomyślałem sobie, któż mnie będzie nazywał jak on, bywało żartem, mówi buczku! buczku! kochał bo też mnie starosta i miał rację. Pamiętam, jakby to dziś było, polowaliśmy na niedźwiedzia, hej! hej! i starosty nie ma i niedźwiedzi nie stało. A miał starosta turecką rusznicę od baszy z Chocimia. Staliśmy tedy tak: starosta we środku, po jednej stronie ja, a po drugiej faworyt starosty, kozak Szumyło. W tém.....

No! no! już to nam pan opowiadałeś. Starosta chybił, niedźwiedź powalił go o ziemię, Szumiło strzelił i chybił, a

Mówiłem, ale co dobre, to się godzi powtórzyć. Westchnąłem do mojego patrona ś. Michała, a tłukło mi w piersi, jak w zegarku! wycelo-wałem z mojej rusznicy, co to się z niej śmiał ten waspanujący pan hra-bia, jak wytnę w sam łeb niedźwiedzia, o trzy cale ponad głową staro-sty; a było, bo rachowaliśmy wszyscy, sto siedmdziesiąt i pięć kroków. A teraz panie hej! hej! dobra poszły na licytacyę, kupił je jakiś adwo-kat, Boże odpuść! co on mi krwi napsuł. O polowaniu ani bel mel, a las!.... poszedł z dymem! Jak bóbr płakałem, kiedy postawił pota-żarnię. Kraglak, mój ulubiony kraglak, to był djament w całym lesie, jak oka w głowie szanował go starosta. Tam były sosny, jak świeca proste, a wysokie, jak wieże. Za te sosny dawali nam flisy po pięć-dziesiąt dukatów na maszty. Porabali je w pień, obdarli ze skóry na ten głupi potaż! Nie spodziewałem się was przeżyć, ja stary śmiertelny człowiek.

Zapewne lepszy był starosta, bo ten zawsze rozpowiadał jakieś baje o polowaniach Radziwiłła.

Co baje? baje! hej! hej! człowiek już się śmiał, jak nieboszczyk pan zaczynał mówić: panie kochanku, bo takie było przysłowie księcia. Co wy rozumiecie dzisiejsi ludzie o księciu Radziwiłle. Panie kochanku był król myśliwych, jemu żubra pięścią ubić, dzika udusić, niedźwiedzia.....

Ot napijmy się kumie! szkoda gęby!

Otoż gdzie to stanąłem? aha! teraz zmykam jak najprędzej ze dworu i nie patrzę za siebie, by nie widzieć czarnych kłębow dymu, które wychodzą z burakowej cukrowni, tam palą moich najdawniejszych przyjaciół. Cukier jadło się i dawniej, a z buraków barszcz, hej! hej! co się to dzieje! ot umrzeć lepiej, bo dalej w całym lesie nie znajdzie deski na trumnę dla starego leśniczego. I spuścił głowę, a zadumał stary leśniczy. Smutny humor leśniczego zdawał się rozchodzić po całym

towarzystwie, gdy się drzwi otworzyły i weszła dobrodziejka z tacą w rękę, a na niej ze sporych szklanic ulatywał dym wonnej herbaty i wonniejszego araku.

Albo to! widziana to rzecz! pan Bóg dał herbatę na lekarstwo, nie na trunek zwyczajny. Oj! ten czaj wypędził nasze polskie nalewki. Bodajby przepadł wżaz z cukrowniami burakowemi!

Zapewne, zapewne, ale napijmy się!

Chyba dobrodziej! każe! i pili dalej szklanke po szklance wrzącego napoju. Z dykteryjki do dykteryjki przyszło w końcu do śpiewu. Różni różnie śpiewali, ale jak zaczął stary leśniczy borowym, do echów dalekich przywykłym głosem, zbiegły się kobiety, zbiegła czeladź dziekana; a stary leśniczy pokręciwszy swego węża, ciągnął:

Wzmę ja kontusz, wzmę ja żupan, szablę przypaszę.

I do mojej dziewczyny, do mojej jedynej pospieszę.



Nowy Rok.

Obraz fantastyczny.

Novoy Mosk.

Описание

d
z
p
c
k
p
z
n
t
st
h
w
k
j
u
z
b
st
le
tr
z
t
L

NOWY ROK.

— Skonał rok stary, z jego popiołów....

— Daj pokój tym poezjom — przerwał pan Ignacy.

Sliczna ta poezya, ale zawczesna; nieskonał jeszcze rok stary, dał pan Franciszek: dzięki gospodarzowi naszemu, mamy jeszcze czém zalewać żal za konającym.

— Poezja to pianka, panie, a tu mamy du solide, ciągnął dalej pan Juliusz, z dowcipnym uśmiechem wskazując na olbzymią wazę ponczu wniesioną do obszernego fantastycznym zbytkiem przepelnionego pokoju. Bo w tej sali, jakby w gabinecie rzadkości, porozrzucane były przedmioty różnych kształtów i różnych wyrobów. Była tam na starych zbrojach rdza, ten zabytek starożytności, połysk złota nieszczędnego na stołach, szafach i olbrzymim kominie; białe lica marmurowe obok twarzy ożywionych mistrzowskim pędzlem; a na wielkim mozaikowym stole w bratniej zgodzie stały porozrzucane fraszki dzisiejsze, obok puharów, któremi przepito saskie czasy, obok sprzętów, które przemawiały domowem zygmunrowskiego wieku życiem; wonny różaniec i oręż krzyżacki połyskujący całym kalendarzem nań wrytym obok amuletu jakiejś arabskiej piękności, i lampy, której dziwny kształt wygląda, jakby ułamek nieodgadnionego hieroglifu.

— Pijcie przyjaciele moi! ozwał się głos z głębi pokoju, głos, który zdawał się istotnie być głosem tej sali; bo w tym głosie, jak w tej sali, były odcienia młodości, która krzyczy życiem dzisiejszym, i wieku, który stęka lat przebytych cierpieniem. Głos ten raźnie zaczęty pełno rozległ się w sali, jękniemieniem głuchym znikł nareszcie; snać ostatnie powietrza brzmienie dotknęło jakiego przedmiotu dźwięcznego. »Pijcie zapomnienie! pijcie przywitanie!« ciągnął dalej pan Wacław gospodarz tego pomieszkania.

— Dobrze mówisz, ta waza ponczu niech będzie naszym zdrojem Lethe!... zapomnienie boleści minionych! do was bracia!

— Nie, Albercie! ja się trzymam toastu przywitania! a mojaż sprawa, ta sprawa mnie powierzona o milion dziedzictwa, ta sprawa, z której spodziewam się w tym nowym roku parę czystych wyciągnąć wiosek, w cóżby się obróciła, gdybym zapomniał przypadkiem owego dokumentu, bo to, moi panowie, dokument nie lada... ja go wynalazłem... ja twórca!

— Przystańże, byś się z czém niewygadał.. czyliż i głowa adwokata podlegać musi mocy wyziewów trunkowych? Ja, łaskawco, piję, bo pić lubię, bez zdrowiów, chyba własne, bo mi to najpotrzebniejsze, bym mógł używać majątku, którym mnie mądrość najwyższego obdarzyła. Co mi tam: rok stary, czy nowy; to wymysł tych, którzy kalendarze sprzedają. Ja chętnie płacę za nowy kalendarz, nową książkę, nową beczkę, nowy pasztet, bo mam pieniądze. Niema roku nowego, ale ponieważ chcecie gwałtownie zdrowiów, dobrze więc »niech żyje terazniejszość!«

I brzękły szklannice, poczerwieniały dobrze już zarumienione twarze; bo pan Wacław wystąpił w ostatni dzień roku z kolacją, na której były przysmaczki wszystkich pór roku minionego, a wina wszystkich krajów i smaków. Była to kolacja Lukulla czasów godna, jak twierdził pan Franciszek, który lubił pić i jeść dobrze, bo miał czém zapłacić i bażanta i szampana.

— Terazniejszość! mdłe to zdrowie! ja piję ten puhar do pamiątek, a ten do nadziei!

— Brawo do nadziei wygranego processu, mruknął pan Ignacy, a potem precz z pamiątką dokumentu!

— Mniejsza o to! wiwat pamiątki! to raz! wiwat nadzieja to dwa! wrzeszczał pan Franciszek.

I brzękły szklannice, pąsem oblały się twarze, twarz tylko gospodarza biała i coraz bledsza; rozłożony bowiem na miękkiej sofie nic nie pije, oczami tylko niespokojnymi łyska w koło siebie, a ten połysk jest tak jasny i przenikliwy, że, jak po cichu powiedział pan Albert, zaciemnia oświetlenie gazowe rozlane po całej sali.

— Ja jestem za nowym rokiem, odezwał się pan Juliusz, cienki i chudy ułamek pięknego świata stołecznego, który już od dawna przy ponczowém świetelku przewracał po ciasnych zakumorkach szczupłej główki, ażali się gdzie nie zatrząś czytany lub słyszany koncept jaki, na którymby mógł wskoczyć w rozmowę. »Cóżby się bowiem stało z pięknymi biletami, którymi są przepelnione sklepy nasze, co z życzeniami *pour souhaiter une bonne année!*

— Łaskawco! zdrowiów wam potrzeba?... francuzczyzna salonowa pana Juliusza przypomniała mi, iż możemy dziś, jak Francuzi dawniejsi po śmierci króla, wykrzyknąć: rok umarł! niech żyje rok!

I dzwonią szklanki, wre poncz w głowie, a Wacławowi musi być zimno, bo drzy błądy, oczy zaś latają, jak jaskułki przed burzą.

— Niech żyje! drzącym powtórzył głosem; lecz czyliż się już zaczął? która godzina? i rzucił niespokojnym w koło siebie wzrokiem, a wszystkie zegary porozstawiane w koło ścian niememi odpowiedziały mu skazówkami: spuścił zaszępienie oczy, rzucił się nazad na sofę i smutnym dodał głosem. »O nie jeszcze! jeszcze cała godzina starego roku!

— Ej! zapij łaskawco głupią niemoc, co cię tam trzyma do sofy przykutego.

— Pij pocz, a wygrasz proces z chorobą!

— Pij! to cudowny poncz! to szylerowski poncz! przedmioty wszystkie rozpromienia, w szaty poezji obleka.

— Pij Waclawie, jeżeli niema twojego lekarza.

— Jestem, jestem, moi panowie, ozwał się głos młody, roztrzępany i wesoły.

— Witaj lekarzu! pij poncz, kiedyś nie pił szampana.

— Zkąd przybywasz?

— Z wesołego miejsca.

— Z zabawy jakiej?

— Może od pięknej spazmatyczki jakiej?

— Lub od tajnego testamentu jakiego?

— Nie zgadniecie! nie! ja wracam z domu waryatów.

— Co z domu waryatów? krzyknął Waclaw, i porwawszy się konwulsyjnym ruchem z sofy, pociągnął za sznurek od dzwonka, tak gwałtownie, że się aż zbiegła cała służka pańska.... Światła więcej! mnie ciemno! ponczu więcej! będę pił!... mnie zimno!

Przestraszeni goście spojrzeli po sobie; lekarz tylko przystąpił parę kroków bliżej, porwał chorego za puls, potrzywał rękę przez chwil kilka, twarz wesołą skrzywił w końcu wyrazem pogardy, i spokojnym wyrzekł głosem. Napij się! napij! niezaszkodzi! o nie!

— Owoż, panowie, piję, piję raz, drugi i trzeci, bo widzę, żeście wypili niemało... piję jeszcze, by zapieć ten dom waryatów; zostałem tam powołany, bo mi jeden waryat konał, a druga waryatka uciekła sposobem nadzwyczajnym.

Waclaw bliwszy coraz, choć pije bez ustanku, zdaje się słuchać z uwagą słów lekarza; czasem tylko, jakby od gadziny ukąszony, skoczy raptownie i wykrzyknie: która godzina? Lecz goście ledwie słyszą, bo w koło lekarza żywo się dzieje; niktą waza po wazie, a wesołość wre dalej szalona!

— Zbliżający się rok nowy niech żyje!

— Rozesmiał się głośno lekarz. Niech żyje, bo stary umarł.

— Co? umarł już! wrzeszczał dalej Waclaw.

— Wyobraźcie sobie, moi panowie, że ten waryat, który umarł właśnie przy mnie, uroił sobie, że jest rokiem starym; miał on się przeszłego roku żenić w pierwszy dzień nowego roku: kochanka umarła w wilią dnia ślubu, a on zwaryował, i nazywał się odtąd starym rokiem; jakoż dziś właśnie skończył.

— A to zabawne!

— Jaka szczególna styczność szaleństwa i zdarzenia.

— Ot głupstwo, łaskawco! pijmy!

— I umarł, powiadacie! krzyknął Waclaw tak przeraźliwie, że się musieli mimowolnie goście obejrzeć, i zadrzeli wszyscy, tak straszna była błądź na twarzy jego; chociaż pił szklankę po szklance wrzącego trunku, nic tej nienaturalnej błądźci zdjąć mu z twarzy nie mogło, czasem tylko, czy to myśli, czy trunku skutek, przez skórę twarzy, jak przez alabastrową powłokę przebijając się zdawało niepewne i drżące światło lampy gasnącej, Siadł na sofie, ręką przeciągnął po wyniosłym czole, skape już rozrzucił włosy, a okiem powlokłszy niecierpliwem po ściennych zegarach przenikliwym zaczął mówić głosem: ogień ponczu nie mogąc twarzy ożywić wlał się w głos i słowa. O! nie konał jeszcze, ja wam to mówię: jeszcze się rok nie pojawił... jesteście go nie uj-

rzeli, lecz poczekajcie jeno... dopiero pół do dwunastój, jeszcze pół godziny, a ujrzycie to widziadło.

— On z gorączki gada!

— To marzenia, panowie! hofmańskie fantazy!

— Lekarzu! puść mu krew!

— On pijany po prostu.

— Dajcie mu pokój! to fenomen jego choroby; i nowy uśmiech pogardy pojawił się na twarzy lekarza.

— A nim nadejdzie! światła! ponczu! pijmy przyjaciele! ja wam opowiem, nie śmiećcie się, ja wam opowiem zdarzenie prawdziwe!

— Powieść przy ponczu, o tej godzinie dzielącej przeszłość i przyszłość, a to wysmienicie; ja chcę powieści! pijmy bracia i słuchajmy.

— Mniejsza o to, łaskawco! słuchajmy lub nie! ale pijmy.

— Słucham, byle powieść nie była długa, gdyż mnie wypada już kończyć tę miłą zabawę; jutro rano muszę do prezesów i niektórych konsyliarzów jechać z powinszowaniem.

— *Ce sera un conte bleu, ou un conte verd!* z nieśmiałością wtrącił pan Juliusz okruszynę wynalezioną w pustych owych zakumorkach!

— To nie będzie bajka, rzekł lekarz. Ja się spodziewam prawdy teraz od niego!... bo... to godzina przed tym nowym nieznanym rokiem.

— Słuchajmy i pijmy!

— Wiwat bajki, powieści, zdarzenia i romanse!

— Niech ich djabli wezmą; ja za nie płacę gotówką; wolałbym jednakże kupować jabłka tyrolskie; a jak ukąszę w które z tych pism waszych, przychodzą mi na myśl owoce z nad zgnilego morza.

— Wam się zdaje, że cały świat tak kończy rok stary, jak wy, że w ciepłym pokoju wre dla wszystkich nieskończona waza ognistego napoju, że wszyscy jedzą sutą kolacją... o nie!... nie dla wszystkich komputy z pomarańcz i ananasów, nie dla wszystkich stary tokaj i wanny Johannsberger; słuchajcie jeno, ja wam odmaluję obraz inny, obraz istotny! Był to jak dziś dzień grudniowy; wiatr huczał i mroził śniegiem, ale nie rozbijał się bezsilny o kamienne miasta ściany; ale huczał pan samowładny po polu obszernym i przeraźliwym światem stukał o ciasne szyby małej chałupy, która stała na górze sama jedna opodal od lichego miasteczka. Był to dzień ostatni roku, ale roku okropnego dla mieszkańców tej chaty, roku nędzy najstraszliwszej, która setnemi różgami swemi chłostała ich dzień po dniu przez cały długi rok. W tej chacie zamieszkało dwoje ludzi... kochanek i kochanka, nie kochankowie z welinowej powieści, z gaju wonnego, z miasta wygodnego, ale kochankowie, którzy w złowrogięj chwili swoje dwie nędze złączyli w jedną olbrzymią nędzę! Czy panowie to rozumiecie, co to jest nędza? panie Franciszku, czy miałeś kiedy przy stole twoim nędzę? czy była nędza między klientami twemi szanowny prawniku? poeta zmyślonych zdarzeń maszli nędzę istotną? a ty cudzych miódów światowy szerszeniu, cóż wiedzieć o niej możesz? jeden lekarz mógłby znać zapewne nędzę, ale woli zbytek, który dobrze płaci. On był młody, on był poetą, tak mu się przynajmniej zdawało, bo miewał natchnienia cudnych barw; związek nawet z kobietą, był chwilowem natchnieniem... litości może! bo kobieta była realna, kobieta z pierwiastków błota ulicznego złożona!... I natchnione to uczucie wionąć musiało... zostało cierpienie okropnie potępione przez ogół, bo niezrozumiane; ale wiernie ciągnął za sobą młody człowiek ten łańcuch ciężki, do którego nędza i pogarda ludzi

przyczepiały jedną wagę łożowaną po drugiej... W tej chacie, w owym dniu było zimno, bo nie było czem palić, a drzewa, ani słomy nie było od kogo dostać. Czy dałeś kiedy drzewa ubogiemu, panie Franciszku?

— Cóż mnie tam po ubogich, wszak muszą być ubodzy na świecie; ja zawsze daję żebrakom, byle się pozbyć ich piskliwych prośb!

— A potem, *il-y a des instituts* dla nich; nareszcie nasze wielkocenne kwesty.

— O ja mam szacunek dla ubóstwa! napisałem właśnie odeę dla pogorzalców.

— I wiersz i kwesta, i grosz jałmużny, to nic naprzeciw recept, których ja tyle w dzień darmo pisać muszę!

— Zimno było owęj nocy, zimno nieopalanęj już dawno chałupy! natchnienie poety i mróz staczały walkę zawziętą, okropną; a wiatr nie-litościwy wdierał się przez szczeliny źle opatrzonej chałupy! Panowie, to ładna myśl do obrobienia, ta walka mrozu i natchnienia poety! Lekarzu! twoja to rzecz; powiedz czy natchnienie zmarznąć zdoła?

— Jako lekarz sądzić tylko mogę o rzeczach istotnych... natchnienie zaś poety!

— Nie zmarzło przecie, ale jak ciepło ożywsze uciekając pomału ze skościałych członków tliło w jednym punkcie mózgu zebrane, tliło myślą szaleństwa! W kącie tej izby na ziemi rozciągnięta leżała długa chorobą zmęczona kobieta! kochanka niegdys, dziś ciężar poety! Od dawna już życie ich było nieznosne, a kobiety choroba okropna; natchnieniem poety uszlachetniona kochała po raz pierwszy może, kochała już bez wzajemności... mocą tego uczucia zrozumiała całe położenie swoje, i cierpiała ból zimnemu ogółowi niepojęty! ona stała się jasnowidząca! oczy jej były zamknięte, ciężki tylko oddech świadczył o życiu, bo twarz była martwa i nieruchoma; czasem tylko cień od wiatrem poruszanego kagańca, gdy przeleciał przez blade lica, zdawał się zmieniać nieruchomy ich wyraz! W drugim kącie skulony siedział młodzieniec, i drząc na całym ciele, marzył tą jedną iskierką myśli.... wiecie panowie, o czém on marzył?

— Bo to posępna powieść! co nam do marzeń żebraka; pijmy łaskawco! dwunasta już się zbliża; i dzwonią szklannice, czerwienią się twarze, oczy iskrzą, a poncz, jak czarownik samowładny, tworzy cuda po rozkołysanych mózgu nerwach.

— On marzył... że jest stróżem przy wiecznie palącym się piecu. Śmiech powstał ogólny, wtorowany dzwonieniem szklanek.

Wiatr zawył preraźliwy, i aż do chałupy przyniósł dźwięk ponury zegara miejskiego... powoli, uroczyście zatętniło dwanaście uderzeń... westchnienie głośniejsze ozwało się z kąta chaty, a raptem wśród ogólnej cichości głosem nie swoim zawołała chora.

— Kochanku! aniele! patrz! czy widzisz to widziadło, jak wchodzi, małe... już większe... olbrzymieje..., powała pękła od dotknięcia głowy... rośnie w niebo! patrz!...

I spojrział zbudzony z marzeń poeta i widział tuż u drzwi chaty, jak rosło widziadło w olbrzyma!...

— Bredzisz Wacławie!...

— Pijany jesteś!...

— Masz gorączkę!...

— Ty bredzisz pijana tłuszczo! krzyknął znowu Wacław, a ręką wyciągniętą wskazywał ku drzwiom... U drzwi chaty stało widziadło

nieruchome i rosło coraż wyżej i coraż szerszemi bokami rozpierało trzeszczące od wiatru ściany lepione.

— Patrz kochanku! wołała dalej chora, to widziadło, to nowy rok; to twój nowy rok...

Drząc od zimna i przestachu patrzył przed siebie młodzieniec i widział, czego słowy opowiedzieć niepodobna, widział, jak tysiączne karłowate różnych kształtów i różnych barw ciemne i jasne twory zbiegały się, skupiały i w nieustannym krążąc ruchu składały członki tego potworu!... To twój nowy rok! patrz w górę... wyżej... ku głowie potworu! tam... wyżej krzyczała niewiasta, a oczy obłąkane wybiegły na wierzch!... Młodzieniec patrzył wyżej ku głowie potworu, w niebo między gwiazdy, i ujrzał łyskawice oczu, jak arabski płomieniste, i ujrzał hieroglify na niebios sklepieniu olbrzymiemi palcami pisane... i gonił za nimi... chciał wyczytać... i długo nie mógł...

— A chora coraz słabszym głosem wołała. To twój nowy rok! pamiętaj o tej godzinie przy skonie roku starego, ujrzysz widziadło zwiastujące ci przyszłość...

— A młodzieniec goni niezmordowany za migającymi literami i wyczytał!...

— Co! wyczytał! a to pocieszne!...

— *Il bat la campagne!*

— Wyczytał numer!...

— Numer loteryjny!... Śmiech pijany i szalony powstał w wesołym towarzystwie.

— Nie wiedziałem dotąd, że waryacya jest zaraźliwa, rzekł lekarz, a tu widocznie zmarzły poeta zaraził się od tej waryatki bredzącej w sześćnastwie.

I śmieje się dalej, a pije bez ustanku.

I wygrał, wiele wygrał, ale przegrał spokój... bo co roku o godzinie dzielącej rok stary od nowego, widzi zgrzyotą, nie wiekiem, zestarzały młodzieniec to ciągle zmieniające się widziadło swęj przyszłości.

— Chciałbym jednakże widzieć takie widziadło, opisałbym je wierszem.

— Byle nie kazało mi wiecznie czytać, niektóre wyrazy mego dokumentu!...

— Po jakiego mnie djabła takie widziadło, chybaby się pojawiło w postaci pasztetu strasburskiego, którym mnie Brühl tumani od miesiąca.

— *C'est comme la statue dans Zampa:*

— I cóż się stało z tą warjatką? zapytał lekarz, zwrócony z wyrazem uwagi do chorego.

— Warjatką? ona była chora, jasnowidząca!

— Ale cóż się z nią stało?

— I cóż się z nią stać mogło! umarła!

— Żyje! odezwał się głos ponury od drzwi wchodowych.

— Ha! patrzcie! wrzasnął Wacław z ostatniem wysileniem piersi: »Widziadło moje! nowy rok! trup! więc śmierć dla mnie!

Milczenie przerażenia nastąpiło między pijanemi, a w pośród cichości ozwał się głos uroczysty zegara wieżowego: wybiła dwunasta.

— Żyje jeszcze! odezwał się powtórnie głos od drzwi, głos pełny, ale wszelkiego pozbawiony wyrazu. I zwróconym ku drzwiom okazała się w samej rzeczy postać kobiety, łachmany różnego kroju i różnych barw obwiewały wysoką i wychudzoną postać; ze środka tego dziwnie-

go stroju wystaje twarz blada, umna i niema jak marmur niby żyłkami nakrapiany, téni z oczu strzelającymi czasem łyskawicami dawnej piękności i dawnych myśli; a z wierzchu głowy sypiące się bezładnie czarnych włosów pierścienie, posepniejszym jeszcze wyrazem cieniują całą tę postać nieruchomie u drzwi wchodowych stojącą.

— Kto jesteś? odezwał się głos najodważniejszego pana Franciszka, drudzy bowiem zastraszeni, zgłupiałym od trunku patrzeli przed siebie wzrokiem: »Kto jesteś? i czego tu chcesz?« surowym dodał głosem.

Postać zdała się być przelekniona, i postąpiła z nieśmiałością kilka kroków dalej. »Jestem żebraczka z ulicy, weszłam tu na widok światła i dostałam się aż do pokoju, przechodząc pomiędzy śpiącą w przedpokoju służbę.«

— Nie idź! nie idź! precz odemnie! krzyczał Wacław; — ja chcę żyć jeszcze.

— Na ten głos, zadrzała żebraczka; oczy łysnęły przez chwilę i zgasły znowu. — Żebraczka jestem moi panowie.

— Mimowolnie sięgnęli goście Wacława do kieszeń. Na ten ruch żebraczka skoczyła w bok i prędkimi zaczęła mówić słowy, chociaż twarz jęj została nieruchoma. Ja nie żebrzę pieniędzy... mnie nie potrzeba pieniędzy, ja jestem bogata, ja przyszłość widzę całą przed sobą... jak rzucę przed siebie tén okiem mojem czarném, którego łez strumienie zmyć nie mogły, widzę tak jasno, jakby w poranek letni... widzę, czego panowie widzieć nie potraficie.

— Któż jesteś? ozwał się zadziwiony Albert.

— Jestem żebraczka z ulicy.

Weź więc od nas datek, i idź swoją drogą, bo wiesz, jak są srogie przepisy przeciw włóczgom.

— Przepisów się nie boję, i nie chcę waszych pieniędzy, bo ja widzę przyszłość!... ja wam dać mogę pieniądze... Dawno temu, ale już nie pamiętam wiele lat minęło, przepowiedziałem jednemu, a był to śliczny i dobry młodzieniec... co ja mu przepowiedziałam... już nie pamiętam!... ile łez wyplakałam, tyle jemu dukatów... został bogaty i zesnął się.

Wacław porwał nową ponczu szklankę i niespokojnie rzucając się po sofie mruczał: »Precz odemnie! szatanie mojego żywota!«

— Ja chcę jałmużny! ale nie waszego grajcara... o nie! oddajcie mi lata moje, młodość moję! i spokojne myśli moje! Patrzcie nielitościwi ludzie, co się ze mną stało; a przecie ja nie stara; dawniej swobodna żyłam z dnia w dzień, jak ptaszek latałam z jednéj gałązki na drugą, jak motyl cudny barwami przeskakiwałam z kwiatka na kwiatek, a wybierałam moi panowie kwiatki najpiękniejsze! dzisiaj ja duch chodzę po żywym świecie.

— Precz widziadło! krzyczał Wacław głosem przeraźliwym; a ocy gorączką i ponczem rozpalone wybiegły na wierzch.

— Ten biedny pan jest chory! a tu jest lekarz! czemu pan nie idziesz go ratować! dla czego tak pogardliwie spoglądasz na biednego chorego. I ja chora: o jak ja dawniej byłam zdrowa: nie wiedziałam, że są choroby, które trawią serce... byłam wesoła; nic nie uniałam, tylko skakać i śpiewać, tylko śmiać się i w wiecznie pogodną twarz przyjaciółki moję spoglądać, w wierne zwierciadło. Ale był na świecie człowiek ubogi; nic nie miał tylko bogactwo słów, które w niebo wznosiły, bogactwo spojrzeń, które raj otwierały! Po cóż ciebie poznałam aniele!

— Szatanie precz odemnie! krzyczał Waclaw, a goście przerażeni i pijani w milczeniu spoglądali na tę scenę coraz okropniejszą.

— Pijmy poncz! zawołał nareszcie pan Franciszek, bo mi się w głowie mać; przekłeta ta żebraczka! wypadcie ją!

— Zamilkł mój śpiew! bo cóż był wart ten śpiew nieuczony, na przeciw słów, które mu z ust boskim płynęły dźwiękiem; nogi moje przestały skakać, bo mnie zaczarował nieruchomą do spojrzeń swoich; zwierciadłem mojem stały się oczy jego... przedałam moję przyjaciółkę! musiałam przedać, bo on nie miał co jeść, a jak było zimno! trzęsłam się jak w febrze! i on marzył... marzył... co dzień kwiat po kwiecie padały zmrozone uczucia jego. Ja go nadto kochałam; on kochał i przestał, a ludzie, co mnie dawniej znali, już mnie poznać nie chcieli, bom zbrzydła, bom już nie śpiewała, nie skakała, jak dawniej.

— Prześtań już żebraczko! i powiedz, czego chcesz od nas?

Ja żebraczka biedna! litości żebrzę! lat moich żebrzę! swobody dawniej! dajcie mi ją, ach dajcie nielitościwi ludzie. I wyssał, wyssał rozkosz z życia, z ust moich... został bogaty pan! a mnie! mnie zrobił waryatką! jak panowie, wszak widzicie, że jestem przy zmysłach; a on przeciw oddał mnie bez litości tam za miasto, do wielkiego zimnego kamiennego domu, znacie panowie ten dom, ... z którego co dzień patrzałam na cmentarz.

— Domysł mój zatem sprawiedliwy! zawołał lekarz, to ta waryatka, która dziś wieczorem uciekła.

— Waryatka! wykrzyknęła żebraczka, i skoczyła w środek przestraszonych gości; waryatka ja? i on mnie tak nazwał, bo się mnie wstydział, w nagrodę za te lata... ach oddajcie mi je, oddajcie!... a przecie ja wiem więcej, niż wy wszyscy; ja jemu odkryłam przyszłość... o tak! pamietam, jakby to dzisiaj było, był to ostatni dzień roku.

— O przeklęty roku! któryś mnie pozbawił spokoju i szczęścia na wieki! krzyczał Waclaw, wijąc się po sofie, jakby w boleściach najokropniejszych.

— Nie narzekaj na ten rok! już on nie żyje, skonał... skonał... widziałam, jak dogorywał, przeklinając tam w wielkim domu kamiennym za miastem.

— Co umarł już! a ty widziadło nowego roku, cóż mi zwiastujesz? Boże wielki, czyliż już nie ma dla mnie nadziei w tym nowym roku?

— Żebraczka zbliżyła się do sofy, i długo, długo patrzała z natężoną uwagą na Waclawa, który wcisnął oczy swoje w kąt poduszki, lecz oko jej żywszym nie zatlało blaskiem. »Nowy rok! rzekła po chwili namysłu, a słowa jej jedno po drugim wychodziły z zsiniałych ust powolne i uroczyste«... smutny dla ciebie młodzieńcze, bo rok stary jest rokiem zasługi, a rok nowy rokiem nagrody! a za rok rozpusty czy wiesz, jaka nagroda?

— Milcz szatanie! ozwał się głos Waclawa tak donośny, jakby miał być ostatni, czyliż nie dosyć ci z całego mojego życia skrzywnonego przez ciebie? i wcisnął w nią oczy swoje na pół gniewem palające na pół obłąkaniem ostygłe.

— Ach oczy te! oczy! wykrzyknęła żebraczka; wzrok się zaiskrzył przez chwilę, i wrócił nazad do dawniej nieruchomości; umysł jej za nadto był już pomieszany; udamkiem bez związku wracała jej tylko pamięć dawnego życia. »Gdzie są te oczy? które mnie spaliły na węgiel! zwierciadło moje dajcie, niech się przypatrzę! i skoczyła nazad do pi-



i.
-
a
e
i
l
n
-
-
n

y
d
il
n
-
-
-
l
-
-
e
!
a
j
:
-
?

-
i,
li
-
st
y

y
o-
ce

yl
za
a-
l!
oi-

